

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Kaczyński nauczył się socjologii • Ukraina w Unii. Zarobimy czy stracimy • Polska śniada i młoda albo biała i stara
- 500 tys. lat z Bogiem



WYSOKIE OBCASY
Otyłość to nie wstyd,
to choroba
Yennefer. Dziewczyna
wiedźmina

GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl



Nie straszymy,
wyjaśniamy

Czy ptasia grypa zaraz będzie ludzka?

Rozmowa z wirusologiem dr. Pyrciem

FOT. SHUTTERSTOCK

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Dzieciństwo
w PRL**
Jest ABBA,
nie ma dżemu



Śmierć komtura
Ksiądz Witold
pozbywa się
świadka

Matka Boska
nie była po
stronie „Burego”
w kraju

**100 lat
zmęczenia**
Kobiety
w Rosji

Agnieszka
KublikZ maili PiS wiem,
jaka będzie kampania

Właśnie się okazało, że w PiS nie mają wątpliwości co do prawdziwości maili ujawnianych przez portal Poufna Rozmowa. Tym razem przeciek prywatny mail Przemysława Tejkowskiego – aktora, wiceszefa rady nadzorczej TVP i prezesa publicznego Radia Rzeszów.

To list do Joachima Brudzińskiego, szkolnego kolegi, a dziś europosła i szefa kampanii PiS. Latem 2020 Tejkowski napisał: „Rada Mediów Narodowych. Organ, ciało, chuj wie co. Bez klarownego, prawnego umocowania, z jebniętym przewodniczącym prowadzącym dziwną prywaciarską politykę”.

Ten „jebnięty przewodniczący” to Krzysztof Czabański. I tenże, niepomny linii PiS, że maili nie komentują, bo to ruska prowokacja, kazał Tejkowskiemu się tłumaczyć na piśmie: „Zwracam się o niezwłoczne udzielenie w tej sprawie wyjaśnień”.

Tejkowski nie wyjaśnił szefowi Rady, dlaczego jest „jebnięty”, ale nie wyparł się swoich słów: „Nie odpowiadam za treści nie zamieszczone przeze mnie w przestrzeni publicznej i nie autoryzowane przez mnie”.

Kolejne potwierdzenie – te maile naprawdę napisali ci, o których wiemy, że je napisali.

Dzięki tym przeciekom odkrywamy, jak ta władza kocha manipulować, jak wiele energii temu poświęca – i jak wielu urzędników nad tym pracuje. Kilka osób jest zaangażowanych, by napisać dla Michała Dworczyka wywiad o premierze. „Raczej mocny:)))” – chwali sam siebie jego autor, jeden z doradców Morawieckiego. Dworczyk akceptuje: „Poprawilem drobiazgi i wysłałem do

Parlament Europejski już
się domaga, by OBWE
przyglądało się polskiej
kampanii wyborczej

Jacka Karnowskiego. Zaraz powinien być na portalu”. „Zaraz” oznaczało 4 minuty. Czyli Karnowski czekał w gotowości na tego gotowca. Innym razem doradca premiera mailuje do Jacka Kurskiego, wówczas prezesa TVP: „Mamy prośbę by jutro TVP bardzo ładnie zaatakowało te osoby, które taki wyrok wydały”. Ten wyrok to decyzja sądu, by Morawiecki prostował swoje kłamstwa.

Były i gotowce dla PAP. Jej prezes Wojciech Surmacz usłuźnie reagował na prośby premiera, by „wytypował sprytnego dziennikarza, aby przeprowadził bardzo pilnie wywiad z panem prezydentem”. „Narracja jest gotowa, tylko trzeba ładnie to wszystko ująć i poprzecinać pytaniami” – dorzucił premier. PAP opublikował ten „wywiad”. Morawiecki mailował: „Pan Surmacz zaczyna mi się podobać”. Surmacz właśnie znów został szefem PAP.

A teraz wyobraź sobie, że jest kampania. A oni zamawiają te gotowce u sprytnych dziennikarzy i przeprowadzają te ładne ataki. Nie od czasu do czasu, ale już dzień w dzień. Wszędzie tam, gdzie od lat trafia kasa ze spółek skarbu (jako reklama). To miliony czytelników, widzów, słuchaczy.

Parlament Europejski już się domaga, by OBWE przyglądało się kampanii przed jesiennymi wyborami. Jest zaniepokojony naszym kodeksem wyborczym i tym, że izba Sądu Najwyższego odpowiedzialna za rozpatrywanie protestów wyborczych nie jest sądem niezawisłym. ●

Teksas

Inny prezydent, ten sam mur



FOT. CHRIS GAY / AP

Meksykanie przedostający się do USA przez Rio Grande mijają robotników instalujących pływającą barierę. Oslawiony mur Trumpa nadal rośnie, a polityka migracyjna Demokratów niewiele – choć wyeliminowano praktyki w rodzaju rozdzielania rodzin i zamykania dzieci za kratami – różni się od tej wcześniejszej. **Więcej w tekście Macieja Jarkowca „Jak nie wpuścić Latynosów?”** ► [Wyborcza.pl/magazyn](#)

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

WFX7945

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 15.07.2023 r. do 16.07.2023 r.

Pink na Narodowym
Najfajniejsze odcienie różu

Doylestown, godzinę jazdy od Filadelfii, rozslawiły związki z wielką antropolożką Margaret Mead i Pearl S. Buck, pierwszą Amerykanką wyróżnioną literackim Noblem. W samym końcu lat 90. do lokalnego panteonu dołączyła Pink.

Alecia Beth Moore z lat nastoletnich wykluwała się niełatwo. Walczyła nie tylko z astmą, ale też z uzależnieniami, ciągle próbowała sił w różnych zespołach, jednak bez sukcesu. Nie pomagało to, że rodzice się rozwiedli, nim skończyła dziesięć lat – z tą traumą rozprawiła się w przeboju „Family Portrait”. Przerabianie traum na hity stało się jej znakiem rozpoznawczym – krotochwilne „Revenge” to rozliczenie z miłosnym zawodem, taneczne „Can We Pretend” – opowieść o ucieczce w marzenia, „Fuckin’ Perfect” kwituje na stoletnie wątpliwości co do własnej wartości.

Nagrywała z Eminemem i Eltonem Johnem, z Timem Armstrongiem z punkowej grupy Ran-



FOT. CHRIS PIZZELLO / AP

cid i z gwiazdami r’n'b – „Lady Marmalade” to jeden z największych przebojów pierwszych lat XXI stulecia – Christiną Aguilera, Lil’ Kim i Mya.

Za chwilę Pink stukną 44 lata. Wzorując się na idole z dzieciństwa, Madonnie, nie ogląda się na innych. Za to, jak Madonna, sama staje się inspiracją dla innych – jej wielką fanką jest Adele. – Czułam się, jakbym trafiła do tunelu aerodynamicznego. Jej głos mnie unosił – opowiadała o koncercie Pink w Londynie. No to, Adele, wpadnij w niedzielę na Stadion Narodowy. ● **Łukasz Kaminski**

Andrzej rysuje



Na Wyborcza.pl

To naturalne, że ludzie się boją osób, które mówią w innym języku, wychowały się w innej kulturze, śmieją się z innych żartów i używają innych przypraw



ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI
analizuje wystąpienie Tuska
Tylko na Wyborcza.pl/magazyn

Po szczycie NATO



liczą nowe, rozpisane na poszczególne jednostki plany obrony Sojuszu. Wrogowie są dwaj: Rosja i terroryzm. Kolejna imponująca liczba to 80. Średnio tyle procent mieszkańców 24 przebadanych krajów świata krzywo patrzy na Rosję. Nieufność do niej wzrosła nawet w krajach tzw. niezaangażowanych. W Europie Putin nie może liczyć już nawet na Węgrów – 2/3 mu nie ufa.

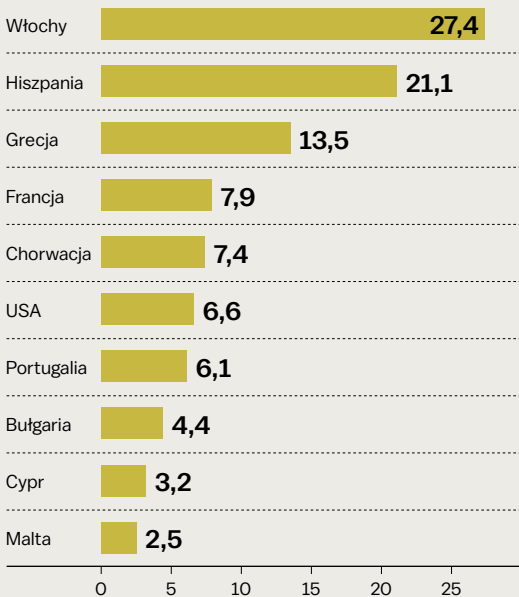
Więcej
► [Wyborcza.pl/swiat](#)

Wykres tygodnia

Wszystkie urlopy prowadzą do Rzymu

Wakacje samolotem – jakich połączeń szukamy

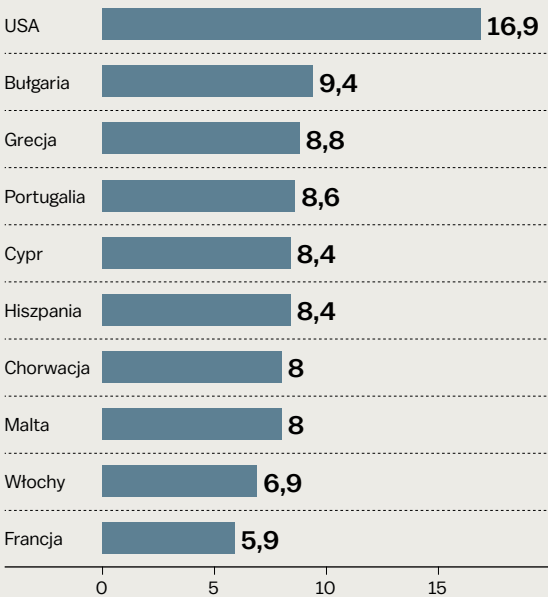
Najpopularniejsze kierunki wyszukiwane na eSky.pl (w proc.)



© GAZETA WYBORCZA

Ile czasu zamierzamy spędzić na wakacjach za granicą

Średnia długość pobytu w dniach



ŹRÓDŁO: ESKY.PL ZA BIQDATA.PL

Wbrew Instagramowi pełnemu fotek z Barcelony i z Seszeli długie weekendy spędzamy u siebie. W majówkę 70 proc. Polaków nie wyjechało nigdzie. Tylko 15 tys. ruszyło za granicę.

Najwidoczniej oszczędzaliśmy na dalekie wakacje. Dokąd wybieramy się tak ogólnie – to pokazuje wykres. Ciekawe są szczegóły. We Włoszech ciągnie nas nie tylko Rzym, ale też mniej oczywiste Katanía i Palermo. Zaskakuje Grecja – wbrew przekonaniu, że w ciepłych krajach Polak niechętnie zwiedza, tylko plażuje all-inclusive, prócz Korfu i Rodos kręcą nas Ateny. Jest i bardziej przyziemne wyjaśnienie, czemu latem wybieramy metropolie – prócz Aten na topie są Paryż i Nowy Jork – otóż to bazy wypadowe do regionów stricto wypoczynkowych, do których bezpośrednich połączeń jest mniej i są droższe. ●

Cytat tygodnia

*Trudno wskazać
takie dobro,
którego ochrona
wymagałaby
całkowitego
zakazu
uczestniczenia
w polowaniach
osób poniżej
18. roku życia*

Ze złożonego przez PiS projektu ustawy o ograniczeniu biurokracji i barier prawnych. To kolejne podejście myślowych do zniesienia zakazu

Jak Kaczyński przyrządzi nową przystawkę

Trzecia kadencja, a potem polexit

W kuluarach cały czas toczą się rozmowy o współpracy Konfederacji z PiS

Wielowieyska



W tej kampanii ważne są nie tylko drożyna, imigranci, Wołyń i 800+. Równie ważne jest to, jak Polacy postrzegają rolę Konfederacji. Jej liderzy powtarzają w chórze z politykami PiS, że żadnej koalicji z Kaczyńskim nie będzie, bo z sondaży wynika, że taki przekaz im się opłaca, a rozmowy o współpracy toczą się w kuluarach cały czas.

PIŚ chce, aby partia Krzysztofa Bosaka, Sławomira Menzteni i Grzegorza Brauna była postrzegana jako przyszły partner demokratycznej opozycji. – Przecież wiadomo, że po wyborach Konfederacja wejdzie w sojusz z Tuskiem, a potem już w lutym wystawi ten rząd do wiatru i będą przyspieszone wybory – mówi mi polityk obozu rządzącego. PIŚ zależy, aby taka opowieść utrwaliła się w głowach Polaków.

Z kolei opozycja chce, aby Konfederacja była uważana za przyszłego koalicjanta PiS. A sami konfederaci twierdzą, że z nikim nie wejdą w sojusz i poczekają na przyspieszone wybory, by wyrzucić stolik. Oj, było już tyłu, którzy chcieli wyrzucić stolik: Palikot, Petru, Kukiz. A stolik jak stał, tak stoi. Ale Konfederacja będzie kreować się na antysystemową, kopiując taktykę Kukiza sprzed lat, bo wierzy, że to ją wzmocni w sondażach.

Jeden z polityków opozycji, opierając się na badaniach fokusowych, w rozmowie ze mną stawia tezę, że dla wygranej opozycji kluczowe znaczenie ma

przekonanie Polaków, że konfederaci to wychodowany sojusznik PiS. I że głosowanie na tę partię to tak naprawdę głos oddany na dalsze rządy Kaczyńskiego.

To, że konfederaci będą współpracować z PiS, jest bardzo prawdopodobne. Za kulisami trwają zabiegi, by wypracować dobre relacje. Ale ani jedna, ani druga strona nie chce się afszować. PiS boi się, że jego wyborcy stwierdzą, że w sumie nie ma wielkiego znaczenia, czy zgłoszą na Kaczyńskiego, czy na Bosaka i Mentzena. A niektórzy wyborcy partii rządzącej zniesmaczeni złodziejstwem i kolesiostwem nigdy nie zgłoszą na Tuska, ale chcą jakoś PiS ukarać. Najlepszym wyjściem jest przerzucenie głosów na Konfederację, bo będą mieli ten komfort, że opozycji demokratycznej nie dopuszczają do władzy.

Kaczyński tego nie chce i dlatego politycy rządzący rozpowiadali, że w sondażach wewnętrznych (te mityczne sondaże wewnętrzne!) mają ponad 40 proc. Chcieli przekonać elektorat, że wciąż w grze jest opcja, że PiS będzie rządził samodzielnie, i zachęcić wątpiących, by pozostali przy partii rządzącej.

Kaczyński oczywiście nie chce robić koalicji z nikim, a jeśli już, to z częścią Konfederacji. W zależności od wyniku wyborów rozważa różne warianty. Najchętniej po wyborach doprowadziłby do podziału Konfederacji, z grupą posłów tego klubu stworzyłby rząd, zaoferował posłom lukratywne posady. W taki właśnie sposób utrzymuje większość w Sejmie w tej kadencji.

Konfederaci będą powtarzać, że oni się przekupić nie dadzą. Doświadczenie uczy jednak, że w przypadku małej partii, która kusi świeżością i nagle rośnie w sondażach, często mamy do czynienia z tłumem przypadkowych kandydatów. Do Sejmu wejdą ludzie nie do końca rozpoznani przez lide-

rów. I pewnie znajdzie się tam trochę „Kaluż”. Wojciech Kaluża jest symbolem zdrady politycznej i oszukiwania wyborców. W wyborach samorządowych zdobył mandat radnego z rekomendacji KO, ale zaraz przeszedł na stronę PiS. I zdarzyło się to partii bardziej niż Konfederacja doświadczonej, która ma struktury w terenie i niezłe rozeznanie, kto jest godny zaufania.

Osobą, która przeprowadziła tę operację, był ówczesny szef kancelarii premiera Michał Dworczyk. Dzięki temu PiS przejął władzę w sejmiku śląskim. W PiS można usłyszeć, że Dworczyk wstydi się i nie chce o niej rozmawiać. Ale gdy przyjdzie co do czego, to w nowym Sejmie wykona po raz kolejny taką misję.

Dworczyk, człowiek do zadań specjalnych PiS, przywiązuje dużą wagę do dobrych relacji z narodowcami

Sporo się mówi o tym, że więzi między PiS a Konfederacją chce budować lobbysta Przemysław Wipler. Ale ten korwinista (z przerwami na orbitowanie wokół PiS) nie jest lubiany na Nowogrodzkiej, ma osobistego wroga w Adamie Bielanie, który akurat dołączył do grupy decyzyjnej, czyli sztabu wyborczego. Dlatego najpewniej zadanie spadnie na człowieka do zadań specjalnych.

Ciekawy jest mail Dworczyka do premiera Morawieckiego. „Mateusz, sprawa z Kukizem wygląda tak: projekt ustawy jest złożony, umówiłem się dziś na następujące terminy: pierwsze czytanie 2-3.04, drugie i trzecie 25.03.

Posel sprawozdawca – Rzymkowski. Kukizy zadowolone”. Mowa o ustawie antykorupcyjnej autorstwa Kukiz’15. „Tyszka, podkreślając, że muszą się uwiarygadniać, i to nic osobistego, obiecał, że będzie się »uwiarygadniał«, atakując rząd »in corpore« [w komplecie], a nie personalnie – zobaczymy” – pisze Dworczyk.

Dworczyk pisał o ówczesnym pośle Kukiz15 Stanisławie Tyszcze, który jest już w Konfederacji. Oficjalnie Tysza prezentował się jako anti-PiS, a tu proszę, rozmowy z ekipą Morawieckiego były toczone, a jednocześnie miały być stwarzane pozory niezależności od rządu. To przedsmak, jak będzie po wyborach.

Dworczyk zresztą przywiązywał dużą wagę do dobrych relacji z narodowcami. Co prawda obawiał Roberta Bąkiewicza, którego ze środowiska Konfederacji pogoniono, ale znalazł się następny chętny. Więzy między tymi środowiskami i liczne wspólne głosowania są oczywistością. To naturalny partner dla PiS i być może przedzie tę samą drogę co antysystemowy Kukiz, który przecież też miał wywrócić stolik. Też uwodził tym, że jest spoza establishmentu, nawiązywał do ideologii narodowej, zapowiadał neoliberalną politykę, a skończył jako przystawka skonsumentowana przez PiS.

Ale może być też tak, że powstanie koalicja PiS-Konfederacja, która w praktyce wyprowadzi Polskę z Unii Europejskiej, osłabi więzi z USA, a przede wszystkim sprawi – o ile zapowiedzi PiS i konfederatów będą realizowane – że Polska nie dostanie już żadnych pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy i głównego budżetu UE albo tylko niewielką ich część. Tak, to te słynne 770 mld zł, które na plakatach umieścił niedługo Morawiecki i jeździł z nimi po kraju. Dla Polski to fatalny scenariusz. ● **Dominika Wielowieyska**

Ptasia grypa

NIE PANIKUJ, POGŁASZCZ KOTA, UMYJ RĘCE

Ten wirus nie przenosi się między ssakami.

A jeśli zaczniesz, to mamy leki i szczepionki. Powtórki z COVID-19 raczej nie będzie



Z WIRUSOLOGIEM PROF. KRZYSZTOFEM PYRCIEM* ROZMAWIA KASPER KALINOWSKI

Pandemię COVID zafundowaliśmy sobie na własne życzenie. Podobnie jest z wirusem ptasiej grypy atakującym obecnie koty?

– Pandemie i choroby zakaźne to coś, z czym mamy do czynienia od zawsze. Nie jest tak, że ludzkość jakoś przyczyniła się do samego powstania tego zagrożenia.

Natomiast urbanizacja, zmiany klimatu czy olbrzymia dewastacja środowiska naturalnego to czynniki, które sprzyjają częstszemu występowaniu pandemii. Pandemia to w istocie efekt transferu wirusa od zwierząt do ludzi.

W ostatnich latach mieliśmy już całą serię takich zdarzeń. W 2002 r. pojawił się SARS-CoV-1. Po nim świńska grypa H1N1, potem wirus MERS-CoV i przenoszona przez komary zika. Aż nadszedł SARS-CoV-2, czyli COVID-19, który zmienił nasze życie na dwa lata. Można przypuszczać, że do takich zdarzeń będzie dochodziło tym częściej, im bardziej będziemy wchodzić z butami w przyrodę. Pamiętajmy jednak, że chociaż mamy więcej zagrożeń, to potrafiemy sobie również lepiej z nimi radzić.

Jeżeli chodzi o ptasią gripę, to ten patogen nie jest nowy. Znamy go od końca lat 90. W 1997 r. stwierdzono, że może powodować ciężką i śmiertelną chorobę u ludzi. Spowodowało to duże poruszenie i przez parę lat w napięciu zastanawiano się, czy dojdzie do adaptacji do organizmu człowieka i w efekcie do pandemii. Lata jednak upływały i powoli zaczęto o tym zapominać.

Około 2010 r. naukowcy z Rotterdamu pokazali, że wirus może zaadaptować się do nowych warunków i stosunkowo niewielkie zmiany w jego genomie mogą pozwolić mu na efektywną transmisję pomiędzy ludźmi. Przez kolejną dekadę nic się nie działo, jednak w 2021 r. ptasi wirus H5N1 zmienił się i zyskał zdolność do lepszego przenoszenia się między ptakami. Od około 2 lat mamy pandemię wirusa H5N1 u ptactwa i coraz częstsze przypadki zakażeń u ssaków. Do tej pory w Polsce ten fakt nie był szeroko znany, jednak ostatnio zagrożenie pojawiło się również u nas i dotknęło nasze zwierzęta domowe.

Czy to dzwonek alarmowy silniejszy niż ten w Wuhanie, gdy jesienią 2019 odnotowano pierwsze przypadki COVID-u?

– Pojawienie się wirusa u kotów to nie powód do paniki, ale objaw globalnej tendencji, która w dłuższej perspektywie jest bardzo niebezpieczna. Inne objawy to kilkanaście tysięcy martwych ssaków mor-

skich w Ameryce Południowej w marcu tego roku czy coraz liczniejsze przypadki zakażeń u ssaków lądowych na całym świecie. Ważnym sygnałem ostrzegawczym było pojawienie się wirusa w farmie norek w Hiszpanii w drugiej połowie zeszłego roku. Doszło tam do transmisji wirusa pomiędzy zwierzętami przebywającymi bardzo blisko siebie i przynajmniej częściowej adaptacji wirusa.

Samo pojawienie się przypadków u kotów to nie znak do rozpoczęcia radykalnych działań, ale sygnał ostrzegawczy, czy raczej przypomnienie: rok 2020 wcześniej czy później się powtórzy. Powinniśmy być gotowi.

Naukowcy długo byli przekonani, że podtyp H5 nie zakaża człowieka. Aż w 1997 r. H5N1 wywołał epidemię w Hongkongu i okazał się jednym z najgroźniejszych współczesnych patogenów – śmiertelność wyniosła powyżej 40 proc. Kiedy redaktor zapytał, czybym z panem porozmawiał, tak uzasadnił: „gadamy o detalach, kotach i nieudolności instytucji od higieny, a tymczasem grozi nam apokalipsa serio, kiedy wszyscy, nie tylko starzy czy schorowani, będziemy musieli się zaspawać w domach”.

– Nie zajmuję się przewidywaniem przyszłości. Jestem naukowcem. Według obecnej wiedzy to najbardziej prawdopodobny wirus, który w przyszłości spowoduje pandemię. Ale mimo olbrzymiej śmiertelności można przypuszczać, że po uzyskaniu zdolności do przenoszenia się między ludźmi ta śmiertelność będzie niższa z bardzo prostego powodu.

Grypa H5N1 wykorzystuje do wejścia do komórek cząsteczki z grupy cukrów – kwasy sialowe. U zwierząt i ludzi są one obecne na powierzchni komórek, natomiast między ptakami a ssakami istnieje pewna różnica w kształcie tych cząsteczek. Żeby zakażać komórki człowieka, H5N1 potrzebuje cząsteczek o wybranej konformacji, które znajdują się dość głęboko w układzie oddechowym. Dlatego zakażenie nie jest łatwe – wirus musi dostać się bardzo głęboko do naszych płuc. Dodatkowo temperatura ciała ptaków jest wyższa niż temperatura ciała ludzi. Wirus musi więc nauczyć się radzić sobie w niższej temperaturze oraz rozpoznawać cząsteczki cukru obecne w komórkach górnych dróg oddechowych.

Obie te zmiany są możliwe i stosunkowo mało skomplikowane – adaptację do niższych temperatur obserwuje się całkiem często. Warto jednak zauważyć, że jeżeli wirus będzie czuł się lepiej w górnych drogach oddechowych, to najprawdopodobniej gorzej będzie się czuł w samych płucach. W efekcie



można spekulować, że realna śmiertelność, obecnie szacowana na 40-60 proc., będzie niższa. Pamiętajmy, że dowiemy się tego na pewno dopiero wtedy, kiedy zagrożenie stanie się realne.

Jednak w przypadku wirusów niższa śmiertelność może być paradoksalnie większym powodem do obaw.

– Z punktu widzenia jednostki oczywiście nie, ale wysoka śmiertelność oznacza również wyraźne objawy i łatwość identyfikacji chorych. Tak było z epidemią SARS-CoV-1, gdzie śmiertelność była na poziomie 10 proc., którą udało się stosunkowo szybko wygasić. Natomiast w przypadku SARS-CoV-2 u części osób zakażenie przebiegało bezobjawowo, jednak zarażony w dalszym ciągu zarażał innych. Paradoksalnie niższa śmiertelność sprzyjała rozprzestrzenianiu się patogenu w społeczeństwie.

W Hongkongu wybito wtedy cały drób. Trudno wyobrazić sobie, że postąpimy tak samo z kotami. Co więc możemy zrobić?

– Wybijanie kotów czy psów to absurdalny pomysł i do tego całkiem bezsensowny. Koty czy psy są ofiarami, podobnie jak możemy stać się nimi my. Problem z drobiem polega na tym, że jest hodowany na skalę przemysłową – na zakażenie wrażliwa jest olbrzymia liczba ptaków stłoczonych na niewielkiej przestrzeni. Smutną konsekwencją jest to, że gdy pojawia się choroba zakaźna, stada są, jak to się eufemistycznie mówi, likwidowane. Ale, zauważmy, to



To najbardziej prawdopodobny kandydat na przyszłą pandemię. Warto jednak pamiętać, że śmiertelność wirusa, który zaczyna się przenosić między ludźmi, może być znacznie niższa od obserwowanej w Hongkongu w 1997 r. i w kolejnych latach

brzmi makabrycznie, ale i tak by je spotkało. Przecież te zwierzęta są hodowane na mięso.

Natomiast psy ani koty nie stanowią dla nas specjalnego zagrożenia. Oczywiście potrzebne są jakieś podstawowe środki bezpieczeństwa, ale zdroworozsądkowe, których powinniśmy przestrzegać i bez ptasiej grypy – myć ręce, nie przytulać twarzą do pyszczka kota, nie miziać nosami.

Powtórzę, ten wirus nie przenosi się łatwo pomiędzy ssakami – nie odnotowano jeszcze żadnego przypadku zakażenia człowieka od kota. Prędzej zarazimy się od ptaków, czy to dzikich, czy hodowlanych. A jeśli H5N1 zyska zdolność transmisji między ssakami, to i tak koty i psy będą najmnijszym problemem.

Robert Webster, jeden z najsłynniejszych badaczy ptasiej grypy, mówi, że jeśli wirus nauczy się przenosić z człowieka na człowieka, to „niech Bóg ma nas w swojej opiece”.

– Jeżeli pojawi się taka transmisja i będzie efektywna, to niestety możemy mieć powtórkę z ostatniej pandemii. Jak bolesna? Zależy od wielu czynników, włączając w to śmiertelność.

Wciąż nie wiemy, skąd wirus wziął się w mięsie, które jadły koty. Jakie działania powinniśmy podjąć?

– Podkreślałem i podkreślam, również w dementi wcześniejszego artykułu w „Wyborczej”, że nie mamy żadnych dowodów, że mięso ze sklepu było skażone wirusem w efekcie zakażenia drobiu. Mamy natomiast bardzo mocne poszlaki, że ścieżką transmisji może być pokarm.

Wiemy, że wirus występuje w tym momencie tylko na terenie Polski – nie odnotowano przypadków u kotów poza Polską. Wiemy również, że zaraza koty w całym kraju w sposób dość losowy, nie widzimy na szczęście ognisk zakażeń z transmisją pomiędzy kotami. Ponadto chorują koty wychodzące i niewychodzące z domu, w związku z czym kontakt bezpośredni z ptactwem można wykluczyć. Do tego wirusy są do siebie bardzo podobne, co sugeruje, że pochodzą z jednego źródła.

Chociaż w tym momencie nie można stwierdzić, że źródłem zakażenia jest drób, nie można tego również w pełni wykluczyć. W mojej ocenie

• Środa 17 grudnia 1997, rządowi weterynarze Howard Wong (z lewej) i Thomas Sit (w środku) pobierają próbki odchodów kurczaka na największym w Hongkongu hurtowym targu drobiu. Kilka dni wcześniej targ zamknięto, żeby zdezynfekować go po śmierci dwóch osób zarażonych ptasią gripą.

FOT. VINCENT YUAP

nie mamy wystarczających danych, więc służby weterynaryjne powinny przeprowadzić śledztwo i znaleźć źródło. Źródło, które potencjalnie może stanowić zagrożenie również dla zdrowia publicznego.

Pamiętajmy, że choroby zakaźne mogą zdarzyć się wszędzie i nie ma w tym winy hodowców ani Ministerstwa Rolnictwa. Jednak już brak reakcji, rzetelnej oceny ryzyka i ewentualnej decyzji o monitorowaniu może skończyć się tragicznie nie tylko dla kotów. Pomijając kwestie zdrowotne, z powodu bezczynności boleśnie może ucierpieć bardzo ważna gałąź polskiej gospodarki. Polski przemysł drobiarski to 20 proc. rynku całej Unii Europejskiej, sam eksport jest wart ponad 3 mld euro rocznie. Niezależnie od tego, czy ja, że się tak wyrażę, zgadzam się z masową hodowlą zwierząt w obecnej formie, to musimy pamiętać, że jest to ważne źródło zatrudnienia w Polsce, i ten aspekt również powinniśmy brać pod uwagę.

„Nie ma dzisiaj zagrożenia dla konsumentów, polski drób jest wysokiej jakości” – zapewniał wiceminister rolnictwa Krzysztof Cieciora.

– Przekaz powinien być prosty: pojawiły się doniesienia, więc je sprawdzamy, prowadzimy testy i zbieramy próbki pokarmu i próbki środowiskowe z całego kraju. Tak wygląda odpowiedzialna postawa – a obecnie mamy do czynienia ze stwierdzeniami niepopartymi badaniami. Przynajmniej ja nie wiem, żeby jakieś były prowadzone.

Wracam do domu, ściagam buty na korytarzu i wkładam do szafki. Nie wypuszczam kotów na zewnątrz. Nie daję im surowego mięsa. To stosunkowo proste i moim zdaniem wystarczające środki. Nie jesteśmy w stanie odizolować się od wirusa i nie możemy dać się zwariować

Straciliśmy trochę czasu. Przez pierwsze tygodnie weterynarze porozumiewali się na forach internetowych.

– Wtedy zaczęliśmy badania. Tylko dlatego, że zaczęły się do mnie zwracać osoby prywatne i weterynarze, którzy zauważyli problem. Jeżeli mamy takie informacje, to odpowiedzialność nakazuje je sprawdzić. Państwo powinno działać i je weryfikować, a dopiero później dementować. Jeżeli jest odwrotnie, to tracimy jako kraj.

A czy pański zespół kontaktuje się, choćby nieformalnie, koleżeńsko, z ludźmi nauki ze świata? Skoro istnieje ryzyko, nawet niewielkie, że będzie powtórka z COVID-u, to może lepiej zawczasu się przygotować.

– Uczestniczymy w projekcie Durable gromadzącym 19 najlepszych zespołów naukowców z całej Europy, który ma na celu identyfikację i szybką odpowiedź w przypadku pojawienia się zagrożeń biologicznych. Na poziomie badań działamy wspólnie.

Natomiast jeśli idzie o konkretne działania terenowe, to powinny odbyć się na poziomie krajowym. Śledztwo epidemiologiczne musi przeprowadzić państwo za pośrednictwem służb weterynaryjnych lub sanitarnych. Nie dysponuję ani możliwościami, ani zasobami czy autoryzacją do prowadzenia takich badań. Możemy jedynie wspomagać proces wnioskowania, wykorzystując nasze doświadczenie.

Do działań jednak aktywnie nawołuję, bo czas upływa i za chwilę po prostu nie będzie czego szukać – liczba przypadków nie rośnie, więc można przypuszczać, że źródło w jakiś sposób zostało wyeliminowane. Nie znaczy to jednak, że zagrożenie nie wróci. Powinniśmy wiedzieć, czy chodzi o mięso, czy o karmę dla kotów, czy jeszcze inny czynnik. Powinniśmy też sprawdzić próbki środowiskowe, czyli przetestować na obecność wirusa rzeczy, z którymi koty się kontaktują – powierzchnie balkonów, oczka wodne, czy nawet brud na naszych butach. To raczej standardowe analizy.

Największa krytyka spotyka Główny Inspektorat Weterynarii. Bo właściciele zwierząt lub lecznice płacą z własnej kieszeni, jeśli chcą wiedzieć, czy ich kota zabił wirus H5N1.

– My w celach naukowych prowadzimy takie badania, jednak nie jesteśmy jednostką diagnostyczną, a nasze wyniki mają wartość głównie naukową. Kiedy pojawia się takie zagrożenie, potrzebne jest odpowiedzialne podejście. Zwłaszcza że w skali kraju, biorąc pod uwagę potencjalne ryzyko, koszty są żadne.

Na jakie objawy powinniśmy zwrócić uwagę u kota? Co powinno nas zaniepokoić?

– Powinniśmy się zdawać na ludzi, którzy są ekspertami, a ja nie jestem weterynarzem. Mogę powiedzieć tyle, że wśród opisywanych objawów występuje złe samopoczucie, brak apetytu, ospałość zwierzęcia, potem dołączają objawy neurologiczne. Jeżeli mamy jakiegokolwiek wątpliwości, proponuję udać się do weterynarza.

Wirus zaatakował również po raz pierwszy psy. To kolejny powód do niepokoju. – Mówi pan o tych przypadkach z Włoch?

Tak.

– Po pierwsze, u psów choroba ma łagodniejszy przebieg i nie prowadzi do zgonu. Po drugie, we Włoszech przyczyną był najprawdopodobniej bezpośredni kontakt zwierząt z ptakami, nie transmisja między psami lub nieznane źródło wirusa. Po trzecie, u psów nie wykryto zakażenia, tylko obecność przeciwciał, co sugeruje, że zakażenie przeszły bardzo łagodnie. To nakreśla medialnie historia.

Malaria ptasia różni się od ludzkiej, ale pomogła zrozumieć przebieg choroby u ludzi. Może podobnie będzie w przypadku ptasiej grypy – nim wirus nauczy się transmitować między ssakami, zrozumienie choroby u ptaków umożliwi nam skuteczne leczenie ludzi?

– Mając wirusa w laboratorium, możemy sprawdzać, na co jest wrażliwy, na co nie. Wszystkich zmiennych i kierunku ewolucji nie przewidzimy, ale jesteśmy w stanie przygotować się na to, co nadejdzie, i analizować, co się może wydarzyć. Realizujemy już projekty, które poszukują i analizują zagrożenia, jakie pojawiają się za 10 lat. Szukamy wirusów w świecie zwierząt, które mają potencjał do przenoszenia się na ludzi.

Niedawno uczestniczył pan w spotkaniu europejskiego projektu badawczego. Do jakich wniosków doszli eksperci?

– Takie projekty badawcze to nie klub dyskusyjny, tylko dusza i ciało nauki. Zbieramy próbki od zwierząt, szukamy w laboratorium, czy jest w nich coś ciekawego, weryfikujemy, jak duże w przypadku poszczególnych wirusów jest zagrożenie dla człowieka. To praca w terenie i z pipetą w dłoni. Planujemy, jakie dalsze badania przeprowadzić, w jaki sposób testować i weryfikować. W obecnym projekcie – w którym oprócz nas biorą udział naukowcy z Hiszpanii, Francji i Włoch – badamy również ekologię wirusów u dzikich zwierząt w Polsce. We współpracy zresztą z naukowcami z PIWet w Puławach, którzy odgrywają w projekcie ważną rolę.

Grypa jest zmiennym zarazkiem – każdej jesieni potrzebujemy nowej szczepionki. Tak będzie również w przypadku ptasiej grypy – wirus będzie szybko mutował?

– Oczywiście, to przecież ten sam wirus, pamiętajmy jednak, że w tym przypadku mamy już technologię produkcji szczepionki. Mamy również gotowe szczepionki, które zostały stworzone do ochrony przed wirusem H5N1. Dodatkowo mamy inne szczepionki, które są magazynowane na wypadek pandemii. Jedną z nich, Aflunov (Seqirus), jest przeznaczona do ochrony osób, które mają kontakt z potencjalnie zakażonymi zwierzętami, natomiast kolejne 4 – AstraZeneca, Baxter, GlaxoSmithKline, Seqirus – mogą być łatwo uaktualnione i wykorzystane w przypadku pandemii.

Świat pomyślał o tym wcześniej, bo takie zagrożenie wisi nad nami już od dłuższego czasu.

Chociaż szczepionki są gotowe, ich przydatność trzeba będzie ocenić w przypadku pojawienia się zagrożenia. Podobnie jak w przypadku ewoluującej grypy sezonowej preparaty z czasem po prostu tracą skuteczność. To, co mamy w magazynach, nie będzie skuteczne za 5 czy 10 lat, ale technologia istnieje i mamy solidną bazę już na starcie.

W przypadku ptasiej grypy mamy również leki, włączając w to oseltamiwir i zanamiwir – inhibitory neuraminidazy – oraz baloksawir marboksil – inhibitor polimerazy, które redukują ryzyko ciężkiego przebiegu choroby. Trzeba je jednak podać bardzo wcześnie po pojawieniu się objawów – nie zmienia to faktu, że mamy całkiem spory arsenał.

To chyba najważniejsza informacja z naszej rozmowy – że nawet w przypadku czarnego scenariusza nie będzie powtórek z pandemii COVID-19. Nie w wymiarze medycznym, ale organizacyjnym, infrastrukturalnym, komunikacji między instytucjami, państwami, też psychologicznym. Bo, jak rozumiem, pandemia ptasiej grypy byłaby łatwiejsza do skontrolowania.

– Oczywiście, jednak pod warunkiem, że większość społeczeństwa by się zaszczepiła. A jak pokazało doświadczenie, wysoki poziom dezinformacji i chaosu informacyjnego sprawia, że wiele osób się nie szczepi. Co spowodowało chociażby, że jesień 2021, która w takiej Danii była już spokojna, u nas pochłonęła ponad 50 tysięcy ofiar śmiertelnych.

Wróćmy do tu i teraz – jak powinno wyglądać wzorcowe działanie? Może na przykładzie – co, gdyby wirus ptasiej grypy wykryto u kotów w Szwajcarii czy w Danii?

– Sygnał o zagrożeniu powinienem płynąć od dołu do góry. To jest dość prosty i logiczny schemat: docierają do nas informacje od weterynarzy i właścicieli kotów – natychmiast sprawdzamy, co to może być – jeśli zidentyfikowaliśmy zagrożenie, od razu przeprowadzamy badania terenowe. Szukamy, w jaki sposób wirus dotarł do tych zwierząt, sprawdzamy żywność, którą otrzymywały, zbieramy wywiady. Na tej podstawie szacujemy, jaka ścieżka zakażeń jest najbardziej prawdopodobna, i tę ścieżkę przecinamy – i nadal monitorujemy sytuację.

No i równolegle informujemy wszystkich dookoła, jak wygląda sytuacja. Bo jeżeli nie ma pełnej informacji od instytucji publicznych, tylko są wycinkowe newsy i opinie, to pojawiają się coraz dziksze fantazje. Tylko transparentne działanie buduje zaufanie.

Znajdujemy się właśnie w takiej mgłę informacyjnej, a rząd nie spieszy się z działaniami. Co możemy zrobić na poziomie indywidualnego Kowalskiego?

– Mogę powiedzieć, co robię ze swoimi trzema kotami?

Pewnie!

– Wracam do domu, ściagam buty na korytarzu i wkładam je do szafki. Nie wypuszczam zwierzątek na zewnątrz. Nie daję im surowego mięsa. To chyba nie jest zbyt dużo. Pamiętajmy, żeby nie dać się zwariować również w drugą stronę. Nie jesteśmy w stanie odizolować się całkiem od wirusa i nie możemy dać się zwariować. Miejsmy też świadomość skali – do tej pory odnotowano kilkadziesiąt przypadków w skali całego kraju. Reakcja powinna być adekwatna do zagrożenia. Koty co prawda nie są specjalnie zadowolone, ale przeżyją, chwilę nie wychodząc na zewnątrz. ●



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Krzysztof Pyrc

• wirusolog, profesor, kierownik Pracowni Wirusologii Małopolskiego Centrum Biotechnologii UJ. Jest członkiem grupy doradczej ds. COVID-19 przy Komisji Europejskiej i Komitecie ds. Kryzysu Klimatycznego PAN. Prowadzi zespół badaczy, którego prace skupiają się na zakażeniach wirusowych u ludzi i zwierząt, włączając w to przypadki ptasiej grypy u kotów

Chore na ptasią grypę psy we Włoszech to nakreślona medialnie historia. Po pierwsze, zaraziły się od ptaków, nie między sobą. Po drugie, nie stwierdzono choroby tylko obecność przeciwciał, co sugeruje, że zakażenie przeszły bardzo łagodnie

FOT. CZAREK SOKOLOWSKI/AP

Casa nostra

Z tego kościółka wieje nuda

News dnia, Giorgia Meloni jedzie do Polski! Kupuję włoskie gazety, a tam ani słowa

Mikołajewski



To nasza prawie dwudziestoletnia tradycja: spędzać we Włoszech cały li-piec. W Maremmie, nadmorskiej czę-ści Toskanii. O skali świętości rodzinne-go rytuału niech świadczy to, że po raz trzeci z rzędu rezygnuję z zaproszenia Olgi Tokarczuk na Góry Literatury. Bo Festiwal Olgi jest właśnie w lipcu.

Placzę więc, ale – przepraszam, Ol-go – inaczej się nie da. Na tokańskich bateriach będę musiał przeżyć cały ko-lejny rok, rok męczący i zmęczony, trudny, ostatni przed emeryturą.

Pierwszą noc spędzamy w Bolonii, gdzie dotkliwie doświadczamy nowej rzeczywistości: w hotelach, gdzie w ze-szłym roku płacono się sto, teraz pla-ci się sto pięćdziesiąt, a po tym jak re-cepcjonista dolicza wszystkie dodatki, z pieskiem, parkingiem (o który nie prosiłem) i taksą turystyczną – sto dzie-więćdziesiąt. Za trzy osoby, maleniką Lunę i śniadanie we wnętrzu wykroj-onym ze starego klasztoru.

Czytam z zainteresowaniem, że za kilka dni burmistrz uniwersyteckiego miasta, gdzie publicznie czytali Mickie-wicz i Szymborska, wprowadzi ograni-czenie prędkości do 30 kilometrów na godzinę. Mandaty zaczną być egzekwo-wane za jakiś czas, po wstępnym okre-sie prób i błędów.

To jeden z najbardziej dyskutowa-nych problemów w całych Włoszech – walka burmistrza o bezpieczeństwo na ulicach Bolonii. Niezadowolone wie-lu mieszkańców, zwłaszcza dostaw-ców. Na pytania dziennikarzy, czy go-spodarz miasta nie boi się utraty po-pularności i poparcia, ten odpowiada: „Nie mogę znieść myśli, że ludzie umie-rają na jezdni. I jeśli za czynny sprzeci-w mam stracić głosy, nic mnie to nie ob-chodzi”. Ta wypowiedź komentowana jest wzdłuż i wszerz półwyspu: że w po-lityce trzeba przywrócić rządy idei, nie koniunktury...

W tych dniach Włosi żyją jednak przede wszystkim śmiercią 17-letniej Michel-le, zamordowanej na peryferiach Rzy-mu przez rówieśnika, migranta. Wrzu-conej do wózka z supermarketu i pozo-stawionej obok śmietnika.

Jest marsz pamięci, jest msza, są de-baty: nie o zbrodniczych skłonnościach uchodźców, o czym boję się, że rozma-wialiby Polacy (bo rozmawiają, na mar-ginesie śmierci młodej Anastazji), lecz o przedmieściach. To stary pasoliniań-ski temat, przywrócony przez kolej-ne młodociane morderstwo na młodo-cianej ofierze. W latach 70. mówiło się o zblazowaniu bogatych chłopaków z Parioli, którzy zabijali z nudów, o za-wstydzeniu biedaków, których nie stać było na to, by zaprosić dziewczyny do centrum miasta i świata na piwo... Dziś mówi się głównie o innym problemie, który przewidział Pier Paolo Pasolini: o zblazowaniu lumpów, którzy despe-racko imitują zblazowanie bogaczy.

W dyskusjach telewizyjnych pa-da mnóstwo banałów w rodzaju (cytu-jąc Papcia Chmiela): „w moich czasach harcerze byli grzeczniejsi”. Padają też uwagi ciekawe i dla nas, w kraju, który nie lubi uczyć się na cudzym doświad-czeniu (kiedy Francja i Wielka Brytania zaczęły rozwiązywać problemy, my zajmowaliśmy się udawaniem, że one nas nie dotyczą). Po pierwsze: przegrywa-jąc swoją megalomanią, słabością cha-

rakteru i miernością własną misję, wie-le młodych egzystencji przegrał Kościół. Dawniej – socjologowie przypomina-ją m.in. św. Filipa Nereusza – kapła-ni, będąc wiarygodni, wypełniali spo-leczną lukę braku autorytetów. Wie-lu współczesnych badaczy pamięta po-wojenne działania wychowawcze ora-toriów (o ich sile pisałem tu niedaw-no w kontekście biografii Ignazia Silo-ne). Dziś – mówią – nikt nie znalazł spo-sobu na skuteczną walkę z łańcuchem nieszczęść wywołanych przez uzależ-nienia.

Nie chodzi tylko o biologiczną de-strukcję. Także o mechanizm degeneracji społecznej. Odwołując się do przy-kładu Michelle i jej zabójcy: ona poży-czyła mu pieniądze na narkotyki – nie-wiele, jakieś 40 euro – a on, jej przyja-ciel, nie mogąc ich oddać, zadał dziew-czynie serię śmiertelnych ciosów no-żem, żeby się uwolnić od długu.

Czyja wina? Nie uchodźców. Nie współczującego państwa włoskiego, które migrantów przyjmuje. Raczej państwa biernego i bezradnego, któ-re problem cywilizacyjnego osamotnie-nia omija z daleka. Dorosłych, którzy grzęzną w pryncypiach w rodzaju „rób-my coraz więcej dzieci”, walczą o ży-cia nienarodzone, zapominając o naro-dzonych.

Chodzę po tokańskim lesie, myślę o mircie i o 600 uchodźcach, którzy utonęli w drodze do Włoch. Jaszczurki, które w zeszłym roku były znacznie mniejsze, są dzisiaj grubości węża

Giorgia Meloni jedzie do Polski – wiadomość jest tutaj drugo-, może trze-ciorzędna. W dniu jej wizyty, w środę, kupuję „Corriere della Sera” – ani sło-wa. Nie tylko cienia pogłębionej ana-lizy. Nie znajdziemy w gazetach zwy-kłej wzmianki. Przyczyny? Po pierw-sze, utrata międzynarodowej rangi Pol-ski. Polska przestała być w Europie roz-mówcą na poziomie idei. Już kilka lat temu wielka reżyserka Liliana Cavani mówiła mi, że we Włoszech nikt nicze-go ciekawego od Polski nie oczekuje.

Przyjrzyjmy się naszym środowi-skom, nam samym: z jednej strony je-steśmy bezrefleksyjnymi pozerami, którzy demonstrują bogactwo bez żad-nej odpowiedzialności za losy ludzi i świata. Z drugiej – narodowymi py-szałkami, którzy, nie wiadomo skąd, czerpią poczucie wyższości i siły. Z te-go, że Polak był papieżem? A ilu papie-ży mieli Włosi?

Nie zapomnę rozmowy dwojga Pola-ków, tak zwanej małżeńskiej pary, któ-ra całkiem poważnie, w centrum Rzy-mu, jak dzieło sztuki światowej trakto-wała Licheń, konfrontując go artystycz-nie z Sykstynią.

Mówiła Cavani: Polska chwali się sukcesami finansowymi, wysokimi wartościami (co za słowo w tym kon-tekście...) produktu narodowego brut-to. „Po cholery?”; pytała retorycznie. Je-śli się zarabia, to przecież po to, żeby poznawać i dojrzewać, pomagać, żeby lepiej było całemu światu. „A wy co ro-bicie z pieniędzmi? Kupujecie nowe sa-

mochody, a los biedaków z Afryki i Azji macie za nic”.

Zadaje sobie pytanie: po co Meloni pojechała do Polski? Czy oczekiwała, że polski premier zmieni zdanie w kwestii relokacji migrantów? Jestem pewny, że włoski rząd nie ma żadnej nadziei na kompromis, a do natury tego premie-ra nie należy doskonałość refleksja. Je-go glebą jest bezmyślne posłuszeństwo i koniunkturalizm. Pani Meloni powta-rza raz za razem, że nie ma pretensji do kraju, który chce bronić własnej toż-samości i granic. Po cóż więc przyjeż-dża? Po głosy dla prawicy przed wybo-rami europejskimi? To brzmi już bar-dziej wiarygodnie.

Za pytaniami o sens tej wizyty kłę-bią się myśli przykre: Polski prawie nikt już nie bierze pod uwagę. Polska jest krajem intelektualnie (tak, i mieszczań-ska sztuka, w tym mieszczańskie ekspe-rymenty teatralne ograniczone do for-my, pozbawione prawdziwego skan-dalu idei i buntu tego nie zmieniają) nie-atrakcyjnym. Słabnie siła polskiej sztu-ki, którą egzaltowała się Europa w cza-sach Kantora, Kieślowskiego czy Gro-towskiego. Włosi, podobnie jak cały Za-chód, czekają na współczesnego Camu-sa, Pasoliniego, Simone Weil. Na sen-sowne bluźnierstwo i skandal w drodze do światowej solidarności bez względu na religię i kolor skóry. Na bunt wobec Kościoła, od którego odszedłem także dlatego, że upiera się przy odklejonych, rozpraszających problemach w rodza-ju świętych czy męczenników naszego czasu, jak gdyby ludzie spętani instytu-cjonalną wiarą-niewiarą naprawdę nie rozumieli, że nie można forsować wła-snej wiary jako podstawy duchowej dla miliardów ludzi w Azji, Afryce, w kra-inach innych bogów i Bogów.

Postulat? Będzie, lecz utopijny: przywrócić mitologię. Mądrość ludz-kich i boskich przemian i pasji. Obo-wiązków poddanych świętości same-go człowieka, Antygony, Ulissesa. Co mają wspólne? Zbawcze pogań-stwo, w które można wierzyć, nie wie-rząc w nic. Wierząc w świętą nicłość. Solidarne. Zawstydzające siłą nie wia-ry, lecz znajomości i intuicji mitu jako zbiorowej intuicji ludzkiej prawdy.

Wybaczenie, ale nie obchodzi mnie Licheń. Bogiem powinny być las, mo-rze, Eros i Psyche.

Chodzę po lesie w miejscu docelowe-go odpoczynku (również spoczynku) i gapię się, i rozważam, wszechobecny w Maremmie krzew mirtu. Krzew, który bywa rozłożysty i strzelisty jak drzewo, o białych, rozczapierzonych kwiatach.

Myślę o mircie i o 600 uchodźcach, którzy utonęli w drodze do Włoch, i pi-szę do nich stąd, z ich najświętszej oj-czynny. Piszę palcem po wodzie, upra-wiając najszlachetniejszy kunszt ka-ligrafii: pisanie dla zanikania. Hold umierającym, złożony nie tylko treścią, lecz również poetycką techniką i świa-domą tożsamością Johna Keatsa.

Mirt to biały kwiat niewinności. Po wynurzeniu się z morskiej, białej pia-ny ukryła się w nim Afrodyta-Wenus, próbując uniknąć ludzkiego wzroku... Uchodźcy wrócili do jej rodowodu – po-szli umrzeć na dnie, z którego uciekła ona, by współtworzyć piękno i mądrość ziemi. Opowiadam o mircie Janowi Peszkowi, wielkiemu artyście. Mówi, że kojarzy się mu z czystością, niewinno-

ścią, z komunią świętą. A ja pytam po-wietrza i wody: po co trwać w kulturze, która dzieli? Dlaczego nie kultywować, w imię porozumienia i – tak! – pokoju pragnienia niewinności, miłości, kon-templacji piękna ludzkiego, zwierzęce-go i roślinnego ciała?

W lesie obok „naszego” domku jest maleniki kościół. Podczas mszy podcho-dzę do niego i słyszę mowę niezrozu-miałą, choć ludzką. Ludzką, lecz nud-ną. Niech słucha, kto chce, ja nie chcę.

Zawracam do lasu i myślę, że wariu-ję od nadmiaru zmian. Jaszczurki, któ-re w zeszłym roku były znacznie mniej-sze, są dzisiaj grubości palca lub węża.

Wydaje mi się w końcu, że wiem, po co Meloni przyjechała do Polski... Spotka-nie włoskiej premierki i polskiego pre-miera splata mi się w jedno z niedaw-ną wizytą mądrego prezydenta Sergia Mattarelli, który – prawie niedostrzeżo-ny w naszym kraju – mówił o solidar-ności z innej epoki, przestarzałej i do-magał się nowej, biorącej pod uwagę współczesne tragedie. Pomysłowego współczucia nowej generacji.

Utopijnie pewnie, ale dopuszczam, że chodzi o tę samą misję – Mattarel-li i Meloni, która przy wszystkich róż-nicach ideowych i różnicach tkwiących w osobistych biografiach podejmuje wysiłek nauczania się czegoś: o no-wy chrzest Polski. Chrzest śródziem-nomorski. Mityczny. Olimpijski. Tak-że ewangeliczny. O ponadpolityczną lekcję humanizmu. Jak oswojenie wil-ka z Gubbio przez Biedaczną z Asyżu. Nazbyt często włoska premierka, śla-dem prezydenta swojego kraju, nawo-luje do europejskiej jedności kultury, żeby miał być to przypadek.

Boże morza, lasu i nieba! Jaki to wstyd słuchać bez przerwy o obojęt-ności i klientelizmie polskiego rządu – Morawieckiego jako kumpla Orbana. W tonacji, która nie pozwala sądzić, że ta wizyta miała sens praktyczny. Wie-rzę, że sens był edukacyjny – przypo-mnieć, że przy wspólnym stole nie kła-dzie się nóg koło talerza, nie puszcza się bąków i nie rozmawia o fizjologicz-nych skutkach jedzenia.

Po przyjeździe znajduję w komputerze skarb cenny i rzadki. Talent. Wielki i ci-chy. Małomówny.

W Bolonii na festiwalu Szymbor-skiej poznałem tłumaczkę „Czarnej pio-senki”, Lindę del Sarto. Poważną, precy-zyjną. Roześmianą. Wieczorem okazu-je się, że Linda sama jest poetką. Proszę o wiersze, dostaję, czytam już na miej-scu, w Toskanii. Dostaję, przed jej pu-blikacją, książkę niezwykłą.

Linda dochodzi do pierwszego dźwięku, znaku i zostawia czytelnika (słuchacza) z poczuciem, że już dała zbyt wiele. Tłumaczę pierwszy wiersz zbioru, pytam, czy pozwala drukować w „Wyborczej”. Oto on. Polska premie-ra. Mam dreszcze od tego półmilczenia:

*Zdjęłam z siebie wszystko, nawet
głos, ja przekłeta
do placzu i słowa,
żeby siebie samej nie zobaczyć martwej
wśród zdań*

*nie ma gorszego końca
dla nowych, zużytych już piór,
nie ma nigdy końca dla tego co najgorsze
w wielkim niewypowiedzeniu*

MAGICZNY ELIKSIR KACZYŃSKIEGO



FOT. PATRYK OGÓRZALEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Jak PiS to robi, że przegrywa wszystkie sondaże o Unię, sądy, aborcję i LGBT, a na końcu wygrywa

Z SOCJOLOGAMI
PRZEMYSŁAWEM SADURĄ* I **SŁAWOMIREM SIERAKOWSKIM**** ROZMAWIA
AGNIESZKA KUBLIK

Wasze „Społeczeństwo populistów” czyta się jak thriller socjologiczny. Opisyjecie świat, w którym populizm to coś nieuniknionego i nieodwracalnego. **PRZEMYSŁAW SADURA:** Mogliśmy tę książkę zatytułować „W matni”, bo opisujemy pułapkę braku zaufania, która sprawia, że populizm jest nie tylko konieczny, ale też racjonalny.

Racjonalny populizm?

SADURA: Tak, wybór populizmu jest na takim najprostszym poziomie racjonalnym wyborem ludzi kalkulujących – jeżeli nie możesz ufać państwu, instytucjom publicznym, to racjonalnie zakładasz, że grasz pod siebie, czyli patrzysz na swój wąsko rozumiany interes. **SŁAWOMIR SIERAKOWSKI:** W socjologii mówimy, że liczba racjonalności jednostek nie sumuje się do makroracjonalności. Gdybyśmy wszyscy żyli w trochę innym otoczeniu społecznym... Innym, czyli takim, w którym istnieje zaufanie. Bo kwestia zaufania jest grzechem pierwotnym polskiej

polityki. I wszyscy tracimy na tym, że w efekcie ludzie ufają partii gotówki, a nie partiom reform. A tak, zamiast współpracować, robić wielkie marsze aż do skutku, jak np. w Izraelu w sprawie wymiaru sprawiedliwości, markujemy protest i się rozchodzimy.

Piszemy o trzech poziomach, które musimy przekroczyć: wybory polityczne, przywrócenie praworządności i potem cywilizacyjna zmiana. Jeśli nie dojdzie do głębokich przemian poprzez edukację obywatelską, NGO-sy, media, to zaraz przyjdą kolejne zbiry.

Początki populizmu w Polsce?
SADURA: Początek lat 90.

100 milionów Wałęsy, obietnice puszczenia komunistów w skarpetkach...

SADURA: Ale to był populizm starożytny, ludzi starających się o władzę, nie tych, którzy są partią władzy i wykorzystują państwo, żeby władzę utrzymać.

SIERAKOWSKI: Jak ci politycy dochodzili do władzy, to nawet populiści z Samoobrony starali się trzymać w ryzach racjonalności transformacji. To był miękki, stary, dobry populizm.

Dobry populizm?

SIERAKOWSKI: Taki, który jest odpowiedzią na gniew wykluczonych, ale nie niszczy państwa. Który służy do zdobycia władzy, ale już nie do jej podtrzymywania.

Nowy populizm jest po to, by zdobyć pełnię władzy, a żeby to osiągnąć, trzeba zniszczyć państwo.

SADURA: Czyli stary populizm jest nakierowany na to, żeby zdo-

być władzę, nowy – żeby nie oddać władzy. Istotna różnica.

Wejście Samoobrony do koalicji to był istotny moment, bo wtedy Kaczyński uświadomił sobie potencjał populizmu i zaczął przebudowywać elektorat. Tusk uznał, że nie ma wyjścia i też musi przyjąć populizm. Przecież osiem lat rządów „cieplej wody w kranie” to też był populizm, tylko centrowy.

SIERAKOWSKI: Populizm Tuska był miękki, wymuszony przez sytuację, oświecony. I sam Tusk tak o sobie mówił.

SADURA: I niekonsekwentny – przecież podnieśli wiek emerytalny i przyjęli uchodźców.

SIERAKOWSKI: Te dwie decyzje załatwiły Platformę. I dlatego w 2015 przegrała.

Igor Ostachowicz, doradca Tuska, odradzał podniesienie wieku emerytalnego. I odradzał przyjęcie uchodźców, z dobrym uzasadnieniem, że nie jesteśmy najbogatszym krajem. Tusk ani później Kopacz go nie posłuchali, a Ostachowicz ma intuicję, przewidział brexit i wygraną Trumpa.

SADURA: Z nowoczesnym, złośliwym populizmem mamy do czynienia dopiero od 2015 r. i zwycięstwa PiS. Choć kielkuje nam forma jeszcze doskonalsza w wykonaniu Konfederacji. Ale to daleka przyszłość.

A jeśli Kaczyński po wyborach z Konfederacją utworzy rząd?

SADURA: To ją zje, tak jak zjadł Samoobronę i Ligę Polskich Rodzin. Tym razem raczej bez elektoratu, bo wyborcy Konfederacji są w większości bardzo antypisowscy. **SIERAKOWSKI:** Konfederacja to populizm 3.0. Już całkowicie post-

modernistyczny – można powiedzieć wszystko i zrobić wszystko.

Pierwsze zdanie waszej książki brzmi: „Dla socjologa Prawo i Sprawiedliwość jest najciekawszą partią, jaką mieliśmy w polskiej historii”. Najciekawszą, bo łączy w sobie różne paradoksy?

SIERAKOWSKI: Bo PiS wyprzedził wszystkie najtępsze umysły, jeśli chodzi o kreatywną księgowość polityczną. Wszyscy, którzy starali się trzymać zasad, mieli skrupuły, musieli z tym przegrać.

Piszecie tak: „Po tylu ujawnianych skandalach upadłoby sto rządów, ale nie ten. Po tak ostentacyjnej korupcji i nepotyzmie, jedyną odpowiedzią społeczeństwa mogła być kara. Przeciwnie, przyczyniły się do wzmocnienia więzi PiS z wyborcami”.

SIERAKOWSKI: Kaczyński zbudował więź ze swoim elektoratem. Jak? Pozbywa się elit z partii i pozbywa się elit ze swojego elektoratu. Przechodzi na prowincję, która jest większa niż miasta, bardziej socjalnie potrzebująca i słabiej rozumiejąca demokrację liberalną. **SADURA:** Od 2005 r. Kaczyński zaciera inteligencję pochodzenie, tak się zachowuje, że większość wyborców PiS byłaby w stanie założyć się, że pochodzi z ludu. Powiada, że wszyscy pochodzimy ze wsi w pierwszym, drugim, trzecim czy czwartym pokoleniu.

SIERAKOWSKI: Odchodzi od powstania warszawskiego jako symbolu na rzecz „żołnierzy wyklętych”. Bo powstanie było miejskie, inteligentkie, a „wyklęci” są pustym symbolem, można go wypelnąć wszystkim. Każdy może swoje

emocje, resentymenty tam wrzucić.

Przecież powstanie warszawskie to dziedzictwo ukochanego brata!

SIERAKOWSKI: Lech Kaczyński nie był populistą w stylu Jarosława, który prezentuje się jako wróg elit, zrzuca na nie winę za wszystko, zachowuje się prymitywnie i tak buduje więź z elektoratem. Jarosław stał się swojakiem dla prowincjonalnej części wyborców PiS. Właśnie przez swoją obciachowość. Udowadniał, że jest przeciwko elitom. Odpowiadał na oczekiwanie nieuprzywilejowanej prowincji.

Cechą charakterystyczną starego populizmu, w pewnym sensie zdrowego nawet, bo wypływającego z ludzkich problemów, było to, że reprezentanci elit rzadko byli liderami. A nowy populizm to kreacja ludzi z establishmentu, wzmacniana nowoczesnymi metodami, za pomocą nowych technologii jak w Stanach czy badaniach socjologicznych w Polsce, przejętymi mediami. Żeby nawigować elektoratem, rzucać mu przynętę, wywoływać emocje, co wzmacnia identyfikację z liderem.

SADURA: Ten nowy populizm jest tak ciekawy dla socjologa, bo używa socjologii. Wielu diagnoz, na przykład pokazujących siłę podziałów klasowych, użyła nie lewica, ale PiS, który je przeczytał i wyciągnął wnioski.

Dlatego są mocniejsi od innych. I stąd też paradoks, że społeczeństwo od trzech dekad się lacyzuje, a partia narodowo-konserwatywna łapie wiatr w żagle i umie wycisnąć z grupy zagubio-

nych, zaniepokojonych dużo więcej, niż progresywne środowiska są w stanie wycisnąć z tej zadowolonej większości.

SIERAKOWSKI: Ta niezadowolona mniejszość jest tak przez Kaczyńskiego rozgrzana, że dużo liczniej chodzi do wyborów. Ponieważ władza używa socjologii, a opozycja raczej słabo z tym stoi, postanowiliśmy robić nasze badania i wydawać w formie raportów.

W 2015 r. PiS dostał niecałe 19 proc. głosów wszystkich uprawnionych.

SADURA: Otóż to. Wtedy to wystarczyło i pozwoliło sięgnąć po więcej. Do tego dochodzi umiejętność gry na wielu bębenkach. PiS ma elektorat fanatyczny i elektorat cyniczny. Uwidli ludzi projektem 500+, ale nie wszystkich – głównie nowych wyborców, pozyskanych w 2019 r. tym, że program rzeczywiście wprowadzono.

SIERAKOWSKI: To efekt pułapki nieufności. Ludziom podobało się 500+, dopóki nie zorientowali się, że dostają także inni. A inni to wiadomo, zawsze patologia dla Polaków. W drugiej kadencji zaledwie 11 proc. wyborców PiS chciało utrzymać 500+ bez zastrzeżeń. Mówili, że trzeba narzucić świadczeniobiorcom liczne warunki oraz przyznać pieniądze tylko niezamożnym. Dlatego pomysł 800+ nie poprawił notowań władzy.

SADURA: Fanatyczni wyborcy pójdą za Kaczyńskim w ogień, ale to nie oni mu dają władzę. Bez tych cynicznych, którzy są sceptyczni wobec PiS, którym bliżej do opozycji, jeśli chodzi o kwestie światopoglądowe, by przegrał.

SIERAKOWSKI: PiS przegrywa wszystkie sondaże, gdy pytamy o Trybunał Konstytucyjny, o konflikt z Unią, o sądy, o prawo do aborcji, o LGBT, a jak przychodzi do wyborów, to wygrywa. Różnicę powoduje ten elektorat cyniczny, który ma poglądy liberalne, ale stawia na partię, która daje im gotówkę. I to jest racjonalne w tych warunkach.

A że kradną, rozdrapują posady? Elektorat fanatyczny i tak w to nie wierzy albo mu się wręcz podoba, bo to wzmacnia ukochaną partię, a elektorat cyniczny nie jest zaskoczony. Dopóki dostaje świadczenia, nie opuści partii.

Piszcacie, że mamy różnych populistów, prawicowych, jak Trump, lewicowych, jak Bernie Sanders, utożsamiających się z przedstawicielami klasowo definiowanego ludu. Oraz takich, którzy mieszają te odniesienia, i to jest Orbán oraz Kaczyński.

SADURA: Tak. Jest u niego mnóstwo skrajnie prawicowej, nacjonalistycznej, ksenofobicznej propagandy. Nawet nie waha użyć języka goebbelsowskiego. Tak było, kiedy mówił o uchodźcach w 2015 r.

„Są już przecież objawy pojawienia się chorób bardzo niebezpiecznych i dawno niewidzianych w Europie: cholera na wyspach greckich, dyzenteria w Wiedniu, różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki, które nie są groźne w organizmach tych ludzi, mogą tutaj być groźne” – mówił Kaczyński na kilkanaście dni przed wyborami. I wygrał.

SIERAKOWSKI: Naziści mówili te same rzeczy, uzasadniając getta. Że to dlatego, że Żydzi roznoszą zarazki. A teraz Kaczyński chce

to zrobić drugi raz – znów wygrać nienawiścią do obcych.

SADURA: On nie jest nazistą, tylko udaje populistę. Ale co z tego, skoro tak udatnie, że trudno odróżnić kopię od oryginału. Kaczyński potrafi stosować prawicową, skrajnie konserwatywną propagandę, a zarazem używać typowej raczej dla lewicy mobilizacji klasowej, mobilizować klasy ludowe przeciwko dominacji klasy wyższej.

Wasza konkluzja: „Nie ma zasad, z których moglibyśmy populistów rozliczać. Nie da się ich oceniać ze względu na zgodność praktyki z ideałami. Sami przecież nie uważają się za populistów i nie nawiązują do żadnej tradycji, a jeżeli już, to do wielu naraz”.

SIERAKOWSKI: To cecha zwrotu postmodernistycznego: liczy się tylko skuteczność w takim sensie, że tylko ona weryfikuje, co jest prawdą, a co nie jest. Prawdą jest to, co się udaje.

Ten populizm jest wydmuszką ideologiczną, można każdą rzecz tu dopasować. Najnowszy przykład: można być krajem, który przyjmuje największą ilość uchodźców nie z Ukrainy, tylko z Bliskiego Wschodu, z Afryki, z Azji, a jednocześnie rozpętywać aferę z powodu niecałych 2 tys. uchodźców z Unii.

Piszcacie: „Populizm jest nieodrodnie związany z pojęciem fake newsów”. Spójrzmy na brexit. Brytyjczycy zostali okłamani. Dominic Cummings, szef kampanii Vote Leave, wykorzystał słynne piętrowe autobusy, okleił je billboardami z przekazem, że bez Unii służba zdrowia zyska 350 milionów funtów. To było zwykłe kłamstwo.

SIERAKOWSKI: I w tym kłopot.

Ale jaki?

SIERAKOWSKI: Chodzi o to, że dziennikarstwo – wyjąwszy to tabloidowe, ale to od zawsze osobna kategoria – działa, zakładając rozsądek odbiorcy. A odbiorcy nowego populizmu wierzą w kłamstwo, bo chcą wierzyć. To nie jest tak, że po prostu ktoś ich klasycznie oszukał. Wiedza była na wyciągnięcie ręki. Wybrali sobie tę prawdę, która oddawała ich emocje i interesy. Chcieli dowalić elitom, więc wypierali prawdę sprzeczną z tą emocją.

To nie unieważnia faktu, że politycy okłamali swoich wyborców.

SADURA: Z punktu widzenia społeczeństwa – niekoniecznie.

Ale nie ma społeczeństwa populistów bez polityków populistycznych.

SADURA: W naukach społecznych od przeszło stulecia spieramy się, czy siłą sprawczą są działania wybitnych jednostek, czy procesy wynikające z działania dużych grup społecznych.

Dlatego pytałam, co było pierwsze – nowy populistą czy społeczeństwo populistów.

SADURA: To jak dyskusja, co było pierwsze, jajko czy kura.

SIERAKOWSKI: Wydaje mi się, że najpierw są procesy społeczne, które kształtują społeczeństwo otwarte na populizm, i wtedy pojawia się populistą. Dlatego nawet jak odejdzie Orbán, Trump czy Kaczyński, zaraz znajdzie się następca.

SADURA: Przykład, na czym polega taki podatny grunt. Kiedy zadajemy Polakom w sondażach pytanie o ideał państwa, to słyszymy, że ma być opiekuńcze i sprawne, z usługami publicznymi wysokiej jakości, jak ochrona zdrowia, edukacja, komunikacja. A kiedy pytamy o podatki, to słyszymy, że mają być jak najniższe, a najlepiej, żeby w ogóle ich nie było. I przychodzi polityk, który im coś takiego obiecuje. Mówi im to, co chcą usłyszeć.

SIERAKOWSKI: Co wcześniej zresztą sobie przebadał.

Mentzen?

SIERAKOWSKI: On ma wyborców cynicznych, nie popierają jego hasła o Polsce bez Żydów, homoseksualistów, aborcji, Unii. Oni sobie wybierają jedno – „nie” dla podatków. To jest ich 500+.

Bez tych cynicznych wyborców, którzy są sceptyczni wobec PiS, którym bliżej do opozycji, jeśli chodzi o kwestie światopoglądowe, Kaczyński by przegrał

Kaczyński świadomie zaciera swoje inteligenckie pochodzenie, już nie odwołuje się do powstania warszawskiego, opowiada, że wszyscy pochodzimy ze wsi w którymś pokoleniu

Badania pokazują, że dieta medialna wyborców PiS jest bogatsza niż wyborców opozycji

Fakt, że ludzie chcą coś usłyszeć, nie oznacza, że to jest prawda. Kłamstwo nie staje się prawdą tylko dlatego, że jest oczekiwane.

SIERAKOWSKI: Jak populistą mówi, że coś kosztuje 60 mln, a kosztuje 20, to można go złapać na kłamstwie. Ale jak mówi „Polska w ruinie”, to jest to trudne do weryfikacji. Bo co jest prawdą? Dla warszawiaków, gdzie średnia życia jest wyższa niż w Unii, Polska w ruinie nie jest. Ale pod Krotoszem, gdzie aquapark pobudowali, ale wycięli lokalną kolej, PKS i zlikwidowano miejsca pracy, Polska jest w ruinie.

SADURA: Populiści używają bałmutnego języka świadomie. Do tej pory mieliśmy rządy, partie, które próbowały uszczęśliwić lud na siłę. Tak robiła Platforma z reformy sześciolatki czy wieku emerytalnego. Były korzystne dla społeczeństwa, ale ludzie byli przeciw-

ko. PO robiła je dla ludzi, ale nie z ludźmi. To jest ta pułapka polskiej inteligencji, że robi coś dla ludu, ale nigdy z ludem. W to miejsce przychodzi PiS, który unieszcześliwia ludzi z ich aprobatą. Likwiduje gimnazja, cofa reformę 6-latków, co uderza w interes nieuprzywilejowanych, ale jest zgodny z ich oczekiwaniami.

„Polska w ruinie” nie jest dobrym przykładem fake newsa, bo to jest opis, opinia, a nie fakt. Z opinii można polemizować, z faktami nie.

SADURA: Świadomie mówimy o postprawdzie, nie o kłamstwie. Żeby wzmocnić tezę, że doszło do bezpowrotnego rozbitcia społeczeństwa na co najmniej dwa równoległe obiegi.

Dawniej mawiano, że można mieć swoje opinie, ale nie można mieć swoich faktów. A dziś możesz mieć swoje opinie, swoje fakty, swoich bohaterów, w ogóle swoje niezależne światy. Jak spojrzysz na „Wiadomości” TVP i na „Fakty” TVN, to są dwie planety, z różnych galaktyk.

Tak samo kłamstwo sprzedają jako prawdę?

SIERAKOWSKI: Nie, ale też nie o to chodzi. Dlaczego permanentnie dostarczanie faktów na temat sądownictwa nie odwróciło od PiS ani jednej osoby? Tak wynika z naszych badań.

Bo PiS nie wierzy w afery pokazywane przez „Fakty” TVN. Tak samo jak nie wierzą nam.

SIERAKOWSKI: A dlaczego nie wierzą?

Bo wierzą PiS, że te afery są wymyślone, by skrzywdzić polityków PiS. I stają po stronie krzywdzonej ofiary.

SIERAKOWSKI: A dlaczego wierzą TVP? Wcale nie muszą wierzyć, wybierają, w co wierzą, albo tolerują.

Bo to spójna wizja – TVP pokazuje, jak opozycja krzywdzi PiS. PiS jest zatem ofiarą.

SADURA: Nasze badania pokazują, że dieta medialna wyborców PiS jest bogatsza, bardziej złożona niż dieta informacyjna wyborców opozycji.

Widzowie TVP widzą, że to tak nachalna propaganda, że aby wiedzieć, co się dzieje na świecie, trzeba też oglądać konkurencję. I większość naszych rozmówców głosujących na PiS ogląda i TVP, i TVN. Czyli nie to, że są oszukani, oni sobie po prostu wybierają, w co uwierzą. To społeczeństwo populistów w pigułce.

SIERAKOWSKI: Dlaczego wybierają to, co mówi TVP? Bo chodzi nie o zgodność z faktami, tylko o ich emocje. Jak elity im podają fakty, a oni tych elit nienawidzą, to dla nich nie będą to fakty albo nawet jak fakty, to można je zignorować w imię jakiegoś celu.

SADURA: W polityce prawda już nie działa. Nie ma znaczenia, nie tylko u nas, w ogóle w kulturze Zachodu.

SIERAKOWSKI: Dlatego jeśli będziemy nadal zakładać, że wykazywanie ludziom błędu na podstawie faktów o sądach, o Unii Europejskiej załatwi sprawę, to będziemy zawsze przegrywać.

SADURA: Trzymanie się oświeceniowego patrzania na świat nie działa. Chcielibyśmy, żeby było ina-

czej. Też się wychowaliśmy, wyrosliśmy w tej kulturze, tęsknimy za nią – ale z badań i z rzeczywistości wynika, że to nie działa.

Czyli dziennikarstwo nie ma sensu, pozostaje publicystyka? To skąd popularność serwisów tzw. fact-checkingowych i społecznych, i profesjonalnych dziennikarskich, które punktują kłamstwa?

SIERAKOWSKI: Fact-checking nie działa. Dlatego te portale szybko przeradzają się w media tożsamościowe, inaczej straciłoby czytelników. Dostarcza informacji tym, którzy pozostali w kulturze oświeceniowej. Ale czy jakiś polityk pracicy, jakiś minister stracił popularność, stanowisko, bo media ujawniły jego kłamstwa? Żaden, jeden Henryk Kowalczyk się podał do dymisji [minister rolnictwa ustąpił po masowych protestach rolników, jakie wybuchły, gdy okazało się, że rząd nie zapanował nad tranzytem ukraińskiego zboża, a potem, nerwowo reagując, zakazał całego importu żywności z Ukrainy], ale pozostał wicepremierem.

To pokazuje raczej, jak inni politycy traktują kłamców. Chronią i liczą na wzajemność.

SIERAKOWSKI: Ale to też się podoba. Dlaczego wielomilionowe afery w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju nie szkodzą PiS? Albo afera „willa plus”? Bo jeśli twoi ludzie kradną nie tylko dla siebie, ale i dla partii, to przecież wzmacniają twój obóz. Więc jesteś zadowolony.

A żeby jeszcze skomplikować, ten fanatyczny wyborca też może być bardzo postmodernistyczny, czyli może być cynicznym populistą. Weźmy Pieskowa, rzeczni-ka Kremla. Jego dzieci studiują na Zachodzie, wygrzewają się na Łazurowym Wybrzeżu, sam Pieskow dużo czasu spędzał na Zachodzie – a jednocześnie ponoć serio jest fanatycznym zwolennikiem Putina i wierzy w to, co opowiada na lewo i prawo, że Zachód jest zły i wszyscy powinni wrócić do Rosji.

Myślenie, że rozmowa o faktach ma sens, jest fałszywe, bo ludzie kierują się opowieściami.

Nie chcieliby wiedzieć, że są okłamywani? Jak dziennikarze pokażą im prawdziwe dane, może niezdeterminowani się zdecydują oddać głos?

SADURA: A może umocni to ich w przekonaniu, że wszyscy politycy to kłamcy. Wybierzmy więc tych, co się dzielą.

Można sprawdzić, kto, jak i po co kłamie.

SADURA: Można, ale przecież PiS nic innego nie robi, tylko pokazuje, że opozycja kłamie. A opozycja pokazuje, że PiS kłamie.

Ale ktoś mówi prawdę, a ktoś kłamie! I to nasz obowiązek pokazać kto i to udowodnić.

SADURA: Z naszych badań wynika, że wyborca, który do tej pory nie chodził na głosowania, interesuje się polityką mniej niż inni. I dlatego dla niego polityka to szum, w którym się wszyscy przekrzykują, że kłamią to ci inni.

Ale prawda jest taka, że nie wszyscy kłamią.

SIERAKOWSKI: Jak wyborca ma niby ustalić, co jest faktem, jak sobie nie założyć think tanku?

Boże. Ma niezależne, wolne media.

SADURA: Weźmy katastrofę klimatyczną. W świecie naukowym nie ma dyskusji co do tego, czy człowiek ma wpływ na globalne ocieplenie. Pojawiały się czarne owce, ale wypadaly z kręgu poważnej nauki. Dyskusja toczy się tylko wokół tego, jak szybko spełnią się negatywne scenariusze i które.

Ale ponieważ media żywią się nie konsensusem a sporem, to w powszechnej opinii naukowcy nie są zgodni co do istnienia kryzysu klimatycznego.

SIERAKOWSKI: Uprośćmy sytuację – Kaczyński najczęściej kłamie, a inni częściej mówią prawdę. Tylko po cholerę obywatelowi taka prawda, jeśli mu od niej było gorzej niż innym, a nie lepiej?

To nie unieważnia rozróżnienia na prawdę i kłamstwo.

SIERAKOWSKI: Obywatel to nie matematyk. Nie kieruje się jakąś arytmetyką, nie dodaje, nie odejmuje, tylko patrzy, czy go stać na wizytę u prywatnego lekarza, żeby nie czekać rok w publicznej służbie zdrowia. PiS mu to załatwił dzięki 500+.

Czyli dodaje i odejmuje, żeby wiedzieć, czy go stać. Szacuje, która partia sprawi, że będzie go stać na więcej. Jak szacuje, skoro nie odróżnia fałszu od prawdy?
SADURA: Rozumiem, że dziennikarze są przywiązani do tej oświeceniowej wizji. Jakby dało się wrócić do tamtego świata...

Nie da się?

SADURA: Nie. Dziś od dziennikarstwa oczekuje się nie przedstawiania obiektywnego obrazu rzeczywistości, ale korespondencji wojennych z naszej wojny domowej. Czasem mi się zdarza wygłosić bardziej akademicki komentarz i nikogo to nie interesuje.

SIERAKOWSKI: Mówimy, jak jest. I to się pokrywa chyba z waszymi doświadczeniami? „Wyborcza” permanentnie opisuje afery w PiS i nic. „Wyborcza” permanentnie opisuje naginanie prawa i nic.

Jednak coś. Pół miliona na marszu 4 czerwca.

SIERAKOWSKI: Pół miliona wyszło nie dlatego, że Tusk ma lepszy program, ale dlatego, że jest skuteczniejszy. A skuteczność jest ważniejsza niż prawda.

SADURA: Tusk jest w stanie dziś bardziej zmobilizować wyborców. Jeśli jest w stanie ich wyprowadzić na ulice, to prawdopodobnie jest w stanie ich też skuteczniej przekonać, żeby poszli do urn. A Kaczyńskiemu może się to nie udać.

Populista Tusk pokona populistę Kaczyńskiego?

SADURA: Oby, bo dopiero pokonanie populisty Kaczyńskiego daje możliwość wyjścia z tego nowego populizmu.

SIERAKOWSKI: Trzeba być trochę populistą, żeby zwalczyć twardy populizm. Ale też bym nie wrzucał wszystkich działań Tuska do jednego wora, bo np. w babciowym nie ma nic populistycznego. Tusk używa populizmu, ale populistą nie jest.

Babciowe to dodatek 1500 zł dla kobiet, które po urlopie macierzyńskim lub w trakcie wrócić do pracy. Pieniądze miałyby być wypłacane co miesiąc przez 3 lata na sfinansowanie żłobka, klubu dziecięcego, niani albo opieki babci.

SIERAKOWSKI: To zostało dobrze policzone – jak się da możliwość pracy kobietom, to się zwróci w budżecie przez podatki. To nie jest populistyczne, to jest projekt oświeceniowy. Ale ponieważ nie jest populistyczny, nie wyprowadził ludzi na ulice – ani za, ani przeciw. Nawet PO go nie promuje specjalnie. Wie, że nie tędy droga do wyższych słupków. Stawia na skuteczność i dlatego neutralizuje takie projekty jak 800+, przelicytowując populistów. Albo na zamknięcie granic. To nie są ich poglądy, to jest nastawienie na skuteczność w walce politycznej.

Ale Dudzie się udało, też propozycją formalnie merytoryczną. Wkurzył ludzi,

bo błyskiem podpisał ustawę o ruskiej komisji weryfikacyjnej, a potem równie szybko sam chciał ją nowelizować.
SIERAKOWSKI: Tak, agencją reklamową marszu 4 czerwca był Duda. Ale to tylko dowodzi porządku populistycznego. Bo gniewną reakcję naszej strony wywołały nie fakty...

...tylko emocje, wiem. Ale one są wynikiem reakcji na fakty.

SADURA: Pójście na marsz nie było bezpośrednią reakcją na to, że Duda podpisał ruską komisję. Było reakcją na to, jak media przedstawiły to, że Duda ją podpisał. Skupiły się na czarnych scenariuszach i domniemanych zamiarach władzy, a pominęły realną możliwość użycia niedemokratycznych zapisów. Więc to była społeczna reakcja na emocje opisywane przez media.

Tusk i jego spoty o rozporządzeniu rządu PiS pozwalającym sprowadzać nawet około 400 tys. migrantów również z tych krajów, którymi ten sam PiS straszył jako odmiennymi kulturowo, islamskich, to populizm taki jak Kaczyńskiego?

SADURA: Nie. To sprytnie zagranie obnażające hipokryzję PiS, który używa ksenofobicznej retoryki, a jednocześnie ściąga do Polski migrację zarobkową. Ale jednocześnie to próba użycia islamofobii i rasizmu części wyborców PiS w celu ich demobilizacji. A to ekstremalnie ryzykowna gra. Może się łatwo wyrwać spod kontroli.

SIERAKOWSKI: Ja uważam, że to polityczna zagrywka, żeby pokonać PiS. A nie żaden pogląd, więc nie rozliczałbym tego jako poglądu, tylko czy jest skuteczna, czy nie.

Tytuł rozdziału z waszej książki: „My też już nienawidzimy”. Kogo wy nienawidzicie?

SIERAKOWSKI: Nie wiem, czy nienawidzę, ale jak widzę Czarka, to przypomina mi kursora szkolnego z zaboru rosyjskiego. I budzą się we mnie nieprzyjemne emocje.
SADURA: Też coraz częściej temu ulegam, zdarza mi się w dyskusjach internetowych o polityce naukowej Czarnka wkładając pięć gwiazdek i trzy gwiazdki.

A nienawiść w obozie anty-PiS? Niedawno socjolożki Katarzyna Fereniec-Błońska i Maria Wierzbicka-Tarkowska opublikowały badanie „Twarze polskiej radykalizacji”, z którego wynika, że wśród sympatyków szeroko rozumianej opozycji nie brakuje pamiętliwych, agresywnych, jadowitych. Czyli reagujących w sposób, jaki zwykle przypisujemy stereotypowemu wyborcy PiS.

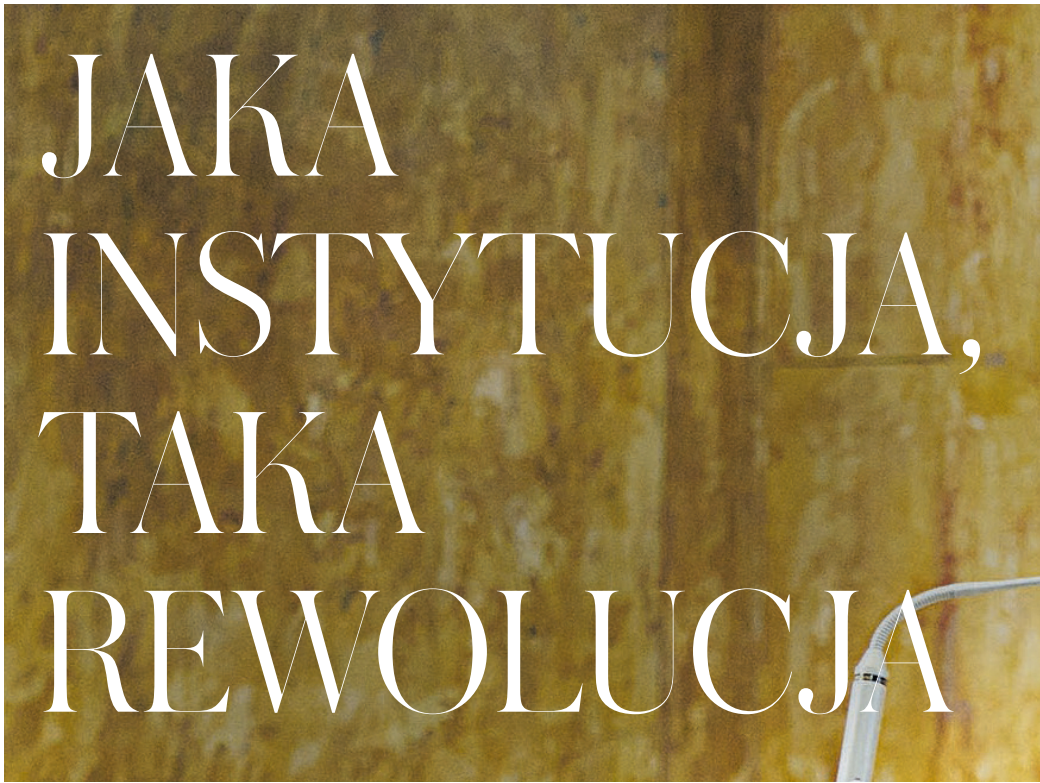
SADURA: Tak, na tę stronę także dotarła mowa nienawiści. Przy czym jednak największą emocją organizującą relacje wyborców opozycji nie jest nienawiść, ale pogarda wyrażająca uprzedzenia klasowe. Wyborcy opozycji stawiają się w roli oświeconej inteligencji i z trwogą i odrazą patrzą na pisowską czerń. Niedobrze, bo to woda na populistyczny młyn.

SIERAKOWSKI: Populizm zaraża całe społeczeństwo. Tamci przeszli od mowy nienawiści do wzywania do przemocy. Nasza strona od umiarkowania do mowy nienawiści. Będziemy się z tego wydobywać latami. ●

***Dr hab. Przemysław Sadura** – profesor UW, szef Katedry Socjologii Polityki na Wydziale Socjologii UW, kurator instytutu badawczego „Krytyki Politycznej”, autor m.in. książki „Państwo, szkoła, klasy”

****Sławomir Sierakowski** – socjolog, założyciel i lider „Krytyki Politycznej”, pracownik naukowy Niemieckiej Rady Polityki Zagranicznej, publikuje m.in. w „New York Timesie”

Obaj od kilku lat badają kondycję Polaków (raporty „Polityczny cynizm Polaków”, „Koniec hegemonii 500 plus” i „Polacy za Ukrainą, ale przeciw Ukraińcom”). Właśnie nakładem Krytyki Politycznej ukazało się ich **„Społeczeństwo populistów”**. Książka dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



Jeszcze ciekawsze od tego, że Grzegorz Ryś został kardynałem, jest to, kto nim nie został.

Arkadiusz Gruszczyński

Polska stała się krajem tak spolaryzowanym, że oprócz dwóch społeczeństw, które nie nawzajem o sobie nie wiedzą, dwóch partii i ich liderów mamy w końcu dwa Kościoły.

Choć to nie nowość, bo przecież kilkanaście lat temu posługiwano się podziałem na Kościoły toruński i lagiewnicki.

Na czele tego pierwszego stał wszechmocny o. Tadeusz Rydzyski, sprytny przedsiębiorca, patron radykalnych środowisk prawicowych, ojciec chrestynej koalicji Prawa i Sprawiedliwości, Ligi Polskich Rodzin i Samoobrony. Rydzyski jest dzieckiem szalonego kapitalizmu z lat 90., kiedy każdy mógł wziąć sprawy w swoje ręce, założyć firmę i szybko się wzbogacić. Jest też symbolem wiary ludowej, która karmi się często uprzedzeniami, antysemityzmem czy martyrologią. To również człowiek, który zbudował silną wspólnotę ludzi wykluczonych, samotnych i biednych. Mówiąc inaczej: Rydzyski zjednoczył wokół siebie ofiary transformacji ustrojowej, sam będąc jej beneficjentem.

Po drugiej stronie stał kard. Stanisław Dziwisz, osobisty sekretarz Jana Pawła II, jedna z najważniejszych postaci Watykanu. Został arcybiskupem krakowskim niejako przez przypadek, musiał coś zrobić po śmierci mentora. W Krakowie politycy PO urządzali rekolekcje, brat jednego z ważnych posłów jest tam wpływowym księdzem.

Dziwisz kreował się na liberała. Do końca nie wiadomo, dlaczego zmienił front, może przypominał sobie o urokach ludowego katolicyzmu, a może uznał, że polski Kościół nie jest gotowy na mentalną zmianę, a być może po prostu nigdy nie był liberałem. Kiedy skapitulował i wpadł w objęcia o. Rydzyskiego, wydawało się, że ta frakcja wygrała. Zwłaszcza że po Dziwiszu prestiżową metropolię objął hierarcha jeszcze bardziej betonowy, w niektó-

rych aspektach wręcz przedsoborowy, który rychło stał się symbolem upolitycznienia, samozadowolenia i skostnienia polskiego Kościoła – arcybiskup Marek Jędraszewski.

Czy Franciszek, mianując abp. Grzegorza Rysia kardynałem, spolaryzował polski Kościół?

Ryś był zastępcą Dziwisza, przyglądał się więc z bliska temu, jak była zarządzana archidiecezja krakowska. Uczeń nigdy nie skrytykował mistrza, inna rzecz, że wtedy relacje kurii z lokalnymi liberalami układały się poprawnie, szczególnie gdy mamy w pamięci to, co wyprawia pod Wawelem abp Jędraszewski.

To nie duet Dziwisz-Ryś wyrzucił redakcję „Tygodnika Powszechnego” z kamienicy przy ul. Wiślniej, to nie oni wypowiadali te wszystkie krzywdzące słowa o mniejszościach seksualnych, kobietach i wyborcach opozycji. To nie oni zwalniali kobiety z kurii, nie odbierali medali od prezydenta Dudy, nie dopingowali rządowi. Choć trzeba pamiętać, że Dziwisz ma wiele na sumieniu, chociażby blokowanie działalności komisji lustracyjnej badającej uwikłanie księży w pracę dla SB, nie mówiąc o roli w kryciu biskupów oraz kleru oskarżanego o nadużycia seksualne jeszcze za watykańskich czasów. Biskup Ryś uciekł jednak z Krakowa, kiedy do kurii wprowadził się Jędraszewski, choć pamiętam jak dziś, że znajomi ze środowiska „Znaku” i „TP” byli przekonani, że to właśnie biskup Grzegorz będzie następcą Sapiehy, Wojtyły, Macharskiego, Dziwisza.

Nie wiadomo, czym jest Łódź dla abp. Rysia, nigdy szczerze nie opowiadał o tym zesłaniu do miasta bez rzeki, czerwonej, robotniczej Łodzi, zdegradowanej byleż metropolii. Na zdjęciach na stronie archidiecezji widzę biskupa, który na co dzień nie ubiera się w fioletową sutannę, nosi prosty krzyż, często na zwykłej czarnej koszuli. Ma prosty, drewniany pastorał, głosi zrozumiałe kazania, namawia księży do ubóstwa, organizuje duże wydarzenia ewangelizacyjne i zajmuje się tym, co powinien robić każdy biskup: odwiedza parafie, spotyka się z ludźmi i głosi kazania. To jednak za mało, żeby zostać kardynałem. Czym zatem wyróżnia się na tle innych biskupów?

Pontyfikat Franciszka opiera się na dowartościowaniu peryferii Kościoła. Łódź nigdy nie miała kardynała, który jednocześnie kierowałby

FOT. MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL



diecezją. Wielu katolików uważa, że abp Ryś znajduje się też na obrzeżach Episkopatu, który jest zdominowany przez tradycjonalistów, nierozumiejących współczesności. Nowy kardynał nigdy nie zrezygnował z felietonów dla „Tygodnika Powszechnego”, to istotna deklaracja światopoglądowa. W pracy naukowej zajmował się Janem Husem, czeskim prekursorem Lutra, celibatem oraz inkwizycją.

Od lat krytykuje klerykalizm, nie angażuje się w polityczne spory, nie wypowiada się na tematy, które grzeją koledzy z Episkopatu. Franciszek zauważył go już wcześniej. W 2016 r., podczas Światowych Dni Młodzieży, odczytał rozważania drogi krzyżowej, którą napisał Ryś. Ostatnio osobiście powołał go na obrady synodu. Warto też pamiętać, że z Łodzi pochodzi jeden z najbliższych współpracowników papieża, czyli kard. Konrad Krajewski, watykański jałmużnik, wysyłany przez Franciszka na najważniejsze misje humanitarne, zarówno na ulice Rzymu, jak i do Ukrainy.

Co kard. Ryś mówi o Kościele? Pytany o falę apostazji odpowiadał, że problem leży po stronie księży i samej instytucji, a nie po stronie bliżej nieokreślonej ideologizacji, na którą powołuje się abp Jędraszewski. „Jeśli ktoś odchodzi od Kościoła, bo ma jego złe doświadczenie, to nie można mu powiedzieć, że powinien mieć inne. Z doświadczeniem nie można dyskutować. Można jedynie z pokorą przeprosić, a potem trzeba sobie postawić pytanie: jaki Kościół stworzymy?”. W innym miejscu mówił o klerykalizmie, z którego polski Kościół powinien się wyleczyć. Opowiadał też o większej roli kobiet w parafiach, gdzie mogłyby nawet rozdawać komunie czy nadzorować finanse.

Ostatnio został częścią zespołu pracującego nad komisją ds. kościelnej pedofilii. Przy tej okazji mówił, że „pokazanie całej prawdy o Kościele, że obok ludzi heroicznych byli też grzesznicy, przestępcy, ludzie uwikłani, tylko podkreśli wiarygodność Kościoła”. Popierał ochronę uchodźców, w pandemii organizował transmisje mszy ze swej kaplicy i zbiorke na sprzęt medyczny, a w dyskusji o »wyborach kopertowych« opowiedział się za przestrzeganiem zasad państwa demokratycznego. Rewers abp. Jędraszewskiego.

Ale kiedy trzeba, jest lojalny. Nigdy nie zajął innego stanowiska niż to w oficjalnych dokumentach Episkopatu. Bronił Wojtyły po reportażu „Franciszkańska 3”. Kiedy ktoś oblał

farbą pomnik papieża przed łódzką katedrą, Ryś wyszedł po niedzielnej mszy i powiedział do wiernych: Nie będziemy udawać, że nie się nie stało. W nocy zbezczeszczono pomnik świętego ojca Jana Pawła II. Widać, że to nie była emocjonalna reakcja. Do wykonania napisów ktoś musiał wykonać szablon. Sposób wykonania tych zniszczeń układa się w czytelny program: krew na rękach, maska na twarzy – mówił. I opowiadał, że tego dnia przyszedł pod pomnik o 7 rano. – Pierwszy kwadrans stałem i nie wiedziałem, co począć. Potem zadałem sobie pytanie: co zrobiliby Jan Paweł II? Odpowiedź była oczywista – pomodliby się za sprawców. On by się modlił, więc i ja następną godzinę stałem pod pomnikiem i się modliłem.

Czy więc nowy kardynał odmieni oblicze polskiego Kościoła? Czy istotnie mówimy o zmianie narracji? Nie tylko obrona Wojtyły temu przeczy.

Ryś ma na koncie wiele niefortunnych wypowiedzi. Podpisał się pod stanowiskiem Episkopatu o środowisku LGBT, w którym namawiano do zakładania przy parafiach poradni leczących ludzi z homoseksualizmu, pisano o „obsesji transseksualizmu”, a korektę płci uznano za „akt okaleczenia osoby”. Biskupi wspomnieli również o niebezpieczeństwie seksualizacji dzieci za pomocą edukacji seksualnej. W innym miejscu mówił, że Kościół nigdy nie zgodzi się na akceptację małżeństw jednopłciowych. Podpisał się również pod listem w obronie abp. Jędraszewskiego, zdaniem biskupów atakowanego za krytykę środowiska LGBT.

Jednocześnie nigdy nie wypowiada się na tematy polityczne, nikt nie zna jego poglądów, nie wiadomo, na kogo glosuje, nie pojawia się u boku polityków z Sejmu. W jednym z wywiadów mówił, że „Kościół może natomiast stwarzać przestrzeń do spotkania ludzi o różnych poglądach i wspólnego namysłu nad dobrem publicznym. Organizowaliśmy w Łodzi takie spotkania – na przykład Marka Jurka z Ryszardem Bugajem. Tego typu pozytywne propozycje uważam za ważniejsze niż krytykę negatywnego sposobu funkcjonowania niektórych hierarchów”. Po czym dodał: „Choć rzeczywiście mamy do czynienia z zaangażowaniem politycznym hierarchów, to katalóg biskupów przywoływanych przez dziennikarzy nie przekracza – myślę – sześciu nazwisk”.

O aborcji mówił, że nauczanie Kościoła nie zmienia się ani o milimetr. „Jakiegokolwiek będzie prawodawstwo w naszym kraju, my będziemy szli za tym przykazaniem, które jest przykazaniem Boga. Nie dlatego, że Kościół zjadł wszystkie rozumy, tylko dlatego, że z uwagą czyta i rozumie prawo Boże. Tu nie ma ani cienia wątpliwości” – głosił podczas homilii w trakcie czarnych protestów. Dodał też, powołując się na słowa Wojtyły, że „przerwanie ciąży jest nieporządkiem moralnym”.

Poglądy kard. Rysia nie zaskakują, przecież jest hierarchą Kościoła mającego jasno określone nauczanie. Trudno wymagać od biskupów innej wykładni niż ta obowiązująca w Watykanie. Jednak inne, szczególnie europejskie episkopaty, z niemieckim na czele, inaczej rozkła-

Krytykuje klerykalizm i pisuje do „Tygodnika Powszechnego”, ale broni Jędraszewskiego, mówi „nie” małżeństwom jednopłciowym i aborcji

dają akcenty, używają innego języka do opisu mniejszości seksualnych czy kobiet. U naszych zachodnich sąsiadów biskupi publicznie się ze sobą nie zgadzają, co jakoś jest bardziej autentyczne niż jednomyślność 100 dojrzałych mężczyzn z polskiego Episkopatu.

Ryś z jednej strony jest więc nadzieją dla tych katolików, którzy nie chcą rozpolitykowanego Kościoła. Jest liderem dla tych, którzy krytykują klerykalizm i starają się poszerzać debatę wewnątrz instytucji. Nie jest jednak tym, który zezwoliłby na błogosławieństwa par jednopłciowych, nie wiadomo, czy oddałby zarządzanie diecezją w pełni osobom świeckim.

Kard. Ryś nie jest więc twarzą rewolucji. Jest raczej uosobieniem pontyfikatu Franciszka, który rozpoczął debatę o zniesieniu celibatu, mianował kilka kobiet na ważne stanowiska w Watykanie, tępi grzech pychy wśród kleru, przesuwając akcenty w nauczanie Kościoła na ubogich i potrzebujących, ale nie zreformował instytucji. Zajmuje się słuchaniem wiernych i dialoguje ze współczesnym światem. Być może innej rewolucji w Kościele po prostu nie będzie. ●

Właściwy kapelusza na właściwej głowie

„Chrześcijananie wobec Żydów” Grzegorza Rysia to jedna z najuczciwszych książek o Kościele wydanych w Polsce

Magdalena Czyż

„To jedna z najuczciwszych książek o Kościele wydanych w Polsce” – powiedział do mnie ks. prof. Alfred Wierzbicki, gdy rozmowa zesłała na arcybiskupa Grzegorza Rysia. Chciał przekonać mnie do lektury tomu o długim tytule: „Chrześcijananie wobec Żydów. Od Jezusa po inkwizycję. XV wieków trudnych relacji”.

Aleksander Kwaśniewski w niedawnym wywiadzie rzece „Prezydent” określa siebie jako niewierzący praktykujący, mający jednak szacunek dla Kościoła. Ja określam siebie jako niewierząca niepraktykująca, mająca szacunek dla Kościoła. I podpisuję się pod słowami Kwaśniewskiego: „szanuję Kościół; uważam, że ma ważną rolę do odegrania. Boleję nad tym, że dzisiaj jest tak wiele słabości w Kościele, uznaję Kościół za istotną część naszej historii, naszego dziedzictwa, naszej kultury. Kiedy mam okazję, odwiedzam kościoły czy katedry, bo uważam, że bez tego trudno nam zrozumieć nas samych”. Jednak pomimo tego szacunku pomyślałam, zabierając się do lektury, że z trudnością przyjdzie mi chwalić arcybiskupa. Trudność wynika rzecz jasna z obawy, że będę żałować. W przypadku tego konkretnego arcybiskupa niby obawa nieduża, ale doświadczenia z naszymi arcybiskupami i biskupami robią swoje.

Mogłabym oczywiście zabezpieczyć się i pochwalić dzieło, oddzielając je od autora. Tylko że w tym przypadku tak się nie da, bo wyraźnie autor pisze to, co mu siedzi w trzewiach. Próbować zatem oddzielić jego osobę i funkcję w Kościele od treści książki, to jak próbować wyrwać mu wnętrzności. (Dla wielu polskich antyklerykałów to kusząca perspektywa).

Arcybiskup-już-kardynał zauważa, „iż wielu Czytelników osiągnięty przez nas próg czasowy (początek epoki nowożytnej) wolałoby widzieć bardziej jako punkt wyjścia niż dojścia. Zwłaszcza jeśli jednym z motywów podjęcia lektury – obok pasji poznawania dawnych dzieł – było również pragnienie zrozumienia ciągle stosunkowo niedawnej (wszak żyją jeszcze jej świadkowie) historii. Nie sposób bowiem uciec od pytania o to, jak był możliwy Holokaust w świecie (w Europie) od blisko dwudziestu wieków chrześcijańskim”.

Należę do tych właśnie czytelników, dlatego dopiero księdzu profesorowi Wierzbickiemu udało się zmobilizować mnie do lektury. I bardzo mu dziękuję. Warto było, bo taka skala szczerości nie zdarza się zbyt często w polskim Episkopacie.

Abp Ryś pisze tak: „Z Kościołem, z jego historią, ale także (niestety) z dniem dzisiejszym jest tak, jak z malowidłami w Koprzywnicy [haniebnie przedstawiające Synagogę]. Wiele tu momentów pięknych i Bożych, sąsiadując z nimi jednak inne: tragiczne i budzące wstyd. Nie można udawać, że są tylko te pierwsze, i metodycznie odwracać wzrok (swoją i innych) od tych drugich. Trzeba przyjąć i wziąć odpowiedzialność za całą swoją historię. Wybór, przed jakim ona nas stawia, nie polega na wyparciu z pamięci tego, co niewygodne, lecz na decyzji, którą z jej części chcę/chcemy kontynuować”.

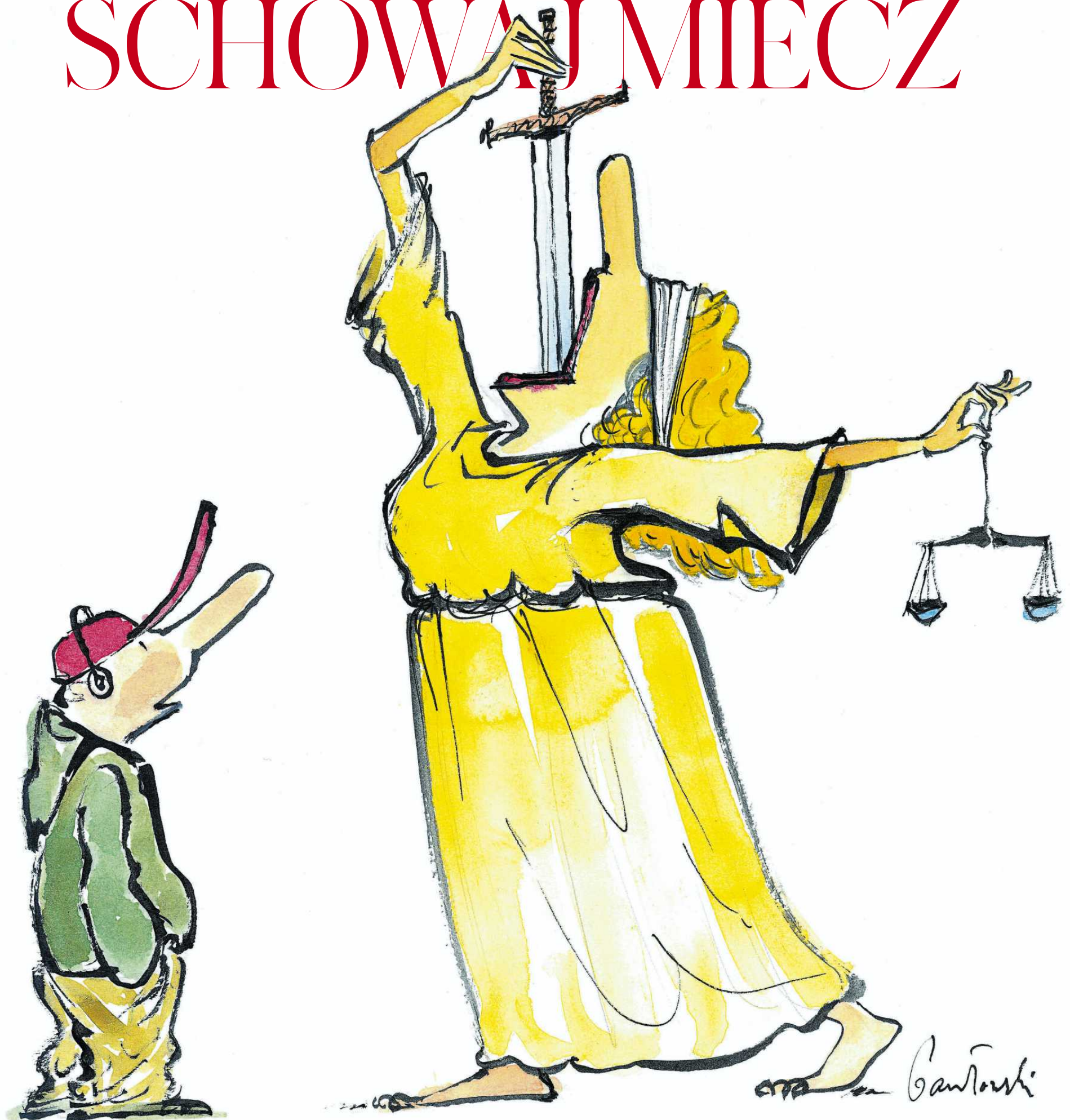
Kiedy prezydent Kwaśniewski mówi: „Problemy w Kościele zaczyna się, gdy ewangelia schodzi na dalszy plan”, arcybiskup Ryś pisze: „By zrozumieć to, co zrobiliśmy Żydom, potrzebujemy z pokorą (i przerażeniem?) zobaczyć, co zrobiliśmy z naszym chrześcijaństwem!”. Z trudem przychodzi mi wyobrazić sobie silniejszy apel.

Tym bardziej gratuluję kardynalskiego kapelusza. ●

Dyskusja o przywracaniu państwa prawa zostaje znów sprowadzona do kolejnej reformy instytucjonalnej i kolejnych przepisów jako leku na całe zło. W 2023 roku nie stać już nas na to

Tomasz Tadeusz Koncewicz*

SĘDZIO, SCHOWAJ MIECZ



*Nie bądź obojętny. Widmo państwa autorytarnego stoi u drzwi twojego domu.
Nie zapuka do drzwi. Wejdzie bez zaproszenia. I zostanie na długo*

Mirosław Wyrzykowski,
sędzia TK w stanie spoczynku

Przed kolejnymi wyborami odzywają się coraz częściej głosy i pytania: Co dalej? Jak przywrócić w Polsce państwo prawa i czy jest to jeszcze w ogóle możliwe?

Efekt będzie, jak zawsze, wypadkową wielu czynników społecznych, kulturowych, ekonomicznych i politycznych. Jako prawnik myślę jednak o prawnym aspekcie tej dyskusji. Aby miała ona sens i brała pod uwagę punkt, w którym dzisiaj się znajdujemy, kierunek marszu musi zostać dobrze nakreślony, a wyzwanie czytelnie i szczerze nazwane. Tymczasem słuchając możliwych scenariuszy, mam wrażenie, że zadający pytania i poszukujący odpowiedzi nie dostrzegają jednego elementu kluczowego. Dyskusja jest niebezpiecznie jednostronna, ponieważ dominuje w niej myślenie instytucjonalne. Owszem, wysilek ma dotyczyć wskrzeszenia Trybunału Konstytucyjnego, odbudowania niezależnego sądownictwa powszechnego, niezależnej prokuratury (lista jest długa...), lecz sama perspektywa czysto instytucjonalna już nie wystarczy.

Co jest więc nam potrzebne, aby państwu prawa dać jeszcze raz szansę, bez spełniania błędów przeszłości?

Pod 1989 r. mottem zmian było stopniowe odcinanie się od przeszłości komunistycznej: wzmocnienie sądu konstytucyjnego, wyeksponowanie państwa prawa jako metazasady całego ustroju, wypuklenie znaczenia niezależnego sądownictwa. Członkostwo w Unii było w pewnym sensie kulminacją tego wielkiego wysiłku instytucjonalnego.

Problemem jednak, o czym przekonaliśmy się po 2015 r., jest to, że polskie państwo prawa było budowane „od góry”, bez zwracania uwagi na to, w jaki sposób powstający ład ustrojowo-instytucjonalny przekłada się na życie obywateli i jak jest przez nich rozumiany. Polska konsolidacja demokratyczna następowała w sferze deklaracji, tekstu i rozwiązań instytucjonalnych. Nie było prawdziwej dyskusji, po co obywatelom sądy, jak sądy mają sędzić, a urzędnicy załatwiać sprawy, aby budować swoją społeczną legitymizację, na czym polega uznanie konstytucji za najwyższe prawo RP, jak uczyć ludzi szacunku dla instytucji? Odpowiedzią na problemy miało być tworzenie nowych instytucji i uchwalanie nowych regulacji. Odpowiedzialni za zmiany w Polsce nie do końca rozumieli, że jeśli państwo prawa nie będzie zakorzenione społecznie, najlepiej skonstruowane instytucje muszą upaść, gdy atakowi sił nieliberalnych towarzyszy brak społecznego zrozumienia, dlaczego instytucje istnieją, co i jak robią oraz jakie mają znaczenie w życiu codziennym obywateli.

Dzisiaj, gdy rozmontowywano państwo prawa, głos obywatelski w obronie instytucji był i jest ledwo słyszalny, ale czy mogło być inaczej i czy mieliśmy podstawy oczekiwać więcej, skoro Polak nigdy nie miał okazji nauczyć się reguł demokracji i przyjąć obowiązków wobec wspólnoty? 50 lat komunizmu nie sprzyjało budowaniu partycypacji i zaufania do państwa, o krótkim dwudziestolecu międzywojennym nie wspominając. 123 lata rozbiorów z kolei uczyło nie szacunku, ale raczej gloryfikowało opór i nieposłuszeństwo wobec prawa (obcego) i państwa (nieswojego). Z kolei po przełomie '89, poza krótkim wzmocnieniem obywatelskim w pierwszej połowie tegoż roku, głos obywateli ograniczał się do symbolicznego wrzucenia karty w czasie wyborów, a kolejne cykle polityczne były zdominowane przez walkę polityczną „na górze” i technokratyczne podejście do odgórnej konsolidacji demokratycznej według logiki „potrzebujemy więcej instytucji” i nowych przepisów.

Jednocześnie Polacy rzucili się w wir walki o swoje w wymiarze urzędowania własnego życia i dostatku materialnego, tylko sporadycznie spoglądając w kierunku „roz-

politykowanej Warszawy”. Zasad gospodarki rynkowej uczyliśmy się znacznie szybciej niż reguł życia w demokracji. Gdy więc PiS sprawnie i metodycznie przejmował państwo, instytucje padały jedna po drugiej przy milczącej aprobachie opinii publicznej. Opinia publiczna dosyć łatwo uwierzyła w czarno-białe przesłanie, że TK był sądem elit, że sądy zawsze były przeciwko tobie itp.

Problemem polskiej demokracji była pasywność elit intelektualnych, w tym samych prawników. O prawie w charakterze ekspertów mówili (z małymi wyjątkami) wszyscy, tylko nie prawnicy. Tymczasem to prawnik, a szczególnie prawnik naukowiec, powinien współkształtować rzeczywistość dzięki swojej wiedzy, zdolności krytycznego myślenia i umiejętności opisywania świata.

Niestety, to, jak naukowiec widzi siebie w Polsce, odbiega zasadniczo od tego, jak postrzega siebie w Europie Zachodniej i czego od niego oczekuje opinia publiczna. Tam jest uprzywilejowanym uczestnikiem debaty publicznej i współtworzy ją. U nas często nie potrafi wytłumaczyć, w jaki sposób jego wiedza może być użyteczna dla społeczeństwa, jakie jest jej praktyczne zastosowanie, boi się konfrontacji z szerszym audytorium, przemawia do już przekonanych, zamiast konfrontować swoje poglądy, być gotowym do ich zmiany i zabierać głos w sprawach nurtujących ludzi.

Nawet jeżeli spotyka w mediach piramidalne bzdury („po wejściu do UE Niemcy nas wykupią”; w SN zasiadają komunistyczni sędziowie etc.), nie reaguje, wychodząc z założenia, że przecież to jest tak niedorzeczne, że i tak nikt w to nie uwierzy. Na tym polega błąd: to, co jest niedorzeczne dla niego z przyczyn oczywistych, jest wyznacznikiem myślenia i wiedzy o świe-

powtórzyć prorocze słowa Władysława Łozińskiego, który tak pisał w „Prawem i lewem. Obyczaje na Rusi Czerwonej w pierwszej połowie XVII wieku”: „to nie brak prawa zgubił obyczaje, ale brak władzy, nie brak sankcji karnych, ale brak ich wykonania. Wiemy, że prawa były dorywcze, niedostateczne, niestanowcze, niejasne i pełne niekonsekwencji, ale to było mniejsze zło, stokroć gorszym było to, że było bezsilne, że istniejąc, a nie działając, już samym tym martwym swoim istnieniem robiły niekiedy więcej szkody, niż gdyby ich wcale nie było...”.

Jeżeli państwo gdzieś zawiodło, to w sferze niezrozumienia, że kluczowym aspektem państwa prawa jest także „prawo z ludzką twarzą”. Czyli nie tylko suche przepisy, ale przede wszystkim dobra praktyka, która decyduje o odbiorze prawa przez obywateli. O ile po 1989 r. obywatel zaczął dostrzegać w prawie tarczę, dzięki której może bronić się przed dominującym państwem, praktyka prawa (sądy i urzędy) pozostały w tyle za tą cywilizacyjną zmianą i nie zrozumiały konieczności dopasowania, zarówno w wymiarze warsztatu interpretacyjnego, jak i świadomości. Prawo z perspektywy państwa było i jest zdominowane przez perspektywę miecza, z pomocą którego od obywatela trzeba było bezwzględnie i w majestacie formalizmu prawa wygzekwować jego zobowiązania wobec państwa, zamiast go przed tym państwem chronić.

W tej konfiguracji państwo było zawsze gotowe na wszelką staranność, czasami bezwzględność w dochodzeniu „swojego”. Ludzie oczekiwali „prawa z ludzką twarzą”, które chroni, lecz „prawo tarcza”, zamiast korygować i uelastyczniać system prawny przez wprowadzenie elementów

Po 1989 r. nigdy nie mieliśmy rzetelnej dyskusji o tym, po co ludziom sąd i jak sami sędziowie postrzegają i rozumieją swoje powołanie w społeczeństwie

cie dla innych, którzy wierzą w splaszczoną wizję rzeczywistości, w teorie spiskowe czy w antagonizujące wyjaśnianie własnych niepowodzeń („nie idzie mi przez innych”). To wszystko oznacza, że tym bardziej trzeba umieć podjąć próbę wyjaśnienia – co jest czymś innym niż dążenie do przekonania za wszelką cenę. Ta „robota na dole” wymaga cierpliwości i zaangażowania, których zawsze nam brakowało, a czas nie jest naszym sojusznikiem.

Pod 1989 r. zbyt często jedyną receptą na problemy była zmiana prawa i tworzenie coraz to nowych regulacji prawnych. Przepisów nie tylko przybywało w zastraszającym tempie, ale również ich jakość była często na zenująco niskim poziomie legislacyjnym. Niechlubnym symbolem i punktem kulminacyjnym degrengolady parlamentu było nocne przepychanie za wszelką cenę i przy wykluczeniu jakiegokolwiek debaty ustaw, które punktowo i bezlitośnie realizują interesy partii rządzącej.

Szukając odpowiedzi na pytanie, co dalej z państwem prawa w Polsce, musimy przestać pytać, jakie są prawa, ale raczej jący są ci, którzy te prawa stosują. My tymczasem cały czas robimy znak równości pomiędzy prawem a przepisem prawa. Ta tekstocentryczność miesza się z hipokryzją, skoro przepis jest fasadowy: obowiązuje, ale nikt go nie stosuje. Nie dostrzegamy zasadniczej różnicy pomiędzy przepisem prawa a ideą prawa. Przepis to prawo pisane (lex), podczas gdy sprawiedliwość (ius) to sfera prawa rozumianego jako kombinacja ideałów słuszności, racjonalności i efektywności. W Polsce zawsze mieliśmy za dużo lex, a za mało mądręj praktyki i interpretacji tego, co już jest. Można w tym miejscu

sprawiedliwości, godności, czasami nawet zdrowego rozsądku, spotyka się z niezrozumieniem w sądach i urzędach. Gdy obywatel chce jako podmiot uprawniony walczyć z państwem, sądy i urzędy nie są gotowe go bronić z równą gotowością, z jaką egzekwują wobec obywatela prawo jako miecz. W efekcie frustracja ludzi, którzy w sądzie i urzędzie z różnych, często formalnych względów nie dostają tego, czego słusznie oczekują i co intuicyjnie rozumieją jako sprawiedliwość. Sędzia czy urzędnik przyzwyczajony do „starego” jest niepomiernie zdziwiony, że nagle ma przed sobą obywatela, który śmie twierdzić, że państwo jest wobec niego do czegoś zobowiązane, a nie na odwrót.

To się musi zmienić. Dobre prawo to takie, które jest zrozumiałe, które tworzy w jego adresatach uczucie, że warto się do niego stosować, które tworzy nawyk i kulturę posłuszeństwa, która nie ma nic wspólnego z sankcją grożącą za naruszenie prawa.

Państwo prawa musi działać w sposób widoczny dla zwykłych ludzi, a nie wzmocniać przekonanie, że i tak nie warto, bo układ, procedury, czas i w Polsce nic nigdy nie można załatwić. Z upływem czasu nikt już nie pamięta, o co chodziło w sprawie, media przestają się interesować, bo wczorajszy news – a w ludziach pozostaje przekonanie, że winni i tak nigdy nie zapłacą. Wszyscy czekamy na kolejną aferę, dwa dni zainteresowania medialnego, a potem machina państwa toczy się powoli, aż problem staje się jeszcze jedną sprawą na etapie „rozwojowa”. Na końcu zaufanie do państwa i jego prawa jest na poziomie zerowym. A wtedy manipulowanie prawem przez kolejne szarlatańskie większo-

ści parlamentarne przebiega przy obojętności ludzi.

Bez przedstawienia akcentów nigdy nie będziemy państwem prawa bez względu na to, jak pompatyczne deklaracje odnajdujemy w tekstach prawnych i jakie nowe instytucje politycy opozycji malują przed nami. Cała dyskusja o państwie prawa zostanie znów sprowadzona do kolejnej reformy instytucjonalnej i zaklinania rzeczywistości, w której kolejne przepisy są lekiem na całe zło. W 2023 r. nie stać nas już na to.

Odpowiedzi na pytanie „jak odbudować państwo prawa” musimy połączyć z dyskusją o samym etosie sądenia, tak aby ludzie w końcu w prawie dostrzegli sojusznika, a nie tylko mroczną i niezrozumiałą siłę. Sędziowie muszą zrozumieć, że są gotowi do zmian w sposobie myślenia o swoim powołaniu i władzy wtedy, gdy akceptują z pokorą krytykę. Po 1989 r. nigdy nie mieliśmy rzetelnej dyskusji o tym, po co ludziom sąd, i o tym, jak sami sędziowie postrzegają i rozumieją swoje powołanie w społeczeństwie.

Jeżeli chcemy rzetelnie odbudować państwo prawa, dyskusja musi być tym razem budowana wokół tego, jak zapewnić zaufanie obywatela do państwa i prawa „od dołu”, w sądzie, w urzędzie. W 2023 r. wiemy już, że zaufania nie zbuduje deklaracja „Polska jest demokratycznym państwem prawa”. Konieczne jest jej umiejętne przekładanie na sprawy i problemy zwykłych ludzi. To na sądach ciąży szczególna odpowiedzialność. Tylko wtedy konstytucja ma szansę stać się naszą KONS-TY-TUC-JĄ.

Bezwzględny atak PiS wymusił to, że sami sędziowie zaczęli dostrzegać wagę społecznej funkcji swojego zawodu, konieczność komunikowania w sposób zrozumiały swoich orzeczeń, tłumaczenia prawa ludziom, uczynienia z konstytucji codziennego elementu ich orzekania. Czy jednak nie za późno, skoro nasza rzeczywistość to już zgłiszcza państwa prawa?

Na początek przywracania państwa prawa musimy mieć prawdziwą, rzetelną i często trudną dla samych sędziów dyskusję o tym, co znaczy być sędzią w demokratycznym państwie prawnym. Trzeba w końcu jasno powiedzieć, że dobre sądenie to rozstrzyganie konfliktów i ważenie, a nie tylko stosowanie suchego przepisu. To także dostrzeżenie zza akt człowieka z krwi i kości.

W XXI wieku obywatel nie idzie do sądu czy urzędu, żeby usłyszeć, że coś jest niejasne w przepisie i „proszę poczekać, musimy zapytać kogoś mądrzejszego”, tylko po to, aby w tym sądzie dostać ochronę.

Upadek niezależnego sądownictwa w Polsce pokazał, jak bezbronne są instytucje, które nie cieszą się społecznym poparciem i zrozumieniem. Obywatel często wie o prawie tyle, ile sędzia mu wytłumaczy. Na tym polega społeczna funkcja sądenia. Społeczne osadzenie sądu oznacza, że konstytucja ma szansę stać się „konstytucją obywateli”, sąd „moim sądem” i wreszcie, że sędzia jest „dobrym sędzią”. Ten ostatni chroni obywatela przed państwem i tworzy w obywatelu przekonanie, że niezależnych sądów nie można skazać na zapomnienie, ponieważ bez niezależnego arbitra obywatel zostaje zdany na łaskę i niechęć władzy. Instytucja, która chroni przed państwem, zyskuje najpotężniejszego sojusznika: obywatela.

Abby odbudowa państwa prawa się powiedziała, konieczne są w końcu kultura i etos pracy. W Polsce jesteśmy świetni w zarządzaniu problemami, odsyłaniu, zwracaniu z powodów proceduralnych etc. Zamiast spróbować wydać rozstrzygnięcie, które zakończy problem, mamy do czynienia z rytualnym i pozornym tańcem nad przepisem, który ma tworzyć wrażenie formalnej poprawności, a który w rzeczywistości alienuje ludzi i zniechęca do własnego państwa. Problemy trzeba rozwiązywać, zamiast uprawiać spychologię według logiki, że ktoś inny powinien się sprawą zająć.

Potrzebne jest myślenie pozytywne, co ja – jako urzędnik, sędzia etc. – muszę i mogę zrobić, aby nie zawieść oczekiwań tych, którzy przychodzą do mnie ze swoimi problemami i wiarą, że zostaną one rozwiązane zamiast otrzymania formułki, „że sprawy nie można załatwić, bo...”. Odsyłanie z urzędu do urzędu nie może być, tak jak było przez lata, podstawową techniką załatwiania spraw. Takie pozorne administrowanie tylko wzmacnia frustrację ludzi i utwierdza ich w przekonaniu, że system faktycznie zawodzi, jest niefunkcjonalny, a w konsekwencji trzeba go „reformować”. To woda na młyn populistów i legalistycznych autokratów.

Gdy obywatel chce walczyć z państwem, sądy i urzędy nie bronią go z równą gotowością, z jaką egzekwują prawo od obywatela

Jakakolwiek konstelacja polityczna chce podjąć wyzwanie przywrócenia państwa prawa, musi zarzucić marzenie o instytucjonalnej różdżce i fałszywą narrację „naprawimy od góry”. W państwie przejętym na poziomie instytucji egzystencjalnego znaczenia nabiera zapewnienie, że to sami obywatele identyfikują się z „państwem starym”, które zostało przejęte, że nadal wierzą w system demokratyczny wychodzący poza urnę. Gdy ktoś mówi mi: „A teraz zrobię cię demokratą” albo „Wymieniam instytucje, bo one nie pracowały dla ciebie”, od razu odzywają się we mnie sygnały alarmowe. Demokratą nie da się kogoś zrobić, trzeba się nim czuć, widzieć siebie jako część wspólnoty, być zaangażowanym w jej sprawy, krytycznie patrzeć na to, co proponują rządzący.

Prawdziwa dobra zmiana zawsze zaczyna się wokół mnie i we mnie, na poziomie rodziny, znajomych, sąsiadów, mojej wspólnoty, osiedla, gminy. Taka prawdziwa dobra zmiana od dołu jest dzisiaj tyleż konieczna, co niezwykle trudna w kraju zdominowanym przez pasywność obywatelską, brak kultury konstytucyjnej oraz wręcz dziedziczny brak zaufania do państwa.

W Polsce A.D. 2023 nie można jednak poprzestać na takiej prostej paternalistycznej konstatacji, tylko trzeba walczyć o to, aby poczucie obywatelskości rozbudzić, budować, a potem pielęgnować.

Każdy z nas musi zadać sobie pytania: Jakim językiem

mówić do ludzi i jak docierać do nich w czasach, gdy prawnicy są konfrontowani z wszechobecnym przekonaniem społecznym i zarzutem, że nasze działania są poddyktowane korporacyjnym poczuciem zagrożenia własnych interesów i obawą, że możemy coś stracić? Co ja sam mogę zrobić tu i teraz? Z pewnością nie tylko pisać, ale i słuchać, mówić, pojechać, gdy zapraszają. Jeżeli dostaję maile z biblioteki w małej gminie w środku Polski: „Panie profesorze, przeczytaliśmy wywiad z panem, niech pan przyjedzie i porozmawia z naszą młodzieżą w ośrodku kultury”, to się pakuję i jadę. Nie mam żadnych oczekiwań wobec

mojej perfekcyjnej instytucji, komisji i tak dalej. Rozumiem – lecz widzę, że gdy przed nami wszystkimi stoją tak wielkie wyzwania mobilizacji i determinacji, intelektualnie rozleniwiona opozycja polityczna po 8 latach budowania państwa bezprawia i bezkarności potwierdza każdego dnia, jak niewiele zrozumiała z tragedii ostatnich lat – skoro sporem numer jeden czyni to, czy i kto miał przyjść na marsz 4 czerwca...

Wraz z wyborami parlamentarnymi jako obywatele dostajemy jeszcze raz szansę, aby dowiedzieć, że zrozumieliśmy, że aby przetrwać, demokracja musi być zawsze mocna głosem i przywiązaniem obywateli do konstytucyjnych podstaw wspólnoty. Najlepszą bronią wobec arogancji i bezkarności, kłamstwa i manipulacji władzy musi być obywatelska gotowość do zabrania głosu i sprzeciw. Zamiast sentymentalnego rozpamiętywania przeszłości i bezspornie popełnionych błędów musimy budować kulturę „dobrej roboty”, uwrażliwiać na niegodziwość, wzmacniać potrzeby uczestnictwa i aktywności. Te wybory mogą być szansą nowego otwarcia, tylko gdy zrozumiemy, że dobrze urządzone i porządne państwo to coś znacznie więcej niż zestaw błyszczących nowości instytucji w Warszawie. To przede wszystkim „my obywatele”. Bez solidnego podglebia wszystko budowane na górze zawsze będzie przypominać zamki z piasku, które muszą runąć w starciu z autokratami. ●



*Tomasz Tadeusz Koncewicz

• profesor prawa, kierownik Katedry Prawa Europejskiego i Komparatystyki Prawniczej Uniwersytetu Gdańskiego, adwokat, członek Editorial Board Oksfordzkiej Encyklopedii Prawa Europejskiego i zespołu doradców ds. kontroli konstytucyjności prawa przy marszałku Senatu RP. Zasiada w Radzie Fondation Jean Monnet pour L'Europe w Lozannie

Jodły

Zestawienie Grupy Wagnera z grupą Webera było genialnym zabiegiem retorycznym ze względu na swoją muzyczność.

Michał Rusinek



Choć wydawało się to już niemożliwe, premier Mateusz Morawiecki wzniosł swą sztukę krasomówczą na kolejne, niedostępne nikomu wyżyny. Oczywiście, jak to w polskim piekielku bywa, prawie nikt tego nie zauważył, a ci, którzy zauważyli, na przykład dziennikarze „Wyborczej”, oczywiście postanowili ten rekord zdeprecjonować, pisząc o „skandalicznych słowach”. Powinniście się wstydzić, dziennikarze. Przemawia przez was czysta zawiść. Cieszyście się ze sportowych sukcesów Igi Świątek, a jeśli wasz rodak osiągnie coś w dziedzinie retoryki – plujecie jadem.

Wyżyny wspomniane osiągnął premier Morawiecki, przemawiając w Szkole Podstawowej nr 6 w Kościerzynie. Uświadamiał tam mieszkańców, że Polska zagrożona jest obecnie z dwóch stron – od wschodu (Putin i Łukaszenka) i zachodu (Unia i Niemcy) – acz ten geopolityczno-psychologiczny wątek nie był niczym nowym w rządowej narracji. Wiadomo też nie od dziś, że jeśli się postraszy, to powinno się pocieszyć, więc premier zaraz dodał, że nie należy się niepokoić, bo rząd modernizuje armię, dzięki temu, że był pogonił „mafie VAT-owskie i przestępców podatkowych”. Ten wątek pojawia się właściwie we wszystkich przemówieniach premiera, więc i tu nie mogło go zabraknąć, choć działa on już na nas usypiająco. Ale tak właśnie miał zadziałać tym razem. Bo ukolysani dobrze znanymi wątkami mieszkańcy Kościerzyny zostali nagle wyrwani z błogiego półsnu przez frazę, która natychmiast zapisała się w annałach polskiego krasomówstwa: „Kiedy w tym trudnym czasie, pełnym ryzyka i niepewności, nie wiemy, co nastąpi, na wschodzie widzimy Grupę Wagnera, która ma się przemieścić na Białoruś, a na zachodzie działa grupa Webera”.

Tu przypis pierwszy. Przewodnicząc Europejskiej Partii Ludowej Manfred Weber udzielił niedawno wywiadu dziennikowi „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, w którym przekonywał, że „opowiada się za kursem, który wyklucza radykałów”, i mówił o konieczności zbudowania zapory przeciwko partiom antyeuropejskim, jakie funkcjonują w Europie. Wśród nich wymienił ugrupowania Marine Le Pen, Viktora Orbána, Jarosława Kaczyńskiego oraz niemiecką AfD. Wypowiedź ta wywołała oczywiście burzę na polskiej prawicy, zwłaszcza zdanie, że EPL jest jedyną siłą, która „może zastąpić PiS w Polsce i poprowadzić ten kraj z powrotem do Europy”. Weber nie jest jedynym politykiem unijnym, który chciałby, żeby Pol-

ska była znów w Europie; polityków przychylnych Polsce jest z pewnością wielu i wcale nie muszą oni działać w zмовie. Tymczasem polska (i nie tylko polska) prawica zmovę potrafi wytropić wszędzie. Na stronie TVP Info pojawiła się zaraz informacja o „nieformalnym stowarzyszeniu orędowników obalenia PiS”, które zostało nazwane przez Patryka Jakiego „grupą Webera”: „jej celem jest zdobycie władzy za pomocą przemocy instytucjonalnej i finansowej w państwach, które dalej uważa za swoje kolonie”. Tajna, nieformalna loża została zatem zdemaskowana i zyskała poręczną nazwę.

Tu przypis drugi. Od czasu buntu Jewgienija Prigożyna Grupa Wagnera pojawia się w wypowiedziach polityków i publicystów dość często. Jej założycielem był Dmitrij Utkin, noszący pseudonim „Wagner”, ponoć na cześć Richarda Wagnera. Bynajmniej nie ze względu na melomanię założyciela tej prywatnej bojówki złożonej z najemników, neonazistów, byłych więźniów i zbrodniarzy, ale z powodu nieukrywanych fascynacji Utkina Hitlerem, którego ulubionym kompozytorem był właśnie Richard Wagner. Wagnerowców nazywa się więc eufemistycznie muzykantami, zwłaszcza w rosyjskich czy ukraińskich mediach społecznościowych.

Koniec przypisów. Wróćmy do Morawieckiego. Dziennikarzom oburzonym insynuacyjnym zestawieniem polityków proeuropejskich ze zbrodniarzami wojennymi premier natychmiast wyjaśnił, że była to figura retoryczna. Ale że przekładanie figuralności na dosłowność przypomina wyjaśnianie, dlaczego dowcip był śmieszny, więc w ramach eksplikacji jednej figury premier posłużył się kolejną, równie subtelną, opartą tym razem na prasłowiańskiej etymologii: „Jest Grupa Wagnera [...], która stanowi ogromne zagrożenie i jest obłędna”, ale i jest „błędna polityka po stronie EPL, której przewodzi pan Weber”. Niezaznajomionym ze sztuką wymowy profanom wyjaśnił też, że jego „figury retoryczne są takie, żeby uzmysłowić pewne ryzyka, które wiążą się z polityką”. Zwróćmy uwagę na wyraz „uzmysłowić”, który odnosi się zarówno do rozumienia, jak i do zmysłów. W tym przypadku chodziło niewątpliwie o zmysł słuchu – i to muzycznego.

Zestawienie Grupy Wagnera z grupą Webera było bowiem genialnym zabiegiem retorycznym ze względu właśnie na swoją muzyczność, rozumianą nie tylko fonetycznie (aliteracja), ale również aluzyjnie. Tylko mistrzowie retoryki potrafią przemienić w swoich przemówieniach elementy, które są jak puszczenie oka do słuchaczy lepiej zorientowanych i które budują mikrowspólnotę w obrębie wspólnoty. Tym razem jest to mikrowspólnota rodzimych melomanów, którym po słowach premiera stają przed oczami dwaj giganci niemieckiej muzyki romantycznej: Richard Wagner (1813-83) i Carl Maria von Weber (1786-1826). Według premiera z jednej strony atakuje więc nas preludium z aktu III „Walkirii”, z drugiej – mamy nasze zmysły uwertura do „Wolnego strzelca”; w jednym uchu słyszymy „Kaisermarsch”, a w drugim – „Zaproszenie do tańca”. Ale my, Polacy, ani nie będziemy maszerować w rytm tego marszu, ani do tego tańca nie damy się zaprosić. My zabarykadujemy się w swoim „Straszonym dworze” i zadowolimy szumem jodeł na gór szczytce. ●

Najlepsi komiwojażerowie konfliktu

**Oni oczywiście chcą prawa człowieka
respektować i wyroki ETPC wykony-
wać, ale niestety nie mogą.**

Marcin Matczak



Pis już tak ma, że oskarża wszystkich wokół o to, co sam robi – to taka ich symetria grzechu. Radzą sobie w ten sposób z dysonansem („nie jesteśmy tacy źli, bo inni też są”) i uprawiają whataboutism w najlepszym wydaniu („a u was biją Afroamerykanów”).

Cokolwiek oni robią złe, PO albo PSL robiły gorzej, jakkolwiek oni upolityczniają sądownictwo, ktoś upolitycznia bardziej (Niemcy albo Hiszpania), nawet jak ich prawo zabija kobiety w ciąży, to powiedzą, że za Tuska śmierci było więcej. Tylko kradną lepiej i lepiej kłamią – tu nikt nie może z nimi konkurować.

Jak każdy, kto widzi żdźbło w oku cudzym, a nie widzi belki w swoim, jest PiS świętoszkowaty. Nie tylko religijnie, gdy buja się do melodii „Barki” na Jasnej Górze, żeby dobrze i konserwatywnie to wyglądało. Także prawnie jest świętoszkowaty – łamią konstytucję i prawo międzynarodowe, jak popadnie, ale jak im ktoś zarzuci, że łamią, to przecież nie, wcale! Oni właśnie prawdziwie przestrzegają! Europejski Trybunał Praw Człowieka mówi im, że w sprawie Igora Tulei łamali prawa człowieka jak zapalki, a tu Kaleta wyskakuje i tłumaczy przejęty, że oni oczywiście chcą prawa człowieka w Polsce respektować i wyroki ETPC wykonywać, ale niestety nie mogą.

Nie mogą, bo im prawo nie pozwala! Konstytucja w interpretacji Krystyny Pawłowicz praw Igora Tulei im nie po-

zwała szanować, bo oni mają konstytucyjny obowiązek, który im Piotrowicz z konstytucji wywiódł, Tuleyę i innych sędziów w mającacie konstytucji głanować. I ten biedny Kaleta taki jest zatroskany o to, żeby to niszczenie Tulei odbywało się zgodnie z prawem, że nie zdążył nawet przeczytać tego pseudowyroku pseudotrybunału, który mu niby każe mocą konstytucji ludzi łamać: że on dotyczy art. 6 konwencji. A ETPC im powiedział, że niszczyli sędziego Tuleyę jeszcze z dwóch innych artykułów – 8 i 10. Ale i tak nie mogą w tej sprawie nic zrobić.

Politykami najgorszego sortu zostają u nas ludzie, którzy są komiwojażerami konfliktu. W opisie swoich obowiązków mają wprost wskazane: sprzedawać pokłócenie, oferować nienawiść, robić promocję na wkurw i organizować wyprzedzać na pogardę – a nawet na trzy pogardy w jednej, żeby było taniej. Liczą na to, że jak odpowiednio długo będą stawiać ludzi w sytuacji bez wyjścia, ktoś nie wytrzyma i odpowie nienawiścią na nienawiść. Bo czymże jest to beczelne chamstwo uśmiechającego się pod nosem Kaczyńskiego, który wie, że jak złamie prawo, to sobie to prawo zmieni, żeby płacić nie było trzeba („lex Kaczyński”), albo daruje kary swoim towarzyszom (przepisy abolicyjne wprowadzane przy okazji pandemii). Przecież on i taki Kaleta plują nam w twarz – „oburzajcie się, proszę bardzo, a my i tak wykręcimy to prawo tak, żeby nam pasowało”.

Jest na to naukowa nazwa – autorytarny legalizm. Wobec swoich przyjaciół PiS stosuje prawo w sposób miękki jak pupciak niemowlaczka. Kradną tam z kontenerów PCK na potęgę, defraudują z jednego czy drugiego funduszu, jak chcą, i dziwnym trafem nic się nie dzieje, nikt nikomu o szóstej rano do domu nie wjeżdża i nikogo na ziemię nie rzuca. Ale wobec wrogów są surowi jak Katarzyna Nosowska wobec Caroline Derpieński – zero litości ani milimetra pobjaźniania, bo prawo przecież zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość sprawiedliwość! Tylko takie szanują wyroki, które im dają wygraną, a innymi gardzą, mówiąc, że im ich wykonać nie wolno.

A to się kończy państwem mafijnym. Na czym ono polega? Na tym, że po sprawie idziesz nie do sądu, a o pomoc nie prosisz policji, tylko udajesz się w pielgrzymkę do ojca chrzestnego, który głaszczy kota, i próbujesz się wkuć w jego łaski. Bo wiesz, że już nic nie zależy od państwa, a wszystko od niego i jego lizusów.

Zachowują się jak mafia, ponieważ ich celem jest konflikt. Bo co ma zrobić człowiek, który nie chce się wkuypować w ich łaski? Dokąd ma pójść, skoro oni wszystkie instytucje powołane do rozwiązywania konfliktów systematycznie niszczą? Sieją wiatr, licząc, że nie zbiorą burzy?

**Liczą na to,
że jak odpowiednio długo będą
stawiać ludzi w sytuacji bez wyjścia,
ktoś nie wytrzyma i odpowie
nienawiścią na nienawiść**

Takie państwo mafijne to państwo, w którym sędziów zastąpili ludzie stosujący metody agentów – którzy teraz, jak pokazuje żenujący spektakl opisywany przez Muszyńskiego i Pawłowicz, podsluchują się wzajemnie w budynku TK i szukają na siebie haków. Bo tylko tak umieją żyć – konfliktem, który sami wywołali, a w którym każdy czuje się ciągle zagrożony, więc musi szykować się na wojnę. I stoi ten Muszyński ze szklanką przy ścianie, może nawet owija ją balonem, żeby lepiej rezonowała, i staje się z tą szklanką przy uchu żalosnym symbolem upadku wszystkiego, czym Polska mogła być, ale nie będzie.

Atakują niezależne sądy nie tylko obelgą, ale również wrzucając do nich ludzi o charakterach podłych. To nie jest po prostu próba likwidacji jakiegś abstrakcyjnej instytucji. To jest atak na społeczny mechanizm rozwiązywania konfliktów, żeby ten konflikt trwał, bo oni nim się żywią. Po to są sądy, żeby w najgorętszym sporze było do kogo pójść i żeby ten ktoś miał na tyle szacunku w społeczeństwie, aby ten konflikt rozstrzygnąć. Kie-

dy jednak sama władza ma wyroki sądów w nosie, jeśli ona atakuje ich autorytet od ośmiu lat, organizując oszczercze akcje billboardowe, jeśli mówi obywateli Tulei, a tym samym nam wszystkim, że mamy się bujać, to znaczy, że ta władza chce konfliktu. Chce, żeby ludzie się brali za łby, żeby nie można było sporu w cywilizowany sposób rozstrzygnąć. Bo kto ma to zrobić? Podsluchujący Muszyński ze szklanką przy uchu, zbierający do notatnika haki?

Beata Szydło, odmawiając publikacji wyroków legalnego TK, Kaczyński unikający wykonania wyroku sądu nakazującego mu przeprosić Sikorskiego, Kaleta, odmawiając Igorowi Tulei wykonania wyroku ETPC, nawołują do przemocy. Bo nawołuje do przemocy każdy, kto bezczelnie pokazuje społeczeństwu, że bezprzemocowe rozwiązywanie konfliktów nie działa. Taka władza jest władzą podobną do mafii – prawo nie znaczy dla nich nic, liczy się tylko siła, która, mimo że ubrana w prawne fatalaszki, nadal jest zwyczajną przemocą.

I za to wzywanie do przemocy kiedyś zapłaca. ●

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”. Książka Marcina Matczaka już w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



**Wszystko
o podróżowaniu
z Twoim psem!**



KSIĄŻKA

Magdaleny Wilczewskiej

Dziękuję w sercu

i Piotra Miklaszewskiego

Podróże z Pazurem

ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA **wydajenamsie.pl**

Wydaje
nam się

Polak śniady i skośnooki

Stoimy przed wyborem: kurcząca się Rzeczpospolita nielicznych białych ubogich starców albo rosnąca Rzeczpospolita różnokolorowych zaradnych młodych

Majcherek*

Wezwanie Jarosława Kaczyńskiego do przeprowadzenia referendum w sprawie przyjmowania uchodźców warto potraktować jako pretekst do zintensyfikowania publicznej debaty na temat osiedlania się przybyszy ze świata, bez których Polska się wyludni i ze starzeje, ze wszystkimi tego skutkami gospodarczymi i społecznymi.

Polska już się wyludnia. Od czasu, gdy w latach 90. liczba mieszkańców kraju przekroczyła 38,6 mln, ubyłoby prawie milion i na początku obecnego roku było nas, jak podał GUS, 37,7 mln. W ubiegłym roku spadek wyniósł prawie 150 tys., bo taka była nadwyżka zgonów nad urodzeniami. Tych drugich odnotowano 305 tys., z czego kilkanaście tysięcy zawdzięczamy uchodźczynom i imigrantom. W obecnym roku przyjdzie na świat łącznie na pewno poniżej 300 tys. dzieci. Przypomnijmy: w kulminacyjnym okresie baby boomu lat 50. oraz w stanie wojennym rodziło się ponad 700 tys. rocznie przy mniejszej niż teraz populacji. Według prognoz do końca obecnej dekady ludność Polski skurczy się do 36 mln, a do 2050 r., czyli w ciągu jednej generacji, do 32 mln. Według Eurostatu do końca stulecia spadnie poniżej 30 mln, szacunki ONZ są jeszcze bardziej pesymistyczne i przewidują, że ludność Polski wyniesie wówczas 23 mln.

I będą dominować starzy ludzie, co widać już obecnie. W ciągu dekady, między spisami powszechnymi 2011 i 2021 r., przybyło jedynie mieszkańców w wieku emerytalnym – o prawie 2 mln. Wszystkich innych ubyłoby, tych w wieku produkcyjnym aż o 2,2 mln.

Indeks starości, czyli proporcja liczby dziadków do liczby wnuków (osób w wieku poprodukcyjnym do tych w wieku przedprodukcyjnym), wynosi obecnie 126 (tyle tych pierwszych przypada na 100 tych drugich) i stale się pogarsza. ZUS przewiduje, że do 2060 r. przybędzie 3,5 mln emerytów, natomiast ubędzie 7 mln płatników składek. Jeśli te prognozy się sprawdzą, za 37 lat będzie w Polsce 12 mln emerytów przy populacji skurczonej do około 30 mln, czyli emeryci będą stanowili blisko 40 proc. mieszkańców Polski. Na starzejącą się populację nie będzie miał kto pracować. Według Eurostatu na koniec obecnego stulecia Polska będzie mieć najwyższy w Europie odsetek emerytów przypadających na liczbę osób w wieku produkcyjnym.

Polska od połowy lat 50. notuje stale ujemne saldo migracji. Przeciwnie niż większość państw zachodnioeuropejskich, które pomimo podobnie niskiej jak w Polsce dzietności zwiększają liczbę ludności. Także dlatego, że znaczną część dzieci przychodzących tam na świat rodzą imigrantki: w Luksemburgu to dwie trzecie, w Szwajcarii prawie połowa, w Austrii, Belgii, Szwecji – jedna trzecia.

Na niską dzietność nie mamy i nie będziemy mieli wpływu, bo jej spadek ma nieodwracalne uwarunkowania kulturowe. Co jakiś czas pojawiają się bałamutne opinie, że można zwiększyć skłonność Polek do rodze-

nia dzieci poprzez poprawę opieki nad nimi i ich potomstwem, budowę żłobków i przedszkoli, tanich mieszkań na wynajem, zwiększenie dochodów rozporządzalnych matek i rodzin z dziećmi... Porównania z państwami znacznie bogatszymi, z dużo większą liczbą żłobków i przedszkoli oraz bardziej troskliwą i wszechstronną opieką nad matkami i dziećmi pokazują, że takie czynniki mają znikome znaczenie.

Najbogatsze w Europie Luksemburg, Norwegia i Szwajcaria mają dzietność na poziomie Polski lub niewiele wyższą – a i to dzięki imigrantom. W uchodzącej za wzorową pod względem opieki nad dziećmi Finlandii zanotowano w ubiegłym roku rekordowo niski wskaźnik dzietności: 1,32 (w Polsce 1,38). Wprowadzając 500+, pisowskie władze liczyły także na efekt pronatalistyczny, a ich eksperci ostrzegali, że bez tego programu liczba urodzeń spadnie do 317 tys. rocznie. Przypomnijmy: w ubiegłym, siódmym roku funkcjonowania programu urodziło się 305 tys. dzieci, najmniej od II wojny światowej.

Obecnie podnoszony jest też za-

■
Między spisami powszechnymi 2011 i 2021 przybyło mieszkańców w wieku emerytalnym – o prawie 2 mln. Wszystkich innych ubyłoby, tych w wieku produkcyjnym aż o 2,2 mln

rzut, że dzietność obniża drakońska ustawa antyaborcyjna, odstrasza ją kobiety w wieku reprodukcyjnym od zachodzenia w ciążę. Owszem, minimalny wpływ może mieć, ale w najbardziej liberalnej w kwestii aborcji Holandii wskaźnik dzietności to 1,55, w podobnej pod tym względem Wielkiej Brytanii (przerwanie ciąży dopuszczalne do 24. tygodnia) to 1,56, w obu krajach podnoszą go imigrantki. Wymagany do utrzymania populacji (zastępowalności pokoleń) to 2,1. Żłobki i przedszkola trzeba budować, opiekę nad dziećmi poprawiać, ustawę antyaborcyjną liberalizować z różnych powodów, ale to nie wpłynie znacząco na chęć Polek do rodzenia dzieci.

O ile na dzietność Polek wpływu nie mamy, na liczbę zgonów niewielki (a wydłużanie życia zwiększa liczebność najstarszej subpopulacji), o tyle na bilans migracji prawie całkowicie. Prawie, bo nie powstrzymamy Polaków chętnych do przenoszenia się poza kraj, ale imigracja, jej rozmiar i struktura zależą już od władz publicznych i polityki imigracyjnej.

Władze pisowskie takową prowadzą, ale chaotycznie, nieoficjalnie i skrycie. Rokrocznie wydawanych jest coraz więcej pozwoleń na pracę, obecnie zarejestrowanych jest już ponad milion cudzoziemskich pracowników, w ciągu roku przybyło ich niemal 200 tys. Prawie trzy czwarte wszystkich stanowią Ukraińcy, ale ok. 300 tys. to przybysze z innych, przeważnie egzotycznych krajów takich jak Gruzja, Indie, Wietnam, Uzbekistan...

Niedawno ujawniono, że na potrzeby budowy pod Płockiem fabryki chemicznej pod szyldem Orlenu ściaga-

nych jest kilka, a może i kilkanaście tysięcy cudzoziemskich pracowników. Ale kilku tysięcy uchodźców pisowskie władze wpuścić nie chcą.

Jak wszędzie na świecie imigranci osiedlają się w największych miastach, a więc elektorat pisowski nie musi ich oglądać. Mieszkańcy Warszawy, Krakowa, Wrocławia czy Gdańska spotykają ich zaś na co dzień i przyzwyczajają się do widoku śniadoliczych i skośnookich współmieszkańców. Coraz częściej zdają sobie sprawę, że to nie oni zakłócają im życie, przeciwnie, to bez nich codzienne funkcjonowanie naszych miast i społeczności byłoby zakłócone.

Imigranci to młodzi ludzie w wieku produkcyjnym i reprodukcyjnym. Powiększają więc nie tylko kurczące się zasoby pracy, lecz także liczbę dzieci. Na razie w stopniu niewystarczającym w obu przypadkach. Potrzeba ich zatem więcej.

Oczywiście spowoduje to perturbacje społeczne o podłożu kulturowym. Być może potrzebna byłaby dyskretna regulacja i kontrola składu etnicznego i wyznaniowego przybyszy (oficjalna

Inni już wyboru dokonali lub dokonują. Wlk. Brytania ściągnęła w ubiegłym roku 1,2 mln imigrantów, o ponad 200 tys. więcej niż rok wcześniej. Rząd Kanady, liczącej tyle samo mieszkańców co Polska i mającej podobny wskaźnik dzietności, podniósł roczne kwoty imigrantów do pół miliona. Niemcy wprowadzają ułatwienia w osiedlaniu się i naturalizacji cudzoziemców, bo coraz dotkliwiej odczuwają brak rąk do pracy (jedno z ostatnich doniesień: dyrektorzy niemieckich przedsiębiorstw stają przy taśmach produkcyjnych, aby uniknąć ich zatrzymania z braku obsady stanowisk).

Hiszpania w ubiegłym roku zliberalizowała prawo imigracyjne i przyjęła około miliona przybyszy. Włoski minister rządu prawicowych populistów uległ naleganiom producentów rolnych, przerażonych wizją zamierających plantacji i zbiorów gnijących w polu z braku rąk do pracy, i zgodził się na sprowadzenie dodatkowych kilkuset tysięcy robotników rolnych. Nawet Francja, w której władze są pod rosnącą presją antyimigranckiego Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen, zwiększyła liczbę imigrantów do 320 tys.

Podobne procesy i tendencje zachodzą w całej niemal Europie Zachodniej. Sugestywny jest przykład Szwajcarii, która od 1989 r. zwiększyła liczbę ludności o jedną trzecią i stale ją powiększa, w ubiegłym roku zanotowała dodatnie saldo migracji netto ponad 80 tys. (przy czterokrotnie mniejszej całkowitej populacji niż Polska).

Tymczasem cała Europa Wschodnia się wyludnia, ze znamionym wyjątkiem Czech. Ale wynika on nie z wysokiej dzietności, bo choć wskaźnik 1,7 jest znacząco wyższy niż w Polsce, to jednak daleki od 2,1. Czechy mają od 1991 r. stale dodatnie saldo migracji. Symptomatyczny i symboliczny jest przykład Cieszyna: po polskiej stronie stale traci mieszkańców, po czeskiej od lat ich zyskuje. Wystarczy przejść graniczny most na Olzie, aby zobaczyć śniadoliczych i skośnookich przechodniów, sprzedawców, uczniów w szkołach, i wszystko staje się jasne. ●



***Janusz A. Majcherek** – jest filozofem i socjologiem, pracuje w Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiecezorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTODYDZIA: Rafał Szczepankowski
WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Adam Michnik poleca. O „Dziadach i dybukach” Jarosława Kurskiego

Chcesz być Polakiem? POLACY NIE POZWOLĄ

Zły, antysemicki duch szaleje w nas, gdy tylko przydąrzy się okazja

Stanisław Żak*

Kiedy się czyta „Dziady i dybuki” Jarosława Kurskiego, ma się poczucie uczestniczenia w wielkiej przygodzie historycznej, oglądania z bliska ewolucji kulturowej, religijnej chyba aż czterech pokoleń.

Autor określił książkę jako opowieść dygresyjną; mnie od razu przyszło na myśl określenie saga rodzinna. W sadze Kurskiego istnieje kilka równoległych wątków, udokumentowanych, opatrzonych dygresjami. Konstruuje on narrację z biografistyki, dokumentów, wspomnień i osobistych refleksji inspirowanych przez opowiedziane wydarzenia i sytuacje. Nie ma tu fikcji.

Cale sekwencje narracji mają charakter reportażowy. Akcja rozgrywa się, nie wchodzę w szczegóły, na dwóch płaszczyznach przestrzennych: w Gdańsku, gdzie mieszka rodzina autora: matka, ojciec, autor i jego brat, oraz we Lwowie, w Wiedniu, Oksfordzie...

Wątek podstawowy to historia matki autora, która na początku opowieści pojawia się w domu syna przerażona, że ten, pisząc, ujawni jej rodowe korzenie. To dramatyczny początek, czyniący aluzję do Edypa. Odkrycie tej tajemnicy generuje wielki strach: „Nie rozumiesz, nie wiesz, co robisz. Nie wiesz, jaki los szykujesz sobie. Jaki los szykujesz jemu – wskazała na leżące w becie niemowlę, mego syna”.

Po tym początku ma się wrażenie, że narrator chce wzmocnić ekspresję: „Dopadło ją fatum, ręce jej drżały, drżał głos, zbłądła. Była jak płowa zwierzyna złapana we wnyki, która im bardziej próbuje się wyrwać, tym większy zadaje sobie ból”.

Matka reanimuje przeszłość, przywołuje ludzi, którzy odegrali jakąś rolę w jej życiu albo zostawili po sobie ważny trop w kulturze. Jedną z takich postaci jest Lewis Namier (Ludwik Namierowski), który chciał być Polakiem, wszak urodził się w Polsce, chodził do polskiej szkoły, ale upokorzony przez bezmyślnych „prawdziwych Polaków” polskości wręcz nienawidzi. To staje się przyczyną dramatu rodzinnego.

Kurski wspomina historię swojej babci Teodory Bernstein-Niemirowskiej i jej wielkiej miłości do malarza Kazimierza Sichulskiego, który zerwał z nią zaręczyny. Panna była piękną kobietą, wykształconą, miłą i jeszcze na dodatek bogatą, doskonale wypełniała funkcję „dobrej Polki”.

Nie najważniejsze są tu fakty, bo one zawsze mają w sobie dużo subiektywizmu, ale trzeba „wczuć się w klimat i wsłuchać w tę jedyną w swoim rodzaju melodię polskiej prawicy. Melodię, na którą składa się bogata instrumentacja: spisek, konfabulacja, przemieszany kompleks wyższości i niższości oraz nieskalany pamięcią o Zagładzie swojski polski antysemityzm.

No i jeszcze unikalne nuty: »wroga Polsce część żydostwa reprezentowanego przez międzynarodową finansjerę«.

Jest to jedna z prób poznania i zrozumienia przyczyn antysemityzmu jako powszechnego społecznego obyczaju. Ale sens jest dwójaki: oskarżenie, potępienie – poznanie i zrozumienie.

Od tego miejsca zaczyna się traktat o antysemityzmie bezwzględny, irracjonalny, odsłaniającym pychę, a nade wszystko lekceważenie człowieka.

Czytelnik czuje podziw dla woli zerwania z wielowiekową tradycją narodu wybranego, przyjęcia nowej religii tylko po to, aby zatrzeć piętno narodowościowe; za razem mamy tu niezrozumiały, napastliwy, brutalny antysemityzm, którego skutki bywają często ogromną stratą intelektualną, ekonomiczną, polityczną dla kultury i narodu. Przez taki stosunek do Polaków pochodzenia żydowskiego straciliśmy wielu wybitnych naukowców, pisarzy, poetów, którzy zmuszeni do opuszczenia kraju działali na korzyść nowych społeczności. Wystarczy przypomnieć sobie antysemicką hucpę w 1968 r. Albo wcześniejszy tzw. pogrom kielecki (4 lipca 1946).

Naród chrześcijański, z którego wyszedł wielki papież, zaprzyjaźniony z Polakami żydowskiego pochodzenia, nauczający, że antysemityzm jest grzechem i że Żydzi są naszymi starszymi braćmi w wierze, obdarza ich nienawiścią i pogardą – jak to wszystko wytłumaczyć? Jaki dybuk wdarł się do świadomości wielu Polaków i szaleje, gdy tylko przydąrzy się okazja?

W programie ideowym pozytywizmu przewidziano: „Idee równości towarzyskiej i prawnej są najzacniejszym nabytkiem i najważniejszym znamieniem nowszych czasów” (Henryk Markiewicz, „Pozytywizm”).

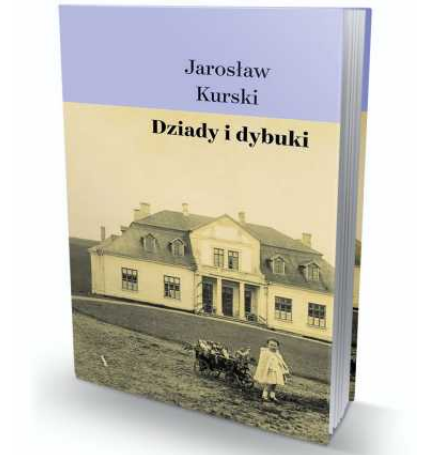
Myszę, że najmocniej tego dybuka reanimował i wzbogacał Roman Dmowski: „w XIX stuleciu głównym dążeniem Żydów było wejście do społeczeństw europejskich, zdobycie kultury i wiedzy europejskiej, przyjęcie zwyczajów i sposobu życia narodów, wśród których mieszkali, przerebienie się na Francuzów, Anglików, Niemców, Polaków itd. Jednolitość wszakże instynktów i spójność rasowa pozwalała im zachować przy tym węzły ścisłej łączności nie tylko między Żydami asymilującymi się i często wyzutymi z wierzeń religijnych a Żydami starego typu, tzw. ortodoksami, ale także pomiędzy Żydami wszystkich krajów” („Polityka polska i odbudowanie państwa”).

Gdyby Dmowski sięgnął do literatury, przekonałby się, że Żyd to też człowiek godny szacunku choćby z tego powodu, że należy do narodu wybranego, jak to pisał Norwid w wierszu: „Żydowie polscy”:

„Ty! jesteś w Europie, poważny Narodzie/ Żydowski, jak pomnik strzaskany na Wschodzie./ Swoimi gdy złamki wszędzie się rozniesie./ Na każdy hieroglif unosząc odwieczny –/ A człowiek północny, w sosnowym gdy lesie/ Napotka cię, odbłysek zgaduje słoneczny/ Ojczyzny!”.

Wystarczyłoby przeczytać takie powieści jak Orzeszkowej „Meir Ezofowicz” czy Prusa „Lalka”, opowiadania jak Konopnickiej „Mendel Gdański”.

Miałem przyjaciela Żyda, pochodził z Łodzi. Kiedy Niemcy przyłączyli Łódź do Rzeszy, musiał wyjechać, bo uderzył Niemca w twarz, gdy ten kazał mu z chodnika zejść na jezdnię. Był w partyzantce na Kielecczyźnie. Kiedy go odwiedziłem w Izraelu, popłakał się przy witaniu, a do mojej żony, gdy ją usłyszał (tracił wzrok), ze łzami powiedział, zarzucałszy jej na szyję rękę: „Przecież ja jestem Polakiem!”.



Książka Jarosława Kurskiego jest doskonałą lekcją dla zwolenników podziałów etnicznych wedle kształtu nosa lub koloru oczu

Przyjechał do Kielc, aby odszukać kolegów – partyzantów. Trafił na pogrzeb jednego z nich, uczestnicy pogrzebu przyjęli go serdecznie, zaprosili na drugi dzień do domu innego z nich w Starachowicach. Niestety, prof. Józef Halperin już nie żyje.

Gdy czyta się książkę Kurskiego, nieustannie ożywają osobiste wspomnienia. Zachodzi dziwny proces w świadomości, w pamięci, w wyobraźni, zainspirowany niezwykłą ekspresją narracji, permanentnie zmienianą stylistycznie. Autor i zarażem bohater tej sagi sprawnie wykorzystu-

je dokumenty, korespondencję, opowieści członków rodziny.

Śledzi ewolucje kulturowe i psychiczne ludzi, którzy decydują w nader ważnej kwestii: co stracić, co wybrać!? Trzeba stracić wielką tradycję Izraela, wybrać wątpliwą, niepewną tradycję Polski. Jest to dramat adopcji i adaptacji. Nieustannie w poprzek tym procesom staje antysemityzm.

Kurski przytacza relację prezydenta Edwarda Raczyńskiego: „Endecki antysemityzm ogromnie nam, Polakom, szkodził i nadal szkodzi na całym świecie. Przez wiele lat przyjaźniłem się z Lewisem Namierem, znanym historykiem, urzędnikiem Foreign Office. Namier w okresie pierwszej wojny światowej i w latach późniejszych był doradcą rządowych kół angielskich w sprawach polskich. Był on, jak wiadomo, bardzo wrogo nastawiony do spraw naszego kraju”. Jakie były tego powody?

„Otóż jeszcze parę lat przed pierwszą wojną Namier, którego nazwisko miało jeszcze wtedy polskie brzmienie [Niemirowski], jechał koleją do Lwowa”. Do przedziału wsiadło paru myśliwych. Wracali akurat z polowania w majątku ojca Namiera.

„Myśliwi, nie zwracając uwagi na młodego współtowarzysza podróży, zaczęli głośno naśmiewać się i obgadywać żydowskie pochodzenie starego Namiera. Trwało to długo, uwagi niedawnych gości myśliwych były bardzo złośliwe i napastliwe, lecz młody Namier przysłuchiwał się cierpliwie. »Do tej pory uważałem się za Polaka – wyznał Namier Raczyńskiemu – ale to wydarzenie sprawiło, że wyrzekłem się polskości«.

Młody człowiek doznał pogardy, wręcz degradacji społecznej, więc trudno się dziwić resentymentom, jakie powstały i przez lata zalegały w jego psychice. Tak głęboko, że spowodowały zerwanie z rodziną.

Książka Jarosława Kurskiego jest doskonałą lekcją dla zwolenników podziałów etnicznych wedle kształtu nosa lub koloru oczu czy wyznawanej religii.

Ryszard Kapuściński w niewielkim tomiku „Ten Inny” (Znak, 2006) powołuje się na Levinasa, który swoją filozofią dokonał przełomu, po doświadczeniach II wojny i Holocaustu, w postrzeganiu Innego. Filozof mówi o zobojętnieniu na Drugiego:

„Zatrzymaj się. Oto obok ciebie jest inny człowiek. Spotkaj się z nim. Spotkanie takie jest największym przeżyciem. Najważniejszym doświadczeniem. Spójrz na twarz tego Innego, którą on ci oferuje. Przez tę twarz przekazuje ci siebie, więcej – przybliża cię do Boga”.

Może warto wprowadzić tę książkę na listę szkolnych lektur obowiązkowych? ●

***Stanisław Żak** – ur. w 1932 r., historyk i teoretyk literatury, emerytowany profesor Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Od 1980 r. działacz „Solidarności”, w III RP senator I i II kadencji (OKP, UD). Więcej: [Wyborcza.pl/magazyn](http://wyborcza.pl/magazyn)

Jarosław Kurski, „Dziady i dybuki. Opowieść dygresyjna”, Agora 2022

NOWY TYGRYS W ŻÓŁTO- -NIEBIESKIE PRAŻKI

Do podziału jest 50 miliardów euro, i to tylko na początek. Polskie firmy są gotowe, a Polska?

Z **JACKIEM PIECHOTĄ***, PREZESEM POLSKO-UKRAIŃSKIEJ IZBY GOSPODARCZEJ, ROZMAWIA **STANISŁAW SKARŻYŃSKI**, KORESPONDENT „WYBORCZEJ” W WIELKIEJ BRYTANII

Ukraina jest dziś na językach świata, ale Polsko-Ukraińska Izba Gospodarcza zajmuje się ukraińską gospodarką od dekad.

– Właśnie obchodzimy trzydziestolecie. W 1992 r. prezesi Krajowej Izby Gospodarczej i Izby Przemysłowo-Handlowej Ukrainy porozumieli się w Kijowie, że warto powołać taką bilateralną organizację, w 1993 Izba została powołana. Ma dwóch prezesów, dwóch przewodniczących rady, wszystkie gremia są skonstruowane w proporcji pół na pół.

Pan opowiada o czasach, w których Ukraina przestawała być częścią Związku Radzieckiego, była w stanie załążkowym, jeśli chodzi o niezawisłą państwowość. Rosjanie wywozili stamtąd arsenał nuklearny, wojska radzieckie wychodziły też z Polski. Polski, która nie wiedziała jeszcze, że za niespełna dekadę będzie państwem członkowskim NATO, a kilka lat później również Unii Europejskiej.

– Polska była pierwszym państwem, które uznało niepodległość Ukrainy. I pierwsi widzieliśmy perspektywę współpracy gospodarczej.

Pan mówi o tym w skali makro, ale przedsiębiorcy doświadczali tego w skali mikroekonomii i przeżywali przez te lata kolejne fale entuzjazmu i rozczarowania. Na początku był entuzjazm wywołany niepodległością i szansami, ale później niestety doświadczenia były złe, bo zmieniały się uregulowania, wiele decyzji zaskakiwało, a korupcja była wszechogarniająca. Kolejną falę entuzjazmu wywołała pomarańczowa rewolucja 2004 roku, polscy przedsiębiorcy znowu byli pierwszymi, którzy od nowa zaczęli z nadzieją, że to się już zmieniło. A potem była szara rzeczywistość.

Wciąż polscy przedsiębiorcy patrzą na nasz udział w odbudowie Ukrainy z bardzo ostrożnym optymizmem.

I tu przewijamy szybko naprzód, do połowy 2023 r. – zaczynamy rozmawiać o odbudowie Ukrainy. Podczas konferencji w Londynie padły deklaracje konkretnych kwot. Będzie kosztować fortunę.

– W Londynie określono trzy filary bieżącego wsparcia. Na odbudowę będzie 50 mld euro z Unii, 3 mld funtów z Wielkiej Brytanii, 1,7 mld dolarów z Banku Światowego. To twarde deklaracje, ale pomysłów na źródła finansowania jest więcej – kluczowe pytania to: na ile zamrożone aktywa rosyjskie w świecie zostaną wykorzystane do sfinansowania odbudowy Ukrainy oraz na ile uda się stworzyć mechanizmy, które będą zachęcały biznes prywatny do inwestowania w Ukrainie. Bo bez partnerstwa publiczno-prywatnego tych międzynarodowych publicznych środków nie wystarczy. Zniszczenia szacuje się na ponad 500 mld dolarów, w tym twardej infrastruktury na ponad 150 mld.

W zasadzie mówimy nie tyle o odbudowie, co o budowie nowej gospodarki, nowej Ukrainy. Ukraina po odzyskaniu niepodległości w latach 90. stała się państwem z monopolami w sektorach ciężkich i z oligarchami wpływającymi na politykę. Jej PKB do wybuchu wojny to był przemysł ciężki, stal, chemia, energetyka, górnictwo, rolnictwo. Niewiele się działo, jeśli chodzi o budowę przedsiębiorczości i klasy średniej, czyli małych i średnich firm. Te procesy przyspieszyły dopiero po 2014 roku, a teraz ukraiński rząd stawia na nowoczesne, zielone technologie, małe i średnie przedsiębiorstwa.

Zwróciłem uwagę na jeden komunikat: koncern tytoniowy Philip Morris ogłosił, że postawi w Ukrainie fabrykę za 30 mln dolarów. Skoro duży, zachodni kapitał się nie boi, to znaczy, że już nikt w zwycięstwo Putina nie wierzy.

– Pamiętajmy, że to inwestycja w zachodniej Ukrainie, w okolicach Lwowa, względnie bezpieczniejszych. Chociaż ostatnie dni i tutaj przyniosły zagrożenie. Wątpię, by administracja prezydenta Bidena udzieliła inwestorom jakichś gwarancji. Skoro mimo to taką decyzję podejmują i ogłaszają, to znaczy, że się nie boją, a chcą być pierwsi. To jest bardzo znaczący sygnał ze strony zachodniego kapitału.

My mamy dobre relacje z prezesem UkraineInvestu Serhijem Tsiwkachem. On mówi, że takich projektów inwestycyjnych przygotowywanych jest znacznie więcej, bo zachodni inwestorzy coraz mniej obawiają się niepewności związanej z ukraińskim rynkiem. Polskiego rządu też to dotyczy, bo



kilka dni temu otwarte zostało – czy też potwórnienie otwarte – w Kijowie Zagraniczne Biuro Handlowe Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu.

Mamy wielkie nadzieje w związku z nowelizacją polskich regulacji w zakresie obejmowania gwarancjami rządowymi ubezpieczeń kredytów eksportowych polskich firm, również i ryzyka inwestycyjnego. Na przykład niezwykle ważne są ubezpieczenia transportowe, bo do tej pory przewoźnik, który ma tiry w leasingu, nie mógł wjechać na stronę ukraińską, bo żadne ubezpieczenie nie obejmowało tego ryzyka. Nowelizację już przyjęła Rada Ministrów, jest szansa, że w lipcu przejdzie przez parlament. To dobry sygnał.

Czyli na Zachodzie zaczyna dominować przekonanie, że wojna się skończy i będzie można robić normalnie interesy w Ukrainie.

– Wszystko na to wskazuje, przynajmniej gdy rozmawiamy o zachodniej Ukrainie.

Do tej pory uprzedmiotowioną częścią Ukrainy był wschód, a rząd ukraiński

ski w związku z wojną wspierał relokację przedsiębiorstw do zachodniej Ukrainy. Można się więc spodziewać, że tu będzie większa liczba partnerów, bo dotychczas zachodnia Ukraina to były w zasadzie mikroprzedsiębiorstwa i małe firmy, wobec czego polscy przedsiębiorcy szukali partnerów na wschodzie i południu. Jeśli to się zmieni, to będzie bliżej, również biznesowo.

Taki nam różowy wyszedł ten obrazek.

– Stajemy, chcąc nie chcąc, przed ogromnym problemem, jakim jest granica. Bo jak realizować obrót gospodarczy w sytuacji wielodniowych kolejek.

Trudno powiedzieć, że jesteśmy skazani na sukces. Wraz z końcem wojny ruszy transport lotniczy, ruszą ukraińskie porty, a my mamy ogromny niedorozwój infrastruktury granicznej. To nie jest wina ani tego rządu, ani poprzednich, ale wypadkowa wieloletniej sytuacji. Ukraina do wybuchu wojny realizowała blisko 90 proc. swoich obrotów drogą morską, więc nie było tak dużego zapotrzebowania na drogę lądową, czyli rozbudowę połączeń kolejowych i samochodowych.

W Ukrainie są polscy inwestorzy, którzy prowadzą tam działalność produkcyjną. Oni sygnalizują nam, że głównym problemem jest ruch graniczny i przejazd przez granicę, bo dziś sprzedają głównie w Unii, innej drogi eksportu nie ma. Proporcjonalnie do długości granicy mamy czterokrotnie mniej przejść, niż mieliśmy z Niemcami przed naszym wejściem do strefy Schengen. A cały ruch, który wcześniej płynął i leciał w świat, próbuje dziś przejechać przez Polskę.

To jest wielkie wyzwanie dziś, a jednocześnie wiemy, że za chwilę sytuacja wróci do stanu poprzedniego i drogi lądowe znowu staną się mniej istotne, jeśli do tego czasu nie zrealizujemy znaczących inwestycji. Dlatego powinniśmy dziś zabiegać w Brukseli bardzo zdecydowanie o unijne środki na rozbudowę infrastruktury granicznej, żeby nie czynić tego wyłącznie z polskich środków krajowych. Wojna pokazała, że również w interesie Ukrainy leży zdywersyfikowanie szlaków transportowych.

Trochę mnie ta pańska opowieść o granicy prowokuje. Bo granice w Europie raczej mają tendencję do zanikania. Siedzę w Wielkiej Brytanii i wiem, że potrafią się też niemądrze pojawiać, ale jednak tendencję mają schyłkową. Jeśli Ukraina wejdzie do Unii i stanie się częścią jednolitego rynku, sytuacja zmieni się diametralnie.

– Co ja mam panu powiedzieć, żeby z jednej strony nie zniechęcać, a z drugiej być wiarygodnym? Powołam się na osobiste doświadczenia, bo byłem tym ministrem gospodarki, który przed wstąpieniem Polski do Unii kończył z Komisją Europejską i państwami członkowskimi negocjacje w trudnym obszarze polityki konkurencji. Z tej perspektywy zawsze powtarzam przyjaciółom z Ukrainy, że w interesie Ukrainy i naszym leży dobre zaplanowanie jej integracji.

Proszę pamiętać, że my potrzebowaliśmy dwadzieścia lat od umowy stowarzyszeniowej, by nastąpiła pełna integracja. Nie dlatego tylko, że Zachód nie chciał nas dopuścić, że tam były jakieś uprzedzenia albo stawianie barier. To nasz polski biznes musiał się do tej integracji przygotować, wdrożyć unijne standardy i uzyskać zdolność konkurowania z zachodnim. Temu też służyły fundusze przedakcesyjne. Musieliśmy postawić na nogi wiele obszarów gospodarki, zrestrukturyzować przemysł ciężki, wzmocnić małe i średnie firmy. Inaczej kapitał zachodni wykupiłby z dnia na dzień wszystko, co najatrakcyjniejsze, a my zostalibyśmy na długi czas pracownikami u zachodnich właścicieli.

FOT. LIBKOS/AP



Ukraina ma 40 proc.
światowych czarnoziemów,
pierwszeństwo w zasobach
ziem rzadkich, klimat.
Jest skazana na sukces.
Albo zareagujemy jak Niemcy
inwestujący w Polskę jeszcze
przed wejściem do Unii,
albo będzie jak z ukraińskim
zbożem

kolei wymieniać branże, w których ukraińskie przedsiębiorstwa będą konkurencyjne.

Dzisiaj mamy sytuację szczególną, ale kiedy skończy się wojna, wrócą bariery celne i warunki związane z dopuszczeniem ukraińskich produktów do rynku unijnego. To już dzisiaj powinno być rozpisywane w bardzo precyzyjnym scenariuszu. A jak wspomniałem, Ukraińcy też muszą mieć czas, żeby przygotować się do konkurencji na unijnym rynku. Choć ich sytuacja jest nieporównywalna z naszą niegdyś, bo lata złych doświadczeń ukraińskich przedsiębiorców we własnym kraju i okres po 2014 roku, kiedy już wiadomo było, że Ukraina wybiera europejski kierunek, sprawiły, że wielu Ukraińców zaczęło inwestować w Europie. Oni rejestrowali działalność, przenosili się z rodzinami, zakładali przedsiębiorstwa. Mammy w Izbie kilka takich przypadków, że są duże przedsiębiorstwa ukraińskie zarządzane z Belgii, Hiszpanii albo Francji, które mają fabryki m.in. w Ukrainie. Te firmy teraz wstępują do Izby, by stąd, z Polski, brać udział w odbudowie.

To zupełnie nowe zjawisko. W Polsce funkcjonuje już ponad 30 tys. podmiotów z kapitałem ukraińskim. Sami ukraińscy przewoźnicy założyli w Polsce pięć tysięcy firm transportowych. To trzeba wszystko uwzględnić, rozpisując integrację Ukrainy z UE.

Byłem niedawno na Lazurówym Wybrzeżu. W Cannes, pod hotelem Carlton, stało przepiękne ferrari na ukraińskich rejestracjach. Nie umiem wyobrazić sobie tam takiego samochodu na polskich numerach, w powiedzmy 2001 r., trzy lata przed naszą akcesją.

– Jeszcze przed 2014 r. koledzy z Izby pojechali zrobić projekt szkoleniowy dla ukraińskich studentów w Mikołajowie. Wró-

cili z zagadką: jakie są trzy stopnie biedy w Ukrainie?

Nie wiem.

– Pierwszy stopień biedy to kiedy jest bieda. Drugi stopień biedy to taka bieda, że nie ma pieniędzy. Trzeci stopień biedy to taka bieda, że nie ma pieniędzy i trzeba wyciągać dolary.

W Ukrainie mieliśmy do czynienia z ogromnym rozwarstwieniem – od bogactw oligarchów, przez urzędników, którzy się wzbogacili nie zawsze przez działalność biznesową, po wielu ludzi znajdujących się w niezwykle ciężkiej sytuacji. Jeszcze przed rewolucją godności szacowano, że nawet 50 proc. ukraińskiego obrotu odbywało się w szarej strefie, przed wojną szarą strefę oceniano na 30 proc. PKB. Gdzieś te środki powędrowały.

Ukraina to ponad 40 milionów ludzi, olbrzymie terytorium, niewiarygodne zasoby. A jeśli Polska znajdzie się w tym miejscu wobec Ukrainy, w którym były Niemcy i Wielka Brytania w 2004 r.

względem Polski? My bardzo lubimy tę rolę w Unii, że to u nas jest względnie tania siła robocza i regulacje środowiskowe dalekie od zachodnich standardów. Jeśli to się kiedyś definitywnie skończy, to właśnie wtedy, gdy Ukraina wejdzie do UE. Mając brexit z tyłu głowy, zastanawiam się, czy w momencie, kiedy staniami się płatnikiem netto do unijnego budżetu, nie powieje wiatr w żagle polskich eurosceptyków?

– Też się tego boję. Tym bardziej że słysząc wypowiedzi naszych polityków o korzyściach i braku korzyści z członkostwa, jestem przerażony ich niekompetencją. Bo w imię doraźnego interesu wyborczego poświęcają znacznie ważniejsze kwestie. Sprowadziliśmy – i wiele ekip rządzących, i gros publicystów – wielowymiarową kwestię oceny korzyści płynących z członkostwa tylko do środków, które otrzymujemy z Brukseli. A przecież te bezpośrednie pieniądze to któraś tam pozycja na liście naszych korzyści z obecności w Unii. My już w okresie przed akcesją byliśmy wielkim beneficjentem inwestycji zagranicznych. I to spoza UE,

był rekordowy napływ inwestorów amerykańskich, japońskich, koreańskich, gdyż oni wiedzieli, że zaraz, produkując w Polsce, będą swoje produkty bez żadnych ograniczeń sprzedawać na wielkim, 450-milionowym unijnym rynku.

Poza tym te rozmowy przed wejściem do Unii pokazały mi, że to w naszym interesie leży, by utrzymane zostały europejskie zasady ochrony konkurencji. Dlaczego? Zasady dopuszczalności pomocy publicznej w Unii działają na naszą korzyść. Bo gdyby państwa zachodnie mogły bez ograniczeń wspierać swoich przedsiębiorców, to my odpadamy! Bo nas nie stać, żeby polskim przedsiębiorcom tyle dołożyć, ile mogą dołożyć Niemcy albo Francuzi. Klarowne zasady konkurencji, niedopuszczalność udzielania pomocy publicznej bez ograniczeń i otwartość rynków – to była ogromna korzyść dla naszych przedsiębiorców, którzy doskonale sobie w tych warunkach poradzili. Z naszych małych i średnich firm wyrosło wiele firm dziś globalnych.

Fundusze unijne odegrały w tym rolę, ale te ukierunkowane na rozwój, wspieranie innowacji, wdrażanie nowych technologii, usprawnienie zarządzania, wzrost czynnika ludzkiego. Rzecz wygląda tak, że my oddajemy składkę, ale jak będziemy mieli dobre projekty, to możemy zyskać znacznie więcej, niż wpłaciliśmy – pod warunkiem że będziemy mieli więcej dobrych projektów niż ci z Zachodu.

Teraz tłumaczmy to Ukraińcom. Nie zapomnę, jak jeszcze przed wojną zorganizowaliśmy spotkanie we Lwowie na temat projektów w obszarze ochrony środowiska, po które mogą sięgnąć ukraińscy przedsiębiorcy. To nie było teoretyzowanie, mogli naprawdę, bo to pogranicze, zlewnia rzeki Bug, wspólna atmosfera i tak dalej. A główne pytanie strony ukraińskiej: „A ile pan minister przywiózł pieniędzy?”. To tłumaczę: „Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska to są miliardy złotych”. „No dobrze, a ile dla nas?”. „No tyle, ile dobrych projektów wygenerujecie”. „No tak, projekty, dobrze, ale ile?”.

To było zderzenie dwóch mentalności. Ale to nie jest mentalność tylko ukraińska, bo do dziś wielu polskich polityków nie rozumie, co to znaczy sięganie do środków unijnych. Że nie możemy tych środków roztrwonić na kolejną kampanię wyborczą, tylko musimy napisać dobre, rozwojowe projekty, żeby dostać to, co włożyliśmy, z nawiązką.

Więc jeszcze raz, odpowiadając na pana pytanie: dopóki politycy wszystko wprowadzają do tych bezpośrednich transferów, które chcieliby wydać na doraźne polityczne potrzeby, to tak – boję się ofensywy eurosceptyków po wejściu Ukrainy do Unii, kiedy okaże się, że znikną te najprostsze do pozyskania środki na nadrabianie różnic rozwojowych dla krajów uboższych.

Musimy wciąż przypominać, że integracja jest korzystna również dla płatników łączących na nowego członka. Nasze wejście do Unii było możliwe również dlatego, że zachodnie instytucje analityczne oceniły, że na rozszerzeniu Niemcy, Austria, czyli kraje przygraniczne, skorzystają ok. 1 proc. PKB, Francja – 0,6 proc., a Hiszpania – 0,4.

I tak może polska gospodarka rosnąć na integracji Ukrainy?

– Nikt nie odbierze Ukrainie 40 proc. światowych zasobów czarnoziemów. Nikt nie odbierze Ukrainie pierwszeństwa w zasobach ziem rzadkich, w minerałach. Nikt jej nie odbierze klimatu. Nikt nie odbierze Ukrainie utalentowanych programistów. Ukraina jest skazana na sukces. I teraz albo my będziemy uczestnikami tego sukcesu, tak jak świetnie robili to Niemcy, inwestując w Polsce jeszcze przed integracją, albo będzie tak jak ze zbożem.

Bo co to znaczy, że wywalczyliśmy ochronę naszych rolników i cieszymy się, że ukraińskie zboże tylko jedzie tranzytem przez Polskę na Zachód? Ceny zboża nie spadły w Polsce dlatego, że pojawiło się ukraińskie, ale dlatego, że spadły na świe-

cie, gdyż mieliśmy do czynienia z ogromnym urodzajem w Ameryce Południowej i innych miejscach świata. To giełda w Paryżu dyktuje ceny zbóż. My dzielnie w trybie natychmiastowym zamknęliśmy granicę, wymusiliśmy tranzyt i przesyłamy tańsze ukraińskie zboże Niemcom, którzy z niego produkują mąkę i mają tańsze pasze. A kto najbardziej skorzystał na ukraińskim zbożu? Turcja. Turcy nagle wyrosli na drugą w Europie potęgę w produkcji makaronu, po Włoszech. Gospodarka to są naczynia połączone.

A jak wygląda nasz sukces? Kiedyś wiceprezes naszej Izby wygrał grant na wspieranie ukraińskich plantatorów malin. Projekt był świetny – sprzedaż polskich sadzonek, szkolenie ukraińskich plantatorów, budowanie partnerstw, inwestowanie, wszystko za pieniądze z pomocy rozwojowej. Ale na Wołyniu, więc zaczęło się larum, protesty polskich plantatorów splotły się z protestami Kresowiaków, MSZ się wycofał. Weszli Niemcy i korzystają.

My już trzeciego dnia po wybuchu wojny apelowaliśmy do premiera o powołanie pełnomocnika rządu do całości spraw związanych z kryzysem ukraińskim, który by

co niemiara, słowo „offset” wryło mi się w pamięć, jak widać na dwadzieścia lat. Mielśmy zyskać know-how, inwestycje amerykańskie, technologie. I co z tego wyszło?

– Prowadziłem negocjacje offsetowe i powiem panu, że problem polegał na niesamowicie rozbudzonych oczekiwaniach. Tłumaczyłem i prezydentowi Kwaśniewskiemu, i premierowi Millerowi, że nikt i nigdzie na offsecie nie zbudował swojej gospodarki. Posługiwano się wówczas przykładem fińskiej Nokii, która jakoby na offsecie zbudowała swoją potęgę. A ja z Nokii otrzymałem szczegółowe wyliczenia, ile dostała z tytułu projektu offsetowego, a ile w tym samym czasie wyłożyła sama na badania i rozwój.

Ale jak politycy – moi koledzy wtedy – zaczynają budować na czymś wrażenie sukcesu, to potem nie da się spełnić oczekiwań. Partnerzy z Lockheeda Martina, z którymi negocjowaliśmy, łapali się za głowę i tłumaczyli prosty rachunek: „Tyle kosztują samoloty. Tyle z tego mamy marży, naszego zarobku. Z tej marży tyle jesteśmy w stanie przeznaczyć na wspieranie projektów offsetowych”. Znam te kwoty.

Oczekiwania Ukrainy w pierwszej kolejności: wykonawstwo inwestycji, gospodarka komunalna, termomodernizacja, efektywność energetyczna, energetyka rozproszona

w jednym miejscu zbierał wszystko. Bo żeby rozwiązywać takie kwestie jak ta ze zbożem ukraińskim, to trzeba ścisłej współpracy resortów: od granic, od infrastruktury, od współpracy gospodarczej, od rolnictwa. Pełnomocnika powołano dopiero po dłuższym czasie – a i tak było to nieporozumienie, bo powołano go na poziomie resortu, konkretnie rolnictwa. Biedny pełnomocnik ministra rolnictwa Rafał Mładanowicz objechał wszystkie przejścia graniczne, porty, miejsca potencjalnego zwiększania mocy magazynowych – ale odbijał się od ścian. Bo nie był władny uzgadniać wszystkiego sam albo z partnerami z innych instytucji, tylko z problemem musiał zgłaszać się do swojego szefa, ministra rolnictwa, i dopiero tamten przekazywał je kolegom ministrom albo i nie.

Dopiero po wielu miesiącach, w połowie maja tego roku, powołano, i to już było światelko w tunelu, pełnomocnika rządu ds. polsko-ukraińskiej współpracy rozwojowej. Minister Jadwiga Emilewicz, trzeba jej to oddać, przystąpiła do pracy z ogromną energią, dobrze przygotowana. Nareszcie powstał zespół międzyresortowy, przyspieszono prace nad ustawą o nowelizacji korporacji ubezpieczeń kredytów eksportowych, rozpoczęto prace nad tworzeniem funduszu inwestycyjnego wspierającego polskie firmy. To się stało w ciągu miesiąca, a mogło się stać już dawno.

Z pańskiej opowieści wynika, że Polska może ciężką pracą doprowadzić do tego, że wyjdzie na tym jak Zablocki na mydle. – Jest jeszcze czas, choć coraz mniej. Jest nareszcie dobry zespół i koordynacja. Możemy odnieść sukces, bo jesteśmy na światnej pozycji wyjściowej.

Przypomniał mi się offset przy wyborze myśliwca F-16. Gadanias było przy tym

A największy problem mieliśmy podobny jak ze środkami unijnymi – z przedstawieniem stronie amerykańskiej dobrych projektów inwestycyjnych, które same w sobie byłyby korzystne, tak aby oni mogli z tych środków na offset dołożyć jakiegoś inwestorowi, aby wybrał Polskę, a nie Czechy, Słowację albo jakieś inne miejsce na świecie.

Te oczekiwania były nie do spełnienia, ale i tak zrealizowaliśmy offset tak skutecznie, że Amerykanie mnie zapraszali na konferencje na Florydzie, żeby przedstawić ich największy w świecie offset. Tak oceniał to Lockheed Martin, który przecież działał w różnych zakątkach świata i miał porównanie. Życzę obecnie rządzącym, by rozbuchane oczekiwania nie przerastały rzeczywistych możliwości.

Wśród prawicowych strachów jest taki, że Ukraina dostanie teraz mnóstwo pieniędzy, zbuduje za nie nowoczesną gospodarkę i wejdzie do Unii na uprzywilejowanej pozycji.

– Absurd, bo to nie są pieniądze, za które Ukraina mogłaby zbudować gospodarkę, która nam zagrozi. Potrzeby w zakresie samej odbudowy zniszczeń – dróg, mostów, kolei, budynków, mieszkań – są przeogromne i idą w setki miliardów dolarów.

A ile na podstawie tej odbudowanej i tworzonej od podstaw infrastruktury powstanie konkurencyjnych firm, to jest pytanie z wieloma znakami zapytania.

Intuicja podpowiada, że odbudowa Ukrainy to będzie dla polskich firm duża szansa.

– Tak, bo Zachód ma duże środki, ale tamtejsi przedsiębiorcy nie mają dużego doświadczenia w inwestowaniu w Ukrainie. Nawet jeśli coś tam robili, to sięgali do polskich menedżerów, współpracowali z pol-

skimi firmami. Więc możemy być tymi, którzy najskuteczniej wprowadzają zachodnie firmy na ukraiński rynek. Przywołany przez pana Philip Morris to moim zdaniem efekt działania polskich menedżerów, którzy byli w stanie przekonać kolegów i przełożonych w Stanach do tej inwestycji.

Zalóżmy, że czyta nas teraz jakiś polski przedsiębiorca. Może pomyśleć sobie: wygląda to tak, że jeśli Philip Morris się tam wybiera, by wydać 30 mln dolarów na fabrykę papierosów, to czas ruszać do Ukrainy, szukać partnerów, budować partnerstwa. Powiedziałby pan, że to już teraz.

– Poczekalbym jeszcze chwilę. Na wejście regulacji dotyczących gwarancji rządowych, również od ryzyka inwestycyjnego, i na stworzenie przez rząd funduszu inwestycyjnego. W Ukrainie to ważne, żeby współinwestującym z prywatnym przedsiębiorcą był fundusz państwowy, bo to daje ubezpieczenie od ryzyk korupcyjnych.

Ważne jest też mądre wejście. Warto sięgać do doświadczeń innych. Jest możliwość współpracy z UkrainelInvestem, powiem też nieskromnie, że warto współpracować z naszą Izbą. Wielokrotnie było tak, że przedsiębiorcy wydawało się, że Ukraina jest tak bliska nam kulturowo, tak bliska językowo i przyjazna, że świetnie sobie tam poradzi. Do nas przychodził, jak już wpadł w tarapaty – a to trafił na nieuczciwego partnera, a to na skostniały urząd... Tego można uniknąć.

W Izbie w każdym tygodniu przyjmujemy kilka nowych firm członkowskich, polskich i ukraińskich podmiotów już jest ponad czterysta. A na liście PAIH – Polska Agencja Inwestycji i Handlu ogłosiła zapisy dla firm zainteresowanych udziałem w odbudowie Ukrainy – są ponad dwa tysiące przedsiębiorstw. Duża część to firmy budowlane, które liczą, że będą wykonawcami i podwykonawcami.

Wicepremier Oleksandr Kubrakov, z którym niedawno miała spotkanie w Warszawie minister Emilewicz, opisał, jakie są oczekiwania Ukrainy w pierwszej kolejności – to wsparcie w wykonawstwie inwestycji, w gospodarce komunalnej, bo tu polskie samorządy mają ogromne doświadczenie. Potem termomodernizacja, efektywność energetyczna, a w czwartej kolejności energetyka rozproszona, bo Ukraina już wie, że rozproszone i odnawialne źródła energii są najlepsze z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa, bo jednym uderzeniem nie da się rozwalić całego systemu. A to wszystko jest niezbędne z naszymi możliwościami i potencjałem polskich firm. ●



FOT. PATRYK OGORZALEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jacek Piechota

• prezes Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej. W latach 1985-2007 poseł, minister gospodarki w rządzie Leszka Millera w latach 2001-03, minister gospodarki i pracy w drugim rządzie Marka Belki w 2005

Uprzejmy biurokrata, najlepszy żołnierz Zachodu

Putin, skupiony na dywizjach, szpiegach i internetowych trollach,
nie docenił szarych urzędników z NATO, UE i Waszyngtonu



Ann Applebaum

Sojusz Północnoatlantycki niedawno ogłosił, że Jens Stoltenberg, przez ostatnie dziewięć lat sekretarz generalny, pozostanie na stanowisku na dziesiąty rok. Kilka dni temu – po tym, jak ten ruch NATO przewidział „The Times of London”, „Financial Times”, „Politico” i niezliczone newslettery przemysłu obronnego – spotkałam się ze Stoltenbergiem w jego czystym, funkcjonalnym, pozbawionym jakichkolwiek cech biurze (białe ściany, szary dywan) w lśniącej brukselskiej kwaterze głównej Paktu. Zapytałam go, czy zostaje.

„Mam jeden plan: wrócić do Norwegii” – odpowiedział bez mrugnięcia. Spojrzałam z niedowierzaniem. Tak, przyznał Stoltenberg, są „pewne prośby, abym został”. Poza tym odmówił komentarza. A hipotetycznie? Nie powie.

Trudno o lepszą demonstrację cech, dzięki którym Stoltenberg jest tak popularny. NATO to sojusz obronny reprezentujący szeroką gamę krajów i regionów – Europę Wschodnią i Południową, Skandynawię i Turcję, Wielką Brytanię i Francję. Wszelkie decyzje wymagają konsensusu. Aby osiągnąć ten konsensus, sekretarz generalny nie musi osobiście toczyć bitew ani wygrywać wojen. To jest zadanie naczelnego dowódcy, którym zawsze jest Amerykanin, a także 31 głów państw NATO i ich 31 armii. Sekretarz generalny, który zawsze jest Europejczykiem, dobrze wykonuje swoją pracę wtedy, gdy rozmawia ze wszystkimi, znajduje wspólny język, negocjuje kompromisy, nie dopuszcza do przecieków i nigdy nie stawia siebie w centrum medialnej relacji.

W ostatnich latach osoby takie jak Stoltenberg – nazwijmy go Człowiekiem Wielostronnym – miały złą reputację. Wrogowie UE, NATO i innych organizacji z kilkukiliterowym skrótem i siedzibami w Waszyngtonie, Genewie i Brukseli zaczęli nazywać ich pracowników „niewybranymi biurokratami”. Człowiek Wielostronny, przekonujący, jest leniwy, rozrzutny i bezzilny. W epoce, która ceni sobie „suwerenność”, „interes narodowy” oraz chwali osiągnięcia przeciwników multilateralizmu (zwykle nazywanych „silnymi ludźmi”), krytycy dyskredytują Człowieka Wielostronnego jako pasożyta lub osobnika bezużytecznego. Czasami w tej krytyce jest trochę racji.

Ale Stoltenberg jest tam, gdzie jest, właśnie dlatego, że wierzy w multilateralne czy jak kto woli, wielostronne organizacje, zwłaszcza NATO. Co więcej, uważa, że nie tylko funkcjonują one lepiej niż kierowane przez dyktatorów autokracje, ale też multiplikują siłę ich członków. Z pasją przekonywał do tego krytyków NATO, w tym Trumpa, którego ostatecznie zjednał, przedstawiając mu wykresy pokazujące wzrost wydatków militarnych państw sojuszników. („Uwielbiam wykresy”, powiedział mi Stoltenberg).

Sekretarz uważa również, że niekończące się rundy negocjacji są warte zachodu, ponieważ ich efektem jest silniejsze zaangażowanie wszystkich stron. Tych, którzy twierdzą, że NATO

jest przez to mniej skuteczne, pyta: „Mniej skuteczne od czego? W porównaniu z czym?”. To prawda: bez NATO „nie ma powolnego procesu decyzyjnego”. Ale to dlatego, że gdyby nie było NATO, nie byłoby w ogóle żadnego procesu decyzyjnego. „Wierzę w zbiorową obronę; wierzę w »jeden za wszystkich, wszyscy za jednego«, w to, że atak na jednego sojusznika wywoła reakcję pozostałych”. A to, jak mówi, jest „dobre nie tylko dla małych narodów, dla dużych też”. Każdy potrzebuje przyjaciół, nawet Amerykanie.

Co więcej, Stoltenberg wcale nie jest niewybranym biurokratą – był już czterokrotnie „wybrany” przez głowy państw NATO. Spędził także wiele lat jako wybrany przez elektorat polityk. Jako premier Norwegii (2000-01 i 2005-13) kierował rządami koalicyjnymi, więc ma praktykę w wykuwaniu kompromisów. Jako syn innego norweskiego polityka (jego ojciec był ministrem obrony i spraw zagranicznych), dorastając, poznał wielu światowych przywódców – jadąc śniadanie z Mandelą – i nauczył się cenić kontakty osobiste. Kiedyś powiedział w radiu, że dopiero wiele lat później zdał sobie sprawę, że szefowie MSZ zazwyczaj nie zapraszają zagranicznych przywódców do swojej kuchni.

Dziś śniadanie nie zawsze jest praktyczne z punktu widzenia logistyki, więc, według otaczających go osób, Stoltenberg nadrabia brak wspólnych porannych posilków lawiną SMS-ów i częstymi wizytami w stolicach państw NATO. W zeszłym miesiącu wziął udział w inauguracji starego nowego prezydenta Turcji Recepta Tayyipa Erdogana, spędził trochę czasu w Stambule, wziął ze sobą żonę i jeszcze zmieścił kilka rozmów na temat akcesji Szwecji do Sojuszu. W poprzedni weekend pojawił się na ćwiczeniach NATO na Litwie. W ciągu 48 godzin przed naszą rozmową spotkał się z premierami Danii i Bulgarii, z prezydentem Francji, a tego samego ranka uczestniczył w posiedzeniu Rady Europejskiej, w którym biorą udział głowy wszystkich państw Unii. Jeśli był zmęczony tą niekończącą się karuzelą, nie podzielił się tym.

Ale w tym momencie najważniejszymi kwalifikacjami Stoltenberga są świadomość stwarzanych przez Rosję zagrożeń i sympatia do Ukrainy.

Ukraińcy domagają się pełnego członkostwa w NATO, co nie jest niczym nowym: temat był po raz pierwszy poważnie omawiany na szczycie NATO w 2008 r. Podjęta decyzja – odmowa ustanowienia ścieżki akcesji połączona z sugestią, że może być przyznana w przyszłości – była najgorsza z możliwych, ponieważ pozostawiła Kijów w szarej strefie: z aspiracjami, ale bez zachodnich gwarancji bezpieczeństwa. Świat się od tego czasu zmienił i o wiele więcej państw jest dziś otwartych na członkostwo Ukrainy. Rząd USA co prawda ma opory z przyjęciem państwa, na którego terenie trwa wojna, bo się obawia, że amerykańscy żołnierze zostaną wciągnięci w konflikt, ale administracja Bidena może uznać to za właściwe rozwiązanie.

Na razie NATO przedstawia Kijowi propozycje długoterminowej wojskowej integracji. Ukraina przestawi się na zachodnie systemy uzbrojenia i rozpocznie współpracę instytucjonalną, przede wszystkim w nowej radzie NATO–Ukraina. Poza brukselską barikadą nie brzmi to jak przełom, ale dla ludzi wewnątrz znaczy wiele.

Rozważane są też plany przyspieszenia procesu akcesji – Ukraina, podobnie jak Finlandia i Szwecja, może zostać dopuszczona bez obszernego „planu działań na rzecz członkostwa”. Niektóre kraje mogą też zaoferować gwarancje dwustronne.

Oczywiście Stoltenberg nie powiedział mi, które państwa zajmują jakie stanowiska. „Moim głównym zadaniem nie jest udzielanie interesujących odpowiedzi, ale zapewnienie postępów w sprawie członkostwa Ukrainy”. Julianne Smith, ambasadorka USA przy NATO, powiedziała mi, że Stoltenberg podczas negocjacji nie szukał „najmniejszego wspólnego mianownika”, ale raczej starał się wykuć jak najlepsze porozumienie dla Ukrainy.

Ponieważ Putin uważa, że czas jest po jego stronie, jednym z głównych zadań NATO jest przekonanie go, że wcale nie, że zachodni sojusz będzie dalej wspierał Ukrainę i to wsparcie nie ma daty ważności. Przymiotnik „długoterminowe” pojawia się w wielu transatlantyckich rozmowach na temat Ukrainy. Podobnie jak słowo „trwale”. Trwałość Stoltenberga jest również częścią tego przesłania.

Ale dlaczego były lider Norweskiej Partii Pracy (i za młodu działacz antywojenny) miałby być tak oddany temu zadaniu? Niedawno widziałam, jak Stoltenberg we wzruszeniem mówił podczas prywatnego spotkania o Ukrainie. O to też go zapytałam. Odpowiedział, że jego podejście wynika z osobistych doświadczeń. Podczas zimnej wojny odwiedził Europę Wschodnią i dostrzegł ogromne różnice między jej mieszkańcami a obywatelami państw Zachodu. „Myślałem, że to zupełnie inni ludzie. Mieli inne ubrania, wszystko pachniało inaczej... i było naprawdę ciemno, i wszystko wydawało się tak odległe. Ale teraz jeżdżę do Rygi lub do Tallina – byłem właśnie w Wilnie – i są to miasta bardziej modne, nowocześniejsze niż skandynawskie”. Ludzie wcale nie byli inni: „To był efekt polityki, reżimów, w których żyli, i wstyd mi, że nie rozumiałem tego wcześniej. I do pewnego stopnia popełniłem ten sam błąd odnośnie do Ukrainy”.

Dla Stoltenberga obecna wojna przywołuje jeszcze starsze wspomnienia. Pokazał mi wiszącą na ścianie jego biura fotografię (czarno-białą, zgodnie z surową estetyką pomieszczenia) swojego stułetniego wtedy dziadka, byłego kapitana norweskiej armii, który znalazł się w niemieckiej niewoli. Zarówno jego rodzice, jak i dziadkowie podczas spacerów po Oslo wskazywali: „tam był wybuch, tu akt sabotażu, w tym mieszkaniu ukrywał się ruch oporu” – a on zna tę trasę i te opowieści tak dobrze, że może ją pokazać własnym dzieciom.

Ukraińcy, powiedział, „tak samo jak my wtedy walczyliśmy z nazizmem”.

Te wnioski – że Ukraińcy nie różnią się tak bardzo od mieszkańców Zachodu i że toczą wojnę znaną z rodzinnej historii – przyszły do głowy nie tylko Stoltenbergowi. Całkiem sporo przywódców, a także zwykłych Europejczyków, przebyło tę samą drogę. Dlatego właśnie liderzy państw NATO wydają się tak pewni swojego „długoterminowego” i „trwałego” zaangażowania. Już w 2016 r. Sojusz zgodził się na utworzenie grup bojowych: w Polsce dowodziłi Amerykanie, na Litwie Niemcy, w Estonii Brytyjczycy, a na Łotwie Kanadyjczycy. Do 24 lutego 2022 „NATO było przygotowane. Wszyscy zwiększyliśmy gotowość bojową, wydatki na obronę, rozmieściliśmy siły na wschodniej granicy i uzgodniliśmy nowe plany obronne, które aktywowaliśmy tego ranka”.

Nie wszyscy potraktowali tę zmianę poważnie. W 2019 r. Macron powiedział, że NATO cierpi na „śmierć mózgową”. Lekceważenie Sojuszu przez rosyjskiego prezydenta miało znacznie poważniejsze konsekwencje. Putin co prawda twierdził, że zagraża mu obecność NATO na zachodniej granicy Rosji, ale gdyby naprawdę obawiał się agresji NATO, z pewnością nie rozpoczynałby inwazji.

Ale chociaż historycy niewątpliwie będą spierać się, czy NATO mogło zrobić więcej, aby odstraszyć Rosję, już teraz jest jasne, że Sojusz zrobił znacznie więcej, niż się Putin spodziewał, gdy wojna już się zaczęła. Rosyjski prezydent nie docenił nie tylko Ukrainy: nie docenił także Ludzi Wielostronnych – urzędników, którzy, podobnie jak Stoltenberg i jego odpowiednicy w UE, pomogli Białemu Domowi w przygotowaniu wojskowej, politycznej i dyplomatycznej odpowiedzi. Uwierzył we własną propagandę, tę samą, której używa transatlantycka skrajna prawica: demokracje są słabe, autokracje są silne, a ludzie używający grzecznego, dyplomatycznego języka nie będą się bronić.

„Demokracje okazały się znacznie bardziej odporne, niż sądzą nasi przeciwnicy”, powiedział mi Stoltenberg. A autokracje są bardziej kruche: „Jak niedawno zobaczyliśmy, systemy autorytarne mogą po prostu nagle się załamać”.

Oto prognoza: przez następny rok Stoltenberg nie będzie wygłaszał charyzmatycznych przemówień na temat. Nie dołączy do medialnych sporów, nawet nie pojawi się w telewizji, chyba że naprawdę będzie musiał.

Będzie natomiast mówił o „wieloletnim programie przechodzenia Ukrainy od sowieckich standardów i doktryn sprzętowych do standardów i doktryn NATO”, będzie nadal spotykał się z premierami i ministrami spraw zagranicznych, będzie nadal pracował nad integracją Ukrainy z Europą.

A potem, pewnego dnia, ta integracja stanie się faktem. ●

Przełożyła Katarzyna Wężyk
© 2023 The Atlantic Media Co., as first published in The Atlantic All rights reserved.
Distributed by Tribune Content Agency

JAK CZEBURASZKA ZASŁONIŁA WOJNĘ



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Decydenci mają to, o czym marzyli całe życie: tylko rosyjskie kino, żadnego Hollywood. I żadnej sprzedaży

Wiktorija Bieliaszyn

L niezliczonej liczby rozmów, które odbyłam od początku wojny z zaprzyjaźnionymi rosyjskimi twórcami, w pamięć najbardziej zapadły mi słowa młodej poetki z Moskwy (jej nazwiska, dla bezpieczeństwa, nie wymienię). „Chciałabym, żeby jak najwięcej osób przeczytało prace Hannah Arendt, Susan Sontag, Ernsta Jüngera, Nikołaja Bierdiajewa, Michela Foucaulta, Lwa Tolstoja... tę listę można ciągnąć w nieskończoność. Chciałabym, żebyśmy te teksty czytali w szkole, żeby od dziecka uczono nas badać, zgłębiać, szukać prawdy, wybierać, a nie – podporządkowywać się. Teraz bardzo by nam się te umiejętności przydały”, mówiła Lara.

Rosjanie nie pospieszili masowo, przynajmniej na razie, do księgarni i bibliotek, by szukać wyjaśnienia i wskazówek u pisarzy i filozofów znających mechanizmy państw autorytarnych, totalitarnych i mentalność społeczeństw w nich funkcjonują-

cych. Ale wielu z nich rzeczywiście zaczęło szukać wsparcia, a czasem także odpowiedzi na najtrudniejsze pytania w książkach. Przełożyło się to na gwałtowny wzrost ich sprzedaży: duże wydawnictwa oraz księgarnie internetowe zarejestrowały w 2022 r. skok o mniej więcej 20-30 proc.

GEORGE ORWELL ŚCIGA SIĘ W ROSJI Z JANE AUSTEN

„Na początku marca 2022 Rosjanie byli bardziej skoncentrowani na wiadomościach, ale już w drugim tygodniu powrócili do książek. Wyraźnie wybierali takie, które miały im przywrócić równowagę psychiczną i pomóc zrozumieć rzeczywistość” – mówił w portalu Wiedomosti Siergiej Anurjew, dyrektor Litres, największego dystrybutora e-booków i audiobooków w Rosji.

Potwierdzają to rankingi najchętniej kupowanych w Rosji tytułów – w ciągu pierwszych sześciu miesięcy rosyjskiej inwazji

na Ukrainę bestsellerem była książka białoruskiej psycholożki Olgi Primaczenko „Ze sobą czule. Jak troszczyć się o siebie”. Ale na drugim miejscu uplasowała się dystopia George’a Orwella „Rok 1984” – niezmienne od kilku lat na szczycie rosyjskich rankingów czytelniczych. Podium zamknął „Wybór. Przetrwać niewyobrażalne i żyć”, amerykańskiej psychoterapeutki Edith Eger, która dzieli się w niej osobistą historią z Auschwitz w 1944 r.

Anna Karpowa, dyrektorka ds. rozwoju biznesu księgarni internetowej Ozon, zwracała wtedy uwagę, że mimo niedającej się nie zauważyć obecności Orwella i Eger na liście „ludzie czytają literaturę, która »daje pozytywny impuls i nadzieję«, o czym świadczyć miało m.in. duże zainteresowanie fantastyką, romansami, kryminałami oraz »literaturą sentymentalną». Jane Austen oraz Agatha Christie zniknęły z magazynów.

Sytuacja zmieniła się we wrześniu. Dziennikarze niezależnych mediów zauwa-

żyli, że po 21 września, czyli tuż po ogłoszeniu przez Władimira Putina tzw. częściowej, a w gruncie rzeczy pełnowymiarowej mobilizacji, rosyjscy wydawcy odnotowali wzrost popytu na książki o II wojnie światowej i nazistowskich Niemczech, a jednym z najpopularniejszych zagranicznych pisarzy stał się Erich Maria Remarque. Jesienią i zimą najczęściej wybieraną przez Rosjan książką było dzieło Nicholasa Stargardta „Zmobilizowany naród. Niemcy 1939-1945”, studium postrzegania II wojny światowej przez Niemców, sporządzone na podstawie pamiętników i osobistej korespondencji obywateli III Rzeszy. Bestsellerami były też: „Wspomnienia niewygodnego świadka” Pawła Sudopłatowa, określone mianem „epokowej książki o historii komunizmu”, oraz „Soldat. Frontowa prawda w opowieści szeregowego żołnierza Armii Czerwonej” Nikołaja Nikulina, wyjątkowo sugestywnie opisującego brutalność walk, zbrodnie wojenne oraz zaniedbania sowieckiego dowództwa, które doprowa-

dzily do gigantycznych strat w szeregach Armii Czerwonej.

Wybitna rosyjska krytyczka literacka Galina Józefowicz tłumaczyła, że Rosjanie „próbują znaleźć wyjaśnienie tego, co się dzieje, ale ponieważ nie znajdują odpowiedzi w mediach, zwracają się do książek”. „Literatura, która dokumentowałaby aktualne wydarzenia, nie została jeszcze napisana i [w Rosji] nie zostanie napisana przez długi czas. Dlatego intuicyjnie ludzie szukają epok historycznych, których doświadczenia wydają się korelować z obecnymi”, mówiła.

Zaobserwowałam to wśród moich bliskich z Rosji. Pod koniec roku książką, którą niemalże każdego dnia recenzował ktoś z moich znajomych na Facebooku lub Instagramie, była „Miłość w epoce nienawiści. Kronika jednego uczucia 1929-1939” Floriana Illiesa. Moi rosyjscy przyjaciele wyjątkowo często cytowali ten jej fragment: „9.10, w dniu swoich urodzin, zapisuję w dzienniku życzenia: »Nie walczyć każdego poranka i wieczora z napływającymi do oczu łzami, zobaczyć koniec tyranii i jej krwawą śmierć. Żeby nie bolało w boku, nie było myśli o śmierci. Wątpię, że spełni się choć jedno z tych życzeń«”.

Z FRONTU W KĄT

Ale oczywiście nie w każdym rosyjskim domu się czyta, tak jak nie w każdym potępia się lub popiera wojnę. Posłuchajmy Jeleny Milasowej i Kateriny Silwanowej. Autorki „Lata w pionierskim krawacie”, jednej z najpopularniejszych rosyjskich powieści dla młodzieży ostatnich lat, zostały zapytane przez dziennikarza niezależnego portalu Holod.media o „książkę, którą same najchętniej by przeczytały”. Milasowa przyznała, że „chciałaby przeczytać o tym, co czuli ludzie, którzy byli w takiej samej sytuacji jak my teraz, ale w przeszłości. Silwanowa stanowczo oznajmiła: „Mówiłam już wcześniej, że nie potrafię teraz czytać o wojnie. Widzę ją w wiadomościach. Nie chcę jeszcze o niej czytać”.

To dotyczy wielu Rosjan. Przy czym ci, którzy nie chcą o wojnie czytać i słuchać, nie zawsze są zmęczeni codziennym zalewem wiadomości z frontu. Znaczna część pozostających w kraju Rosjan usiłuje ze wszystkich sił wojnę ignorować i nie chce o niej niczego wiedzieć ani się nad nią zastanawiać. Nie słuchają i nie czytają rosyjskich twórców, którzy się do niej odnoszą.

Zresztą byłoby to trudne – władze, wprowadzając wojenną cenzurę, nie tylko zmusiły niepokornych ludzi kultury do emigracji, ale też wymazały ich, przynajmniej częściowo, z przestrzeni publicznej. W rosyjskich księgarniach coraz trudniej dostać książki Dmitrija Głuchowskiego, Ludmiły Ulickiej, Władimira Sorokina, Borisa Akunina, Siergieja Miedwiediewa, Kiry Jarmysz czy Michaila Zygara, choć wcześniej zajmowały najlepiej wyeksponowane półki w największych księgarniach. A jeśli komuś jednak się uda, to znajdzie je najprawdopodobniej upchnięte na najniższej półce najbardziej odległego regału. W dodatku opakowane w szary papier. W przypadku niektórych także ze stosowną adnotacją: „Treść przeznaczona jedynie dla osób dorosłych, powstała przy udziale agenta zagranicy” – przy zakupie trzeba okazać dokument tożsamości.

Podobnie, a może i jeszcze gorzej jest w bibliotekach. Niezależna redakcja The Village relacjonowała, jak moskiewskie czytelnie odmawiają wypożyczenia książek autorów, którzy „krytykują specjalną operację wojenną”. „Głos w słuchawce wstydliwie dyktuje nam listę nazwisk pisarzy, którzy wypadli z łask: Boris Akunin, Dmitrij Bykow, Dmitrij Głuchowski, Michail Zygar, Władimir Kara-Murza, Andriej Makarewicz, Aleksander Niewzorow, Jewgienij Ponasienkow, Leonid Parfionow, Ludmiła Ulicka, Jekaterina Szulman, Wiktor Szenderowicz”, opisywali dziennikarze. „Teraz czytelnicy słyszą, że książki tych pisarzy i dziennikarzy nie są dostępne. Nasz informator przekazał nam, że de-

cyzja ta została podjęta przez kierownictwo biblioteki w oczekiwaniu na zbliżającą się kontrolę prokuratury. Książki zostały schowane”.

Ci, którzy wypowiedzieli się przeciwko wojnie, nie występują w Rosji, bo grozi im, w najlepszym razie, sprawa administracyjna, w najgorszym – karna. Przekonał się o tym Jurij Szewczuk, lider zespołu rockowego DDT – za płomienną antywojenną przemowę podczas jednego z koncertów, w której stwierdził, że „ojczyzna nie jest dupą prezydenta, którą trzeba cały czas całować”, został ukarany grzywną wysokości 50 tysięcy rubli za „dyskredytację armii”.

Jawnie antywojenni artyści są skazywani na zapomnienie. W klubach, centrach handlowych, kawiarniach, na szkolnych zabawach i potańcówkach próżno spodziewać się piosenek Zemfiry, Monietoczki, Face’a, Oxxxymirona, Ally Pugaczowej i wielu innych. Producenci muzyczni i dziennikarze wielokrotnie informowali o istnieniu „nieoficjalnych czarnych list”. Jedną z ostatnich ujawnił w maju krytyk muzyczny Oleg Karmunin. Zwrócił przy tym uwagę, że pracownicy niektórych rosyjskich domów kultury otrzymali wytyczne, obejmujące nie tylko rodzimych artystów, ale i zagranicznych. „Piosenki The Beatles, bo sir Paul McCartney popiera Ukrainę. Michael Jackson – okej, bo zasadniczo nie żyje”, cytował. Sama lista nikogo nie zdziwiła, bo do jej stworzenia od dawna nawoływali przedstawiciele rosyjskich władz, m.in. deputowany Dumy państwowej Siergiej Czyżow.

Dziela antywojennych reżyserów i dramaturgów albo całkowicie znikają z rosyjskich repertuarów, o czym przekonał się m.in. Iwan Wyrypajew, albo nazwiska ich twórców zostają pominięte. Dotknęło to m.in. Kirilla Sieriebriennikowa, jednego z najbardziej znanych współczesnych rosyjskich reżyserów. W opisie sztuk, nad którymi pracował, jego imię i nazwisko zastąpiono rzeczownikiem „reżyser”.

„CZEBURASZKA” I ŻADNEGO HOLLYWOODU

Niektórym to na rękę. Próby niewpuszczenia wojny do codziennego życia przekładają się nie tylko na ignorowanie serwisów informacyjnych, ale również czytane książki, słuchaną muzykę i oglądane filmy.

Gdyby tak nie było, dowodzą dziennikarze filmowi, ubiegłorocznym hitem kasowym rosyjskiej kinematografii nie stałby się „Czeburaszka”, film familijny rodzimej produkcji. Krytycy ze zdziwieniem odnotowywali, że ta bardzo przeciętna animacja przyniosła zysk przekraczający pułap 5 miliardów rubli. „To rekord. O takim wyniku nie mógł nawet marzyć żaden z producentów w czasach przedwojennych. To niewyobrażalny sukces nie tylko dla rosyjskiego filmu, ale też dla jakiegokolwiek filmu w Rosji”, pisano na łamach Meduzy. Producent i pisarz Iwan Filippow twierdzi, że bezprecedensowy sukces „Czeburaszki” można łatwo wyjaśnić: „chodzi tu nie o kino, ale o desperackie pragnienie milionów Rosjan, by udawać, że wojny nie ma i – choćby na kilka godzin – powrócić do zromialęgo świata sprzed niej” – tłumaczył w tekście dla Holod.media.

To niejedyny powód kasowego sukcesu bajki o wielkouchym bohaterze, dobrze znanym wszystkim wychowankom w ZSRR (i w PRL, pod imieniem Kiwaczek). „Ważnym czynnikiem było też wycofanie z rosyjskich kin hollywoodzkich filmów – przez cały 2022 rok w kinach nie było ich prawie w ogóle” – wyjaśnia Filippow. A to dlatego, że pięć największych studiów filmowych: Warner Bros., Walt Disney, Paramount, Sony i Universal Pictures, przyłączyło się do antyrosyjskich sankcji i ogłosiło, że zaprzestanie dystrybucji swoich filmów w Rosji. A to z kolei doprowadziło do upadku wielu kin w całym kraju, „Z powodu braku hollywoodzkich premier ludzie przestali chodzić do kina, frekwencja spa-

dła o 70 procent”, odnotowywali w ubiegłym roku dziennikarze niezależnej redakcji Sibir Real.

Rosyjskie władze początkowo usiłowały wprowadzić do kin „sprawdzoną klasykę”, zagraniczną i rosyjską, później miały nadzieję na zrekompensowanie rosyjskim widzom braku filmów z „fabryki snów” kinem europejskim. A w końcu nie tylko przymykały oko na pokazy amerykańskich filmów bez koncesji, ale również proponowały, by „piractwo” zalegalizować. „Możemy kupować prawo do pokazywania amerykańskich filmów przez Białoruś”, na taki pomysł wpadli w maju senatorzy z Rady Federacji. Jak na razie ich inicjatywa nie spotkała się z aprobatą ministerstwa kultury. Ogłosiło swoje plany i priorytety. Krytyk filmowy Timur Alijew zauważył, że wyróżnić wśród nich można „popularyzację służby wojskowej”, „degradację Europy” oraz „tradycyjne wartości”. „Teraz patriotycznych filmów i seriali, które w taki czy inny sposób będą bronić oficjalnej wersji historii, pojawi się jeszcze więcej”, prorokował.

Siergiej Ławrow (zbieżność imienia i nazwiska z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych przypadkowa) komentował na łamach Radia Swoboda: „Decydenci mają to, o czym marzyli całe życie: tylko rosyjskie kino, żadnego Hollywood. Tylko że też żadnej sprzedaży, rosyjscy widzowie nie są tymi filmami zainteresowani”.

NAWET MICHAELA JACKSONA TRUDNO BĘDZIE TERAZ POSŁUCHAĆ LÉGALNIE

To samo można powiedzieć o każdej sferze rosyjskiej kultury. Krąży taka anegdota: „Dlaczego lista zakazanych artystów wygląda jak line up fajnego festiwalu, podczas gdy lista dozwolonych – jak playlista, którą pijany tata pobrał z zaycev.net?”.

Po tym jak platforma streamingowa Spotify całkowicie wycofała się z Rosji, a Apple Music przestało aktualizować rosyjskie listy odtwarzania, w rosyjskim in-

terecie znów zaczęło królować piractwo. Przyczynił się do tego też exodus wydawców. 8 września firma Sony Music ogłosiła, że ostatecznie opuszcza rosyjski rynek, co oznacza, że nawet Michaela Jacksona Rosjanom trudno będzie teraz posłuchać legalnie. Podobnie jak przed kilkunastoma laty ściągają muzykę i filmy z torrentów.

Cóż innego im pozostało? Rosjanie nie chodzą na koncerty, bo zagraniczni artyści, solidaryzując się z Ukrainą, odmawiają występów na terenie Federacji Rosyjskiej. Z kolei większość najpopularniejszych rosyjskich muzyków po inwazji na Ukrainę wyjechało. Promotor Siemion Galperin mówił dziennikarzom Hołodu: „Przemysł koncertowy został w Rosji zniszczony. Niektórzy rosyjscy artyści nie wypowiadali się nawet głośno przeciwko wojnie, ale gdy tylko zasugerowali swoje stanowisko, mocno oberwali, więc teraz istnieje de facto zakaz

ich występów. Nie mówię o tych, którzy otwarcie wypowiadali się przeciwko wojnie: Face, Monietoczka, Zemfira, IC3PEAK, Boris Griebienschikow, Jurij Szewczuk, Kasta i wielu innych. 90 proc. najbardziej interesujących rosyjskich artystów nie może teraz w kraju występować”.

A ci, którzy mogą, jakoś nie przyciągają tłumów.

Podobnie zresztą jak i „ultrapatriotyczne” produkty nowej rosyjskiej kultury, finansowane przez państwowe instytucje kultury i propagowane przez kremlofskich propagandystów.

Bo chociaż państwo rosyjskie jeszcze nigdy nie wspierało tak twórców zaangażowanych w tzw. Z-kulturę, gloryfikującą rosyjską armię i wojnę, to jej jedynymi zwolennikami zdają się ci, którzy ją tworzą. Badacz literatury Jewgienij Babuszkin, analizując prace prowojennych rosyjskich poetów i pisarzy, tak charakteryzuje autorów: „Jeszcze wczoraj występowali dla czterech stałych czytelników biblioteki miejskiej”.

Niegdyś znany i uznany pisarz Zachar Prilepin, dzisiaj zajmujący się przede wszystkim wojenną propagandą, regularnie lamentuje w mediach społecznościowych i na łamach państwowych mediów nad ubóstwem Z-kultury i brakiem na nią popytu. Pisarz odnotowuje także, że najwybitniejsi rosyjscy twórcy nie są wystarczająco „patriotyczni” i albo otwarcie wystąpili przeciwko wojnie, skazując się na banicję, albo na jej temat milczą. „Dlaczego żaden ze stu najlepszych reżyserów filmowych w naszym kraju tego nie ma [patriotycznej postawy i poparcia dla wojny]? Nie mówmy o Michalkowie i Szachnazarowie, oni już nie robią filmów. Mówię o tych stu reżyserach, którzy ciągle pracują” – napisał Prilepin w „Komsomolskiej Prawdzie”.

Ubóstwo Z-kultury dostrzega też filozof Aleksandr Dugin, uznawany za jednego z ideologów Kremla. „Zdaję sobie sprawę, że idę na przekór wszystkim, ale Czeburaszka nie jest tym, czego Rosja potrzebuje. Nie potrzebujemy Czeburaszki, to jakiś rodzaj demencji. Potrzebujemy przebudzenia i pełnego odrodzenia tradycji, prawie cał-

Książki niepokornych pisarzy mają adnotację: „Treść przeznaczona jedynie dla osób dorosłych, powstała przy udziale agenta zagranicy” – kupując je, trzeba okazać dokument tożsamości

kowiec utraconej, poważnie odciętej sto lat temu. Z Czeburaszką nie zwyciężymy” – napisał w styczniu na Facebooku.

Wygląda na to, że nie zwyciężą też tzw. tradycyjnymi wartościami. Mimo obowiązującego w Rosji zakazu „propagandy homoseksualizmu”, który w ubiegłym roku oficjalnie narzucił twórcom i wydawcom cenzurę wątków LGBTQ oraz feministycznych, jedną z najpopularniejszych powieści dla młodzieży jest dzisiaj – wspomniane już wyżej – „Lato w pionierskim krawacie”. Rozgrywająca się w ZSRR historia wakacyjnej miłości pioniera i kolonijnego wychowawcy sprzedawała się w Rosji w blisko 300 tysiącach egzemplarzy. I to mimo oficjalnego potępienia przez władze oraz „prawdziwych patriotów”, którzy publicznie palili wykupione w tym celu egzemplarze książki. A może nie mimo, tylko ze względu na...? ●

NASZA EUROPA

Podziały w rosyjskich służbach

ARMIA I FSB CZEKAJĄ
NA ROZWÓJ WYPADKÓW

– Jeśli jutro któryś z członków Rady Bezpieczeństwa oznajmi: „Władimir Władimirowicz zachorował”, nikt nie będzie wiedział, co robić – mówi dziennikarz śledczy Andriej Soldatow, jeden z najlepszych ekspertów od rosyjskich służb specjalnych.

Rosalba Castelletti

la Repubblica

Andriej Soldatow jest w Rosji poszukiwany przez FSB (m.in. za śledztwa o czystkach w służbach specjalnych po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę), przez co był zmuszony do ucieczki za granicę. Ale nie przestał analizować na bieżąco sytuacji w elitach władzy na Kremlu. Wraz z Iriną Borogan założył stronę internetową Agentura.ru, jest autorem wielu książek o elitach Rosji (m.in. wydanej po polsku „KGB/FSB. Władcy Rosji”). Dziś mówi: „Putin musi udowodnić, że ma wszystko pod kontrolą, że jest ponad waśniami swoich bojarów i potrafi utrzymywać równowagę między nimi. Oczywiście wbrew temu, co myśli Putin, jego chybotała relacja z Jewgienijem Prigożynem dowodzi słabości i stanowi zły sygnał dla siłowników, czyli najbliższych mu ludzi z sił bezpieczeństwa”.



Ukraińskie służby twierdziły, że FSB otrzymała rozkaz zabicia Prigożyna, tymczasem okazuje się, że przywódca zbuntowanych najemników wcale nie uciekł na Białoruś, tylko nadal kursuje między Moskwą a Petersburgiem...

– Nie sądzę, by w najbliższym czasie groziła mu śmierć. Wydaje się, że Putin nadal wierzy, że Prigożyn może mu się przy-

dać. Jego powiązania w Afryce i na Bliskim Wschodzie cały czas mają istotne znaczenie i cały czas istnieje zapotrzebowanie na Grupę Wagnera do obsługi zagranicznych operacji Kremla.

Prigożyn zarządzał nie tylko najemnikami, ale prowadził też wiele innych brudnych interesów. Putin go nadal potrzebuje.

A zatem Prigożyn, nazwany przez Putina w dzień swojego buntu zdrajcą,

• Przed bunt wagnerowców mówiło się, że następcą Siergieja Szojgu (z prawej) w ministerstwie obrony może być gen. Aleksiej Diumin (z lewej), gubernator Tuły. Ale jego notowania spadły ze względu na bliskie relacje z Prigożynem FOT. MIKHAIL KLIMENTYEV/AP

Nowa sytuacja na Kremlu

Putin zaczął bać się swoich elit

Co najmniej tak bardzo, jak one boją się jego.

Ivan Krastev*

To był niezapomniany polityczny spektakl. 21 lutego 2022 roku, w przededniu rozpoczęcia pełnoskalowej wojny Rosji z Ukrainą, prezydent Władimir Putin przewodniczył transmitowanemu w telewizji posiedzeniu rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa. Poprosił jej członków o zadeklarowanie, czy opowiadają się za uznaniem przez Moskwę niepodległości separatystycznych

tw. republik ludowych w Donbasie.

To starannie zainscenizowane wydarzenie pozostawiło wrażenie samotnego cara, który w swoim postępującym szaleństwie lekceważy najważniejszych spośród własnych bojarów. Boją się go, a jednocześnie desperacko próbują go zadowolić. On zaś upokarza ich publicznie dla samej przyjemności, jaką z tego czerpie.

Reakcja Kremlu na niedawny bunt Jewgienija Prigożyna, szefa najemniczej Grupy Wagnera, zmusza nas do ponownego przemyślenia tego obrazu. Bo tym

razem to już nie Putin samodzielnie, ale „kolektywny Putin” (zbiorowa persona obejmująca między innymi Aleksandra Łukaszenkę, dyktatora Białorusi) zadecydował o sposobie rozwiązania kryzysu. Putin osobiście był wściekły i upokorzony zdradą wagnerowców i szybko wystąpił w telewizji, grożąc, że „będzie surowy”. Ale „kolektywny Putin” doszedł do wniosku, że rozsądniej będzie negocjować z rebeliantami i znaleźć spokojną strategię wyjścia z matni. Teraz wiemy, że Putin spotkał się z Prigożynem i innymi dowódcami Grupy

Wagnera 29 czerwca, zaledwie sześć dni po ich szarży. Dla kogoś, kto ma obsesję na punkcie zdrady, musiała to być bardzo gorzka pigułka do przełknięcia.

Co się zmieniło? Przede wszystkim relacje między Putinem a rosyjskimi elitami. Teraz boi się ich nie mniej, niż oni boją się jego. Mniej obawia się ich głosu niż ich odstąpienia od niego. Wielu jego najbliższych współpracowników obwinia go osobiście za obecny stan rzeczy. To decyzja Putina o ciągłym instrumentowaniu rywalizacji między Grupą Wagnera a ministerstwem obrony ostatecznie doprowadziła do spektakularnego marszu wagnerowców na Moskwę.

Bunt Prigożyna ujawnił główną sprzeczność polityki personalnej Putina. Aby wygrać wojnę, potrzebu-

je ambitnych, bezwzględnych przywódców, takich jak szef wagnerowców. Jednak aby zabezpieczyć swoją władzę i zagwarantować jedność elity władzy, musi polegać na, mówiąc oględnie, mało charyzmatycznych postaciach, takich jak minister obrony Siergiej Szojgu i generał Walerij Gierasimow, szef sztabu generalnego. Obawa przed „efektem Żukowa” – pojawieniem się popularnego generała, takiego jak Gieorgij Żukow, radziecki dowódca, który zdobył nazistowski Berlin – wyjaśnia, dlaczego Prigożyn musiał odejść (to marginalizowanie jego wpływów było bezpośrednią przyczyną buntu). Na Kremlu wiedzą, że rosyjska opinia publiczna mogłaby zacząć postrzegać taką postać jako realną alternatywę dla Putina.

Sekretem wojen kolonialnych jest to, że mogą się one udać tylko wtedy, gdy ludzie o nich zapomną. Z obecną wojną Putina jest nie inaczej. Jego obsesyjny nacisk na nazywanie walk w Ukrainie specjalną operacją wojskową, a nie prawdziwą wojną, był próbą uspokojenia Rosjan, że w zasadzie nic się nie zmienia w ich życiu, choć w rzeczywistości zmieniło się wszystko. Najemnicy Wagnera zburzyli tę moźolnie konstruowaną fasadę normalności, która jest tak ważna dla Kremla. Nie wystarczy już dbać o ich poziom życia, by przekonać Rosjan, że nie mają się czym martwić.

Wszystkie zamachy stanu zaczynają się od spisku. Nieudane zamachy stanu kończą się paranoją. Dlatego logiczne byłoby oczeki-

NASZA EUROPA

zachowa w jakimś stopniu swoją pozycję i wpływ?

– Wydaje się, że Putin chce, aby pozostał on pod ręką, zapewne osłabiony, ale wciąż zachowujący część swoich dawnych przywilejów.

Łagodność wobec „zdrajcy” budzi zdumienie...

– Rzecz w tym, że Putin – jak się wydaje – bardzo się zmienił w ciągu ostatniego roku. Przed wojną w Ukrainie był znacznie bardziej stanowczy. Błyskawicznie karał wrogów, z dnia na dzień. Teraz zwleka. Z tego powodu wiele elementów tej historii jest niejasnych i trudno jest cokolwiek prognozować.

W każdym razie bunt najemników, podobnie jak atak na Ukrainę, jest katastrofą, którą Putin sam na siebie sprowadził. Jak bardzo zachwieje to jego pozycją?

– Najbardziej oczywistym efektem jest pogorszenie jego reputacji w kraju. Przez lata głosił ideę suwerenności narodowej, ale kiedy znalazł się w tarapatach, musiał prosić o interwencję swojego „młodszego partnera”, Białorusina Aleksandra Łukaszenkę.

Nie wydaje mi się, aby był to ruch świadczący o suwerenności. I z całą pewnością nie uważa tak ani armia, ani FSB.

Ale najpoważniejszy wniosek, jaki służby bezpieczeństwa wyciągnęły z tej sprawy, jest taki, że gdy w najbliższym kręgu wokół Putina toczy się bitwa, lepiej od razu nie ingerować. Jest to bardzo niebezpieczna dla reżimu lekcja. Podczas buntu najemników siły bezpieczeństwa kontynuowały działania w Ukrainie – ale nie wiedziały, co zrobić z ruchem Prigożyna. Oznacza to, że system zaprojektowany przez Putina jest w stanie oprzeć się naporowi z zewnątrz, takiemu jak kontrofensywa Kijowa, ale jest zagubiony w obliczu zagrożenia wewnętrznego.

A jeśli jutro, dajmy na to, Kadyrow albo któryś z członków Rady Bezpieczeństwa oznajmi: „Władimir Władimirowicz zachorował”, nikt nie będzie wiedział, co robić.

Czy ktoś mógłby skorzystać na tym paraliżu?

– Nie teraz. Ale jeśli na przykład jutro kontrofensywa ukraińska zada jakiś nokautujący cios na polu bitwy, Putin może znaleźć się w bardzo niebezpiecznej sytuacji.

Wracając do FSB – służby ponoszą odpowiedzialność za fiasco pierwszej fazy

operacji przeciw Ukrainie. Teraz wydaje się, że nie potrafią przewidzieć ruchów Prigożyna. Czy tak jest?

– Ależ służby o nich wiedziały. Mają wielu agentów w szeregach Grupy Wagnera. Problem polega na tym, że nie wiedziały, jak poinformować o tym prezydenta, unikając osobistych reperkusji. Z tego samego powodu każdy raport adresowany do Putina podpisuje kilku członków kierownictwa. W ten sposób wszyscy dzielą się odpowiedzialnością – i ostatecznie nikt jej nie ponosi. Tym razem postanowili poczekać i zobaczyć, jak sprawy się potoczą.

■
*Trwa spektakl,
który ma pokazać,
że wszystko jest pod kontrolą.
Ale siły bezpieczeństwa
są zaniepokojone
jak nigdy dotąd*

Czy ktoś w ogóle zapłaci za ten chaos? Będzie czystka? Czy generał Surowikin na pewno został aresztowany i przesłuchany?

– Nie mam żadnego potwierdzenia aresztowania Surowikina.

To wcale nie znaczy, że nie siedzi w więzieniu. Jedno ze skrzydeł więzienia w Lefortowie jest odizolowane i przeznaczone tylko dla więźniów specjalnych. Możliwe, że tam jest.

Podobnie jak szef Wydziału V FSB gen. Siergiej Beseda rok temu, być może niebawem zostanie wypuszczony i przywrócony na swoje stanowisko, ponieważ Putinowi brakuje generałów.

Mnie jednak wprawia w zdumienie, że wszystkie pogłoski o czystkach dotyczą wyłącznie armii, a nie służb bezpieczeństwa czy Gwardii Narodowej. To dziwne, ponieważ to FSB i Gwardia Narodowa są odpowiedzialne za bezpieczeństwo wewnętrzne. Ale Putin zdecydował, że zapłacą tylko wojskowi. ●

tłum. Bartosz Hlebowicz

wać dramatycznych zmian na szczytach władzy na Kremlu. Ale te oczekiwania mogą okazać się błędne. Czystki na niższych szczeblach służb bezpieczeństwa są nieuniknione, ale nie jest jasne, czy Kreml zaryzykuje zmiany na wyższych szczeblach struktur władzy.

W pierwszym rundy wojny w Ukrainie zmiany na szczytach hierarchii w Moskwie były uderzająco ograniczone. Podczas gdy wojny zazwyczaj wynoszą do góry ambitnych i często bezwzględnych przywódców, którzy sprawdzili się w walce, od lutego 2022 tylko członkowie dwóch grup awansowali w hierarchii Putina. Są to synowie jego starych przyjaciół i jego odwieczni adiutanci – krótko mówiąc ci, którzy są uważani za lojalnych i których przywódca zna osobi-

ście. Pragnienie stabilności przeważało nad potrzebą skuteczniejszego przywództwa.

Ale teraz, po buncie wagnerowców, Putin stoi przed trudnym wyborem. Nie może pozwolić sobie na krytykę i dymisje wśród rosyjskiej generacji, ponieważ byłoby to przyznanie, że Prigożyn miał rację. Ale nie może wygrać wojny z tymi generałami na czele armii. W tym sensie bunt Prigożyna wzmocnił „kollektywnego Putina”.

Różne postrzeganie tego buntu w Rosji oraz poza nią uwypukla jego niezamierzone konsekwencje. Podczas gdy większość Rosjan była przerażona perspektywą wojny domowej, a notowania Prigożyna poleciały w dół, Zachód generalnie zgadza się co do tego, że każda zmiana wła-

dzy w Rosji jest szansą, ponieważ każdy przywódca inny niż Putin – i to niezależnie od jego poglądów politycznych – będzie bardziej skłonny do przerwania wojny.

Byłoby myśleniem życzeniowym postrzeganie marszu Prigożyna na Moskwę jako zwiastuna nieuniknionego końca reżimu Putina. Ale błędem byłoby również lekceważenie jego doniosłego znaczenia. Tym, co zasygnalizował bunt, jest przesunięcie ośrodka władzy w Rosji z cara Putina na „Putina kolektywnego”. ●

tłum. Łukasz Grzymiśławski

***Ivan Krastev** – politolog, szef Centrum Strategii Liberalnych w Sofii i wykładowca w Instytucie Nauk o Człowieku w Wiedniu.



Po decyzjach na szczycie w Wilnie

Co Ukraińcy mogą wnieść do NATO przyszłości

– Nasza armia jest nowym modelem, który Europejczycy będą chcieli naśladować pod względem szkolenia, taktyki i odpowiedzialności spoczywającej na każdym żołnierzu – przekonuje była premier Ukrainy.

Julia Tymoszenko

Choć praktycznie wszyscy Ukraińcy marzą o członkostwie w NATO, brutalne walki, które byliśmy zmuszeni podjąć od czasu inwazji Rosji na nasz kraj prawie 18 miesięcy temu, dały nam twarde lekcje realizmu. Jesteśmy świadomi, że urzeczywistnienie naszego marzenia o NATO nie będzie łatwe ani szybkie. Zdaję sobie z tego sprawę: w 2008 r. byłam sygnatariuszem listu aplikacyjnego Ukrainy do sekretarza generalnego NATO. A jednak Ukraina pozostała poza Sojuszem – z katastrofalnymi konsekwencjami.

Nikt nie oczekuje, że Ukraina otrzyma propozycję członkostwa w NATO, podczas gdy na naszym terytorium szaleje wojna. Zmusiłoby to przeciw Sojusz, na mocy artykułu 5 traktatu założycielskiego, do włączenia się do konfliktu. Pomysł wojny na pełną skalę między NATO a Rosją – krajem uzbrojonym w broń nuklearną, który już wykazał się kryminalnym stopniem lekkomyślności – nie nęci nikogo, w tym Ukraińców.

Ale obecna wojna nie będzie trwać wiecznie. Zadbają o to umiejętności i odwaga naszych żołnierzy, wraz z zaangażowaniem naszych sojuszników i przyjaciół – nie tylko członków NATO, ale także dziesiątek innych państw, tak odległych jak Japonia – w dostarczanie nam narzędzi potrzebnych do wyrzucenia Rosji z naszego terytorium. Członkostwo Ukrainy w NATO dotyczy zatem tego, co jest potrzebne po zakończeniu wojny. Chodzi o przywrócenie i utrzymanie pokoju w Europie, a tym samym wypełnienie najbardziej fundamentalnego celu NATO.

● ● ●

Jednak w Sojuszu istnieją wątpliwości co do roztropności akcesji Ukrainy. Postaram się rozwiązać niektóre z nich.

Niektórzy zdają się obawiać, że Ukraina stanie się swego rodzaju darmozjadem, który będzie przysparzał NATO wyłącznie bólu głowy. Nie ma jednak lepszego dowodu na to, że jest inaczej, niż nasz skuteczny opór i ostateczne pokonanie Rosji na polu bitwy. W rzeczywistości nasze sprawdzone w boju siły zbrojne będą głównym atutem dla bezpieczeństwa transatlantyckiego w nadchodzących dekadach.

Na polach bitewnych Ukrainy narodził się nowy rodzaj działań wojennych i to ukraińskie oddziały – a nie rosyjskie – opracowały nowe i często pomysłowe taktyki. Podczas gdy niemal wszyscy członkowie NATO mają niewielkie doświadczenie w prowadzeniu działań wojennych na dużą skalę w XXI w., ukraińscy wojskowi – od nowo zaangażowanych żołnierzy po sztab ge-

neralny – rozumieją, że technologia i indywidualne podejmowanie decyzji, aż do poziomu plutonu, będą kluczem do sukcesu na polu walki w nadchodzących dekadach. Nasza armia jest nowym modelem, który Europejczycy będą chcieli naśladować pod względem szkolenia, taktyki i odpowiedzialności spoczywającej na każdym żołnierzu.

Faktem jest, że ukraińskie wojsko jest zdecydowanie najlepszą siłą bojową, jaką będzie można znaleźć w Europie w dającej się przewidzieć przyszłości. A NATO może być pewne, że zawsze będzie w najwyższej gotowości. Zapłaciliśmy wysoką cenę za nieprzygotowanie do wojny w 2014 r., kiedy Rosja po raz pierwszy zaatakowała nasze terytorium i zajęła Krym. To się już nie powtórzy. Będziemy sojusznikiem gotowym i zdolnym do obrony każdego centymetra terytorium NATO od pierwszego dnia naszego członkostwa.

■
Ukraińskie wojsko jest zdecydowanie najlepszą siłą bojową, jaką będzie można znaleźć w Europie w dającej się przewidzieć przyszłości

Członkowie NATO powinni pamiętać, że kiedy rozpoczęła się wojna, byliśmy „osamotnieni” w taki sam sposób, w jaki Winston Churchill postrzegał Wielką Brytanię wiosną 1940 r. Ale nie zawahaliśmy się stanąć do walki. Nasza jedność i niezłomność w tych mrocznych dniach i tygodniach powinny budzić szacunek wszystkich członków NATO.

● ● ●

Jeśli chodzi o zagrożenie nuklearne, to właśnie status Ukrainy jako państwa niebędącego członkiem NATO umożliwił Kremlowi pobrzękiwanie nuklearną szabelką. Przez dziesięciolecie przed inwazją Rosji na Ukrainę w 2022 r. w Europie nie słyszano żadnych gróźb nuklearnych. Ale teraz, ponieważ Ukraina nie jest członkiem NATO, przywódca Rosji wielokrotnie groził użyciem taktycznej broni jądrowej.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego Ukraina będzie atutem dla NATO: kiedy wojna się skończy, Rosja nadal będzie naszym sąsiadem. Nie jestem w stanie zgadnąć, kto będzie rządził Rosją w przyszłości. Wiem jednak, że zwykli Rosjanie – którzy trwają od dekad w despotyzmie, a teraz stracili dziesiątki tysięcy swoich synów w fatalnej wojnie – będą szukać przykładu społeczeństwa, jakiego sami by sobie życzyli.

Kwitnąca ukraińska demokracja, w pełni zintegrowana z NATO i Unią Europejską, może i musi świecić także im przykładem. Zapłaciliśmy zbyt wysoką cenę, by zadowolić się czymkolwiek mniej. ●

tłum. Marz McNamer

CIEMNE PIENIĄDZE

W amerykańskiej polityce pieniędzy jest coraz więcej, ich pochodzenie jest coraz mniej jawne, a pojedynczy bogacze zyskują coraz większy wpływ na państwo.

Maciej Jarkowicz

Poznajcie Leonarda Leo. Elegant, lat 58, okragle szkła okularów, początki siwizny. Wychowany w zamożnej, katolickiej rodzinie z Long Island. Ojciec siedmiorga dzieci. Rycerz zakonu maltańskiego. Z lat młodości odnotujemy trzy wydarzenia: jako nastolatek pracował w sztabie Orrina Hatcha, najdłużej zasiadającego w Senacie republikanina, zwolennika wpisania do konstytucji zakazu aborcji. Jako student założył uczelniany oddział Federalist Society, organizacji pomagającej prawnikom o konserwatywnych poglądach w zdobywaniu wysokich posad. Tuż po studiach rozpoczął dla Federalist Society pracę w stolicy, gdzie poznał Clarence'a Thomasa, przyszłego sędziego Sądu Najwyższego.

Zapewne nigdy nie słyszeliście o Leonardzie Leo, co nie dziwi, bo w większości nie słyszeli o nim nawet Amerykanie, z wyłączeniem garstki demonstrantów protestujących nieraz pod jego letnim domem w stanie Maine. Tymczasem Leo jest jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Stanach. Jego stary druh sędzia Thomas kilka lat temu nazwał go półżartem „trzecim najpotężniejszym człowiekiem na świecie”.

Za chwilę wyjaśnię, czym zajmuje się Leonard Leo, ale wprzód przedstawię jeszcze mniej znanego człowieka. Miliarder Barre Seid w kwietniu skończył 91 lat. Fortunę zbil na produkcji komputerowych podzespołów. Nie lubi, gdy się o nim mówi. W mailu, do którego dotarło zrzeczenie dziennikarzy śledczych ProPublica, nazwał sam siebie „paranoikiem anonimowości”. Nie ma dzieci i m.in. dlatego od dekad przekazuje fundusze na cele, jakie leżą mu na sercu. Swoje działania nazywa „ofensywną filantropią”. Nie wierzy w globalne ocieplenie. Chce niskich podatków i deregulacji biznesu. Uważa, że uniwersytety są źródłem niszczącej Amerykę lewicowej propagandy. Śledztwo ProPubliki i „New York Timesa” ustaliło, że w zeszłym roku Seid podarował wszystkie akcje swojej firmy organizacji o nazwie Marble Freedom Trust, która stawia sobie za cel „utrzymywanie i rozszerzanie wolności wynikających z deklaracji niepodległości i konstytucji Stanów Zjednoczonych”. Powstała z inicjatywy znanego nam już Leonarda Leo, który zbudował sieć grup finansujących konserwatywną politykę. Akcje od Seida Marble sprzedawała podmiotowi z Irlandii za 1,6 miliarda dolarów. Zgodnie z prawem – jako organizacja non profit – nie zapłaciła podatku. Tym samym darowizna Seida stała się największą znaną w historii amerykańskiej polityki.

Sojusz Leo z Seidem jest znakiem czasów. Pieniądzy w amerykańskiej polityce zawsze było dużo. W ostatnich latach jest ich jeszcze więcej, ich pochodzenie jest coraz mniej jawne, a pojedynczy bogacze zyskują coraz większy wpływ na państwo.

W ciągu 20 lat wydatki na kampanie do wyborów na poziomie krajowym wzrosły w Stanach trzykrotnie z 4,6 mld dolarów w 2000 roku do 14,4 mld w roku 2020. Przypomnijmy: miliard to tysiąc milionów. Dla porównania – wpływy do budżetu miasta stołecznego Warszawy w 2023 roku wynoszą ok. 5 mld dolarów. W Wielkiej Brytanii zwycięska w głosowaniu 2019 roku Partia Konserwatywna wydała na kampanię ledwie 16 milionów funtów, czyli ok. 21 milionów dolarów. To mniej niż w ostatnim wyścigu do Izby Reprezentantów Republikanie i Demokraci wydali w jednym tylko okręgu wyborczym w Teksasie.

Trwa gromadzenie funduszy na przyszłoroczne batalie. Sztab Donalda Trumpa informuje, że po tym, jak kandydat został postawiony w stan oskarżenia przez sąd na Florydzie za bezprawne przetrzymywanie dokumentów – w ciągu kilkudziesięciu godzin zebrał osiem milionów dolarów, głównie z tzw. małych wpłat nieprzekraczających 200 dolarów.

Problemy sądowe Trumpa okazują się jego politycznym i finansowym paliwem. „Chcę dopaść nie mnie, lecz was, nas wszystkich” – woła były prezydent na wiecach.

81 proc. wyborców Republikanów twierdzi, że ściganie Trumpa przez sądy to atak polityczny, którego celem jest wykluczenie go z polityki. Również po tym, gdy w kwietniu usłyszał zarzuty w sądzie w Nowym Jorku dotyczące płacenia za milczenie aktorce porno, w ciągu trzech dni na konto kampanii wpłynęło ponad siedem milionów z małych datków.

Jego najpoważniejszym konkurentem w wyścigu o nominację Republikanów jest na razie Ron DeSantis. Gubernator Florydy ogłosił swój start w audycji transmitowanej przez Twittera, której gospodarzem był Elon Musk – do niedawna najbogatszy człowiek świata (dziś drugi na liście). Poza fryzurą i wiekiem (DeSantis ma 44 lata, Trump – 77) kandydatów niewiele różni. Pierwszy raz, w 2019 roku, DeSantis został gubernatorem dzięki poparciu Trumpa i do dziś jest wierny ideom trumpizmu. W rozmowie z Muskiem za-



powiedział „narodowy boj” z nielegalną imigracją i lewactwem określanym nowym terminem „woke”, który obejmuje polityczną poprawność, LGBT+, Black Lives Matter, feminizm, ateizm i wiele innych zagrożeń dla jedynie prawdziwej Ameryki. DeSantis zapowiedział też oczywiście, że odbuduje zrujnowaną przez Bidena gospodarkę. Nazwał siebie „energicznym menedżerem”. Jest postrzegany jako mniej nieobliczalna wersja Trumpa, dzięki czemu skutecznie pozyskuje duże kwoty od oczekujących obliczalności bogaczy. Eksperci od kampanijnych finansów podają, że w połowie czerwca pod względem kasy zgromadzonej przez sztaby i wspierające je – choć formalnie niezależne – organizacje (o czym za chwilę) DeSantis prowadzi z Trumpem 116 do 81 milionów.

Były prezydent jest jednak wprawniejszy w wyciąganiu pieniędzy od tzw. zwykłych Amerykanów. Małe wpłaty mają nad dużymi tę przewagę, że są lepszym miernikiem szans kandydata na zwycięstwo. Nieco upraszczając: tysiąc 20-dolarowych wpłat oznacza ledwie 20 tysięcy dolarów na koncie, ale aż tysiąc głosów wyborczych. Jedna darowizna w wysokości miliona dolarów zapewnia milion dolarów i ledwie jeden głos. Dlatego miliarderzy i multimilionerzy bacznie obserwują barometr emocji społecznych. Podążają za człowiekiem, który ma największe szanse na zwycięstwo. Trend jest niekorzystny dla DeSantis. Po początkowej fali entuzjazmu wielki kapitał zaczyna się od niego odwracać. Pod koniec ubiegłego roku poparcie dla niego deklarowało 54 proc. badanych milionerów głosujących na Republikanów. Dziś – 32 proc. W tym samym czasie słupki Trumpa w tym badaniu podniósł się z 17 do 28 proc.

Do niedawna kampanie wyborcze w Stanach finansowali niemal wyłącznie bogaci ludzie. Pieniądze zbierano na imprezach fundraisingowych, na których darczyńcy mogli napić się z kandydatem

whisky, zapalić cygaro i omówić interesy. Nadal są one nieodłącznym elementem amerykańskiej polityki – Biden, DeSantis i Trump objeżdżają właśnie kraj, uczestnicząc w dziesiątkach takich eventów. Ale technologia uruchomiła drugi strumień – niewielkie wpłaty od setek tysięcy zwolenników. W 2004 roku powstała platforma ActBlue umożliwiająca kandydatom Demokratów i wspierającym ich organizacjom pozyskiwanie datków przez internet. Jako pierwszy skutecznie wykorzystał ją Barack Obama w 2008 roku. Euforia, jaką wzbudzał pośród fanów na wiecach, przełożyła się na ogromną falę niedużych wpłat za pośrednictwem ActBlue.

Gdy bogacze zorientowali się, w którą stronę dmie wiatr, porzucili Hillary Clinton i dołączyli Obamie swoje miliony, które przyczyniły się do jego zwycięstwa.

Gdyby nie ActBlue i podobne narzędzia, jakie powstały w następnych latach, nie byłoby też fenomenu Berniego Sandersa. Człowiek sam siebie nazywający socjalistą, zapowiadający pogonienie wielkiego biznesu w skarpetkach – co za tym idzie: nieotrzymujący z jego strony wsparcia – był zdolny dwa razy odegrać znaczącą rolę w demokratycznych prawyborach i przestawić kurs partii w lewą stronę. Stało się tak dzięki małym wpłatom – jego ostatnia kampania w 80 proc. finansowana była z datków nie wyższych niż 200 dolarów.

Podobnie Trump. W prawyborach 2016 roku dzięki małym wpłatom przegonił konkurentów wspieranych przez wielki kapitał – na czele z Jebem Bushem uważanym początkowo za murowanego faworyta. Dokonał tego między innymi dzięki masowej sprzedaży czapek, koszulek i innych gadżetów z napisem „Make America Great Again”.

Gdy dwa lata później drobne datki napędziły kampanie wielu demokratycznych kandydatów w wyborach lokalnych i do Kongresu, kierownictwo Republikanów zorientowało się wreszcie, że nie może się temu biernie przyglądać. Wkrótce powsta-

ła platforma WinRed będąca republikańskim odpowiednikiem ActBlue.

Dziś firmy z Doliny Krzemowej prześcigają się w tworzeniu narzędzi do szybkich przelewów na rzecz kandydatów. Amazon jako pierwszy uruchamia wpłaty z pomocą asystenta głosowego – żeby dać pieniądze sztabowi Bidena, Trumpa czy DeSantisa, nie trzeba już nawet klikać, wystarczy odezwać się do maszyny.

Robne wpłaty bywają motorem kampanii, co nie zmienia starej zasady: największy wpływ na władzę pozostaje w rękach bogatych. W 2008 roku, gdy panowie z Wall Street zorientowali się, że Obama staje się faworytem, zaczęli wpłacać na jego sztab. Wpłatom – jak zawsze – towarzyszyły rozmowy. W ich efekcie administracja populistycznego wydawałoby się prezydenta pełna była ludzi z samej wierzchuszki bankowo-gieldowego establishmentu, którzy dopiero co przyczynili się do wywołania ogólnoświatowego kryzysu. Jego skutki mieli teraz zwalczać z wysokości posad rządowych. Osiem lat później kandydat ludu Donald Trump tak dobrze radził sobie w sondażach, że do jego sztabu zaczęli pukać bogacze, którzy jeszcze przed chwilą mieli go za pajaca.

Człowiek, który obiecał, że nie weźmie grosza od miliarderów – bo ma swoje miliardy – i oczyści waszyngtońskie bagno z wpływów kapitału, powołał administrację złożoną z bogaczy wartą łącznie prawie osiem miliardów dolarów. Symbolem nowego, wolnego od wpływów porządku został Rex Tillerson, szef ExxonMobil, najbardziej dochodowej korporacji na planecie – wziął tekę szefa Departamentu Stanu.

Jednym z elegantów, którzy w kampanii odwiedzili Trumpa, był niejaki Leonard Leo. Od czasów studenckich przez ponad trzy dekady działał na coraz wyższych stanowiskach w organizacji Federalist Society. Zbudował siatkę wpływu złożoną z setek konserwatywnych milionerów. Z ich wsparciem pomagał zdobywać posady konserwatywnym sędziom w sądach federalnych i Sądzie Najwyższym. Zmarły w 2016 roku Antonin Scalia, zanim wszedł do Sądu Najwyższego, był jednym z najważniejszych ludzi stowarzyszenia. Blisko związani z Federalist Society są też przewodniczący John Roberts i największy konserwatysta w składzie Clarence Thomas. W 2016 roku na biurku Donalda Trumpa Leo położył listę z nazwiskami kilkunastu idealnych kandydatów do objęcia ewentualnych wakatów w Sądzie Najwyższym. Nominowani później przez prezydenta Neil Gorsuch, Brett Kavanaugh i Amy Coney Barrett byli na tej liście.

W ostatnich latach zdominowany przez prawicę Sąd Najwyższy bardziej niż inne instytucje zmienia kulturowy krajobraz Ameryki. Sąd orzekł między innymi, że konstytucja nie gwarantuje prawa do aborcji, oddając uregulowanie tej kwestii władzom stanowym. Inną decyzją stwierdził, że konstytucja strzeże prawa do noszenia broni w miejscach publicznych, wyłączając tym samym możliwość zaostrzania przepisów o broni w erze masowej przemocy z jej udziałem. Jeszcze inne orzeczenie znacznie ograniczyło urząd federalnym przestrzeń do wprowadzania prawa chroniącego środowisko.

Sieć, jaką stworzył Leonard Leo, nie ogranicza się tylko do wpływu na skład Sądu Najwyższego. Za pomocą niejawnych wpłat od takich ludzi jak 91-letni miliarder Barre Seid popycha ona kandydatów i agendę polityczną w niezliczonych instytucjach, również w stanowych legislacjach i na Kapitolu.

W kampaniach do Kongresu w 2018 roku nastąpił największy skok w małych wpłatach nieprzekraczających 200 dolarów – sztaby i wspierające je organizacje zebrały dzięki nim ponad 1,4 mld dolarów, o połowę więcej niż cztery lata wcześniej. Ale równocześnie wpływ od darczyńców wpłacających co najmniej 100 tysięcy dolarów wyniosły dwa miliardy. W roku 2016 wpłaty od 400 najbogatszych sponsorów przekraczające milion dolarów złożyły się na jedną trzecią całej sumy wydanej na kampanie. Pięć milionów zwykłych Amerykanów wpłaciło wtedy łącznie kilkaset milionów mniej niż garstka możnych.

Rośnie finansowe zaangażowanie obywateli w politykę. Wszystkich – niezamożnych i najbogatszych. Siłą rzeczy najbogatsi dają najwięcej. Ich wpływ zwiększył się niepomniernie od 2010 roku, kiedy seria decyzji Sądu Najwyższego zlikwidowała wszelkie ograniczenia w finansowaniu kampanii wyborczych. Spodziewano się, że spowodują one przede wszystkim aktywne wejście do politycznej gry dużych korporacji. Po ponad dekadzie funkcjonowania nowego prawa okazuje się, że firmy stronią od zaangażowania. Eksperci tłumaczą ich neutralność strachem przed utratą milionów klientów związanych z taką bądź inną opcją polityczną. Strachu tego nie podzielają za to pojedynczy bogacze.

Od 2010 to oni najbardziej zwielokrotnili finansowy udział w wyborach. Prawo określa limity wpłat na sztaby kandydatów i prowadzone bezpośrednio przez partie grupy poparcia. Nie ma natomiast ograniczeń w sponsorowaniu super PACs (Political Action Committee), czyli organizacji formalnie niezwiązanych z kandydatem, lecz niezależnie wspierających jego kampanię. Super PACs dostają fundusze od grup kapitałowych organizowanych przez takich macherów jak Leonard Leo. Działają „nie-

zależnie” na rzecz partii, polityków lub w konkretnych kwestiach, jak aborcja czy broń. Ich pieniądze pozwalają wybranym kandydatom zyskać przewagę w prawyborach. Sponsorują kampanie referendalne – a referenda decydują o wielu przepisach na poziomie miast i stanów. W przeciwieństwie do większości obywateli najbogatsi mają też bezpośredni dostęp do polityków. Wpłatom na super PACs towarzyszą zakulisowe rozmowy popychające lub blokujące uchwalanie prawa. Naciski sponsorów wpływają na konkretne zapisy w ustawach. Decydują też o tym, czy znajdzie się wystarczająca liczba głosów, aby przepisy przegłosować. Zjawisko wzrastającego wpływu magnatów na politykę dotyczy obu partii. Ostatnie badania pokazały, że jeśli w przyszłym roku dojdzie do starcia Bidena z Trumpem, 55 proc. milionerów zagłosuje na demokratę, 45 proc. na republikanina.

W powszechnym odbiorze z Demokratami kojarzeni są tacy miliarderzy jak Bill Gates czy George Soros, którzy hojnie sponsorują lewicową agendę. Ale głośnie badanie sprzed kilku lat dowiodło, że większość milionerów – również ci wspierający Demokratów – ma bardziej konserwatywne w kwestiach światopoglądowych i bardziej wolnorynkowe poglądy od większo-

ści Amerykanów. Różnice są największe w takich sprawach, jak podatki, opieka medyczna czy – o ironio – finansowanie kampanii politycznych.

Martin Gilens z Uniwersytetu Princeton i Benjamin Page z Uniwersytetu Northwestern przeanalizowali setki ustaw uchwalonych przez Kongres i stanowe legislatury. Porównali je z badaniami opinii pośród klasy średniej i milionerów. Wykazali, że uchwalane prawo dużo bardziej odzwierciedla poglądy najbogatszej warstwy społeczeństwa.

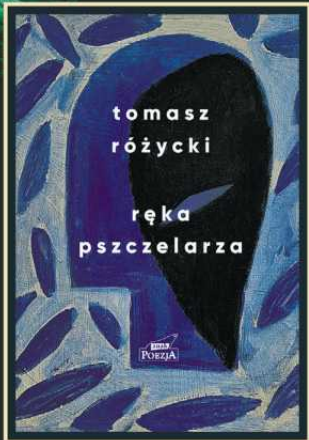
Gilens i Page uważają, że system gospodarczo-polityczny w USA jest oligarchiczny. Różni się od oligarchii w Rosji, gdzie zależność między władzą a kapitałem jest bezpośrednia – Putin z kumplami trzymają kasę i decydują o wszystkim. W Stanach zależność polityki od najmożniejszych kapitalistów wmontowana jest w mechanizm prawny sankcjonowany orzeczeniami Sądu Najwyższego. Ale efekt – z zachowaniem wszelkich różnic – jest równie niedemokratyczny: najbogatsi mają niewspółmiernie większy wpływ na państwo niż reszta społeczeństwa.

Źródło ogromnej części pieniędzy przepływających przez super PACs jest nieznane. Prawo nie nakłada obowiązku ujawniania nazwisk darczyńców. Szacuje się, że w 2020 roku ponad miliard dolarów wydanych na kampanie polityczne w USA stanowiły dark money, czyli pieniądze nieznanego pochodzenia. Grupę politycznego wsparcia może zasilić gotówką miliarder w typie zwerbowanego przez Leonarda Leo Barre’a Seida albo członek mafii liczący na polityczne względy w swoim regionie, albo chiński bądź rosyjski agent. Proponenci tego prawa powoływali się na wolność słowa i ochronę sponsorów polityki przed gniewem części społeczeństwa niepodzielającej ich poglądów. Dziś trudno wybrnąć z labiryntu niejawności. W Kongresie od lat leżą dwie ustawy. Jedna z nich wprowadzałaby system zbliżający USA do większości demokratycznych krajów – wprowadzenie realnych, a nie fikcyjnych ograniczeń wpłat i połączenie sponsoringu prywatnego z publicznym. Dotacja kampanijna od państwa uzależniona byłaby od wysokości sumy pozyskanej z małych wpłat nie wyższych niż 200 dolarów. Druga ustawa nakazywałaby pełną jawność politycznych finansów i likwidację dark money. Obie ustawy mają poparcie społeczne, ale przepadały w głosowaniach. Za ich ukatrupieniem lobbują nieznanzi obywatelom bogacze. ●

Jeśli
w przyszłym
roku dojdzie
do starcia
Bidena
z Trumpem,
55 proc.
milionerów
zagłosuje na
demokratę,
45 proc. na
republikanina



XI edycja
Nagrody
im. Wisławy
Szymborskiej
2023



LAUREAT
ZA NAJLEPSZĄ KSIĄŻKĘ
WYDANĄ W 2022 ROKU

TOMASZ RÓŻYCKI
Ręka pszczelarza

FOT. BE&W



Adam Michnik poleca

NIKT NIE WYMAŻE HEIDEGGERA

Co jest początkiem myślenia? Starożytni mówili: zachwyt. Dziś jakby inaczej. Wstręt.

Tadeusz Bartoś*

Heidegger i metafizyka” to już drugi tom poświęcony pamięci Cezarego Wodzińskiego. Wybrani autorzy spotkali się, by kontynuować pracę nad filozofią najważniejszego dla Wodzińskiego myśliciela XX wieku. Pojawili się jednak szybko wątpliwości: czy w ogóle praca filozoficzna jest dziś jeszcze możliwa. Bogdan Baran, wybitny tłumacz Heideggera, napisał o jałowości filozofii, która już nic nie wnosi,

jest monstrualną „machiną autointerpretacji”: przerabia się ciągle to samo na rozmaite sposoby.

Czy to już rzeczywiście koniec filozofii, na nic się nie przyda, pozostaje tylko żalobnie wspominać nieboszczkę? Bardzo stanowczy jest ten sceptycyzm. Że Heidegger jest przełomem w dziejach filozofii, to w opinii Barana mit, bajka; antyheideggeryści mogą sobie u niego jak u źródła uzupełniać arsenał argumentów.

Jednocześnie Baran cytuje fragment z książki Wodzińskiego „Odys gość”: „Bogowie są gość-ini. Inność to sposób zjawiania się gościa”. I dodaje melancholijnie:

„Przyszli i odszedł. Cezary gość”. Dodajmy: uważny, zasluchany, gościnny dla zabłąkanych myśli.

Tej gościnności nie sposób dostrzec w zamieszczonych w tomie krytycznych tekstach komentatorów dzieła i życia Heideggera. Lektura pozwala nam wysłuchać dwugłosu: nowych krytyków, Emmanuela Faye’a i Sidonie Kellerer, oraz reprezentantów tradycyjnej interpretacji, Petera Trawnego, wydawcy Heideggerowskich tekstów, oraz francuskiego filozofa Jean-Luca Nancy’ego.

Publikowane od 2014 r., wcześniej nieznane, zapiski Heideggera z lat 30.-50., zwane „Czarnymi zeszytami”, wywołały istotne wzmoczenie aksjologiczne. Najbardziej gorliwi mówią o konieczności usunięcia Heideggera z filozoficznego obiegu.

Dominująca do niedawna wykładnia stosunku Heideggera do narodowego socjalizmu, którą Faye chce obalić, brzmiała tak: ruch narodowosocjalistyczny Heidegger w latach 20. uznał za szansę odnowy niemieckiego ducha. W tym celu zgodził się być rektorem w 1933 r., jednak zrezygnował po kilku miesiącach, a po latach przyznał, że była to najgłupsza rzecz w jego życiu.

By zostać rektorem, musiał zapisać się do partii, a nie zrezygnował z przynależności z obawy przed prześladowaniami. Po epizodzie rektoratu był do nazizmu nastawiony sceptycznie, widział w nim najgorsze cechy cywilizacji technicznej. Z „Czarnych zeszytów” wiemy, że oglądał na co dzień „wulgarny narodowy socjalizm” i oplakiwał upadek projektu „duchowego narodowego socjalizmu”. Nakłaniany przez nazistów do publicznych wypowiedzi rasistowskich i antysemickich konsekwentnie milczał.

Nowa wykładnia stara się dowiedzieć, że od początku wizja Hitlera była wizją Heideggera, że popierał eksterminację Żydów i że ten sposób myślenia, ukrywany, podawany w niedopowiedzeniach, był jego trwałym stanowiskiem, także po wojnie.

Zasadnicze założenie krytyków: to, co mówi Heidegger, ma drugie dno, trzeba tylko umieć czytać kontekst. Heidegger szyfruje w całości swego dzieła eksterminacyjne przesłanie. Zrezygnował z rektoratu, bo uniwersytet okazał się, jak miał powiedzieć, zbyt burżuazyjny. Co według krytyków oznacza: za mało nazistowski.

To nadinterpretacja. „Burżuazyjny” ma szerszy sens w myśli Heideggera, choćby redukcję uniwersytetu do przedsiębiorstwa. A Heidegger w 1933 r. wymyślił sobie, że będzie to wspólnota duchowego odrodzenia Niemiec, Niemcy zaś staną się narodem filozoficznym. I szybko pożałował.

Krytyka idzie dalej, stara się wywieść nazistowskie treści z samej filozofii Heideggera. By jego myśl o byciu, zapomnieniu bycia itd. okazała się źródłowo narodowosocjalistyczna. Faye nazywa Heideggera protoplastą Zagłady. Miał on mieć „zamiłowanie do morderczej przemocy”, „publicznie wzywał do polityki eksterminacji”, „do unicestwienia (...) wewnętrznego wroga”, czyli Żydów. Niestety Faye nie potrafi uzasadnić tych radykalnych tez. Wiadac w jego wypowiedzi przewagę emocji nad bezstronnością analizy.

Totalny atak na Heideggera, że był do końca swych dni kryptozwolennikiem eksterminacji Żydów, opiera się na odnośnikach bibliograficznych do „Czarnych zeszytów”, z reguły bez cytatów. Czytelnik dostaje gotowca, może tylko uwierzyć.

Jedni powiedzą, że stanowisko Faye’a to odczytanie wypowiedzi Heideggera w historycznym kontekście nazistowskiego państwa, inni, że dezinterpretacja. Jean-Luc Nancy wskazuje na wybór-chość lektury Faye’a: „w latach 35-45 Heidegger prowadził z nazizmem ciężką batalię (...). Robił to w myślach, w »Czarnych zeszytach«. (...) Pan Faye jest na to zamknięty”.

Rzuca się w oczy brak ewolucyjnego ujęcia postaci. Zamiast tego mamy archaiczną próbę uspołnienienia w jeden myślowy system (eksterministyczny) słów Heideggera od najmłodszych lat po późną starość. To klasyczne podejście doktrynerskie.

Faye nie ukrywa celu: na zawsze zmienić wizerunek Heideggera. By wypowiadanie jego nazwiska w pozytywnym kontekście, tak jak nazwiska Hitlera, uznawane było za niestosowność. To ten gatunek historyka, który nie ogranicza się do ustalania faktów, ale potrzebuje jeszcze dyscyplinować opinię publiczną.

Wypowiedzi krytyków pełne są ataków personalnych. Sidonie Kellerer zauważa, że u Heideggera możemy znaleźć te same idee co w „Mein Kampf”. Heidegger dostrzega podobieństwa Rzymu, chrześcijaństwa i żydostwa (Judentum), i tak samo Hitler. Bez wyjaśnienia sensu takiego twierdzenia. Dodajmy złośliwie: Heidegger z pewnością uważał, że Ewangelie to teksty opowiadające o Jezusie, a Hitler w pełni z tym się zgadzał.

Kellerer zgłasza do Heideggera pretensję, że świadomie używał hermetycznego języka. Nie wnikać w jego racje, przechodzi do oskarżeń o elitaryzm. Nazywa to dyskryminacją językową. Zapomina, że pierwszym oskarżonym o mętność był Heraklit, Platon pisał w „Timajosie”, że tylko niewielu potrafi iść drogą rozumu, powtarzał to później np. Tomasz z Akwinu, głoszący, że większość ludzi pozostaje na poziomie wyobrażeń, emocji, a nie rzetelnej analizy.

Dziś mówimy o kompetencji eksperta. Trop myślowy Kellerer pozwala oskarżyć przeciętnego fizyka czy matematyka, że jest nadęty, bo świadomie używa niezrozumiałego języka.

Dlaczego więc hermetyczny język u Heideggera? Przedmiotem jego namysłu jest niewypowiedzalność, bada on podstawy naszego myślenia, jego uwarunkowania, także językowe. Mamy do dyspozycji tylko język, myślimy w języku, to otwiera nowe przestrzenie, ale też zamyka inne. Jak w języku zdystansować się do języka? A dopiero dystans, jak sama nazwa wskazuje, pozwala na spojrzenie z dystansu.

Kellerer pyta: „po co używać zagadkowego języka” – jakby to była kwestia złej woli. Tymczasem nie umiemy wypowiedzieć niekiedy najprostszych rzeczy, bo nasze myślenie w toku ewolucji cywilizacji zachodniej poszło w osobliwym, wąskim kierunku, technicznym. Heidegger bada, jak do te-

go doszło. W poszukiwaniu zapomnianych sensów zwraca się ku poezji, wyglądając intuicji, które zniknęły z naszego języka, bo stał się on analityczny, pragmatyczny, na służbie skutecznego rozwiązywania problemów.

Nie sposób stworzyć lepszej karykatury myśli Heideggera niż ta, która wyszła spod pióra Faye'a i Kellerer. Ważne pojęcia jego filozofii zostają przekręcone i użyte przeciwko niemu, zinterpretowane jako kryptonazizm. Jego krytyka cywilizacji technicznej, merkantylizmu, uhandlowienia wszystkiego, zostanie przez Kellerer skojarzona z antysemityzmem, no bo kto jak nie Żydzi za tym stać mogą.

Paradoksalnie Kellerer, oskarżając o antysemityzm, powiela antysemicki schemat. Heidegger mówi o mentalności handlowej, Kellerer doszukuje się w tym kryptoantysemityzmu, bo w jej głowie budzi się antysemicki stereotyp. Wszystko jej się z jednym kojarzy. Filozofowie nazywają to myśleniem holistycznym, niepodatnym na fałsyfikację, w popkulturze mówi się o mentalności spiskowej.

Antysemicki wydźwięk niektórych wypowiedzi Heideggera dziś wśród badaczy nie budzi wątpli-

dzięki czemu może przejść do nowego etapu badań: wyjaśniania, jak było możliwe, że znaczący filozofowie, Sartre, Levinas czy Marcuse, dali się uwieść Heideggerowi. Tak działa woluntaryzm: nie pytaj mnie, jak jest, pytaj mnie, jak chcesz, żeby było.

Faye i Kellerer nie dostrzegają głębi Heideggerowskiej myśli. Są tego dwa możliwe wyjaśnienia: nie dostrzegają, bo jej tam nie ma, bądź nie dostrzegają, bo jej nie widzą, a nie widzą, bo ich to przeraża. Jest jeszcze trzecia możliwość: zła wola (łaskawie ją pominiemy).

Gdyby przyjąć pierwszą odpowiedź, można by stwierdzić: widzący głębię Heideggerowskiej filozofii dają się nabrać na tanie chwytły: wciągająca misteryjna zagadkowość, zabieg ciągłego dochodzenia do prawdy, której nigdy nie daje się zdobyć (w stylu „ja się ciągle uczę”), tak że nie da się nic ostatecznie powiedzieć i trzeba zamilknąć. No i niezrozumiałość, która jest skutecznym chwytem retorycznym, przekonującym, że jestem jeszcze za głupi, by pojąć tę najgłębszą głębię. I muszę czekać, nasłuchiwać, aż może mnie kiedyś oświeci.

Każda strona ma swoje argumenty, choć obydwie nie mogą

Heidegger mówi o swoich pracach, że są drogami, nie dziełami. Próbami myślowymi, dopuszczającymi błąd, zagubienie. Czytelnik nie powinien wypatrywać tam definitywnych rozstrzygnięć. Także w kwestiach kontrowersyjnych.

Zmianę atmosfery w książce przynosi tekst Petera Trawnego. Chce on zrekonstruować osobliwość Heideggerowskiej filozofii. Píše: „skrytość (léthe) – która nie może się nigdy ujawnić – co pozwala myśleć. To, co już zrozumiałe, blokuje namysł. To, co zostanie zrozumiane, będzie blokować namysł. Tylko niepojęte pozwala myśleć bez przeszkód”.

Oto myślenie nienastawione na osiągnięcie celów, niebędące realizacją zaplanowanego zadania owocującego prezentacją wyników. Heidegger chce innego niż planowo-techniczny sposobu bycia w języku/ w świecie. Stąd metafora błędzenia. Droga myślenia jest wydeptywaniem leśnych ścieżek, także utratą orientacji, zagubieniem.

Heidegger bawi się słowami, szuka w języku czegoś innego niż tylko przekazu informacji. Niejasność, konieczność domyslenia się może być źródłem inwencji.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wiktor Chorodczinski*

Rozstrzelanie

I mnie też rozstrzelają.

Spokojny i smutny

Przejdę przez mgławo szare podwórze więzienne.

Przed plutonem ustawię.

I równy i smukły

Szereg łuf się podniesie, celując wprost we mnie.

I przelotnie przypomni się los Gumilowa,

Twarze drogich przyjaciół gdzieś tam rozstrzelanych,

Na żołnierzy popatrzę –

Ich dziwnie surowy

I ponuro bezmyślny wzrok katów nieznanych.

I pędzących za moją przeszłością przebrzmiałą

Straszny będzie męczący ostatnich chwil bieg.

Salwy kul nie usłyszę.

I twarzą zbielałą

Nagle wtulę się w ostry

Zbroczony krwią śnieg.

przeł. Zbigniew Dmitroca



***Wiktor Chorodczinski**, 1913-37 – poeta rosyjski, syn mieniszewickiego działacza Fiodora Cederbauma. Po raz pierwszy aresztowany w wieku 12 lat w 1925 r. Skazany na trzy lata łagru. Dzięki wstawienictwu m.in. Jekatieriny Pieszkowej, pierwszej żony Maksyma Gorkiego, wyrok został skrócony do dwóch lat. Odbił go na Wyspach Sołowieckich. Aresztowany znowu w 1932 r. jako „ideolog i przywódca młodzieżowej kontrrewolucyjnej organizacji mieniszewików” został skazany na pięć lat łagru i ponownie trafił na Wyspy Sołowieckie. Rozstrzelany 5 października 1937 r. w łagrze w Czelabińsku. Zachowały się tylko trzy jego wiersze

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Krytyczka filozofa, oskarżając go o antysemityzm, powiela antysemicki schemat. On mówi o mentalności handlowej, ona doszukuje się w tym kryptoantysemityzmu

wości. Problemem jest redukcja całej jego filozofii do prostackiej idei widzenia jednego żydowskiego winnego wszystkich naszych nieszczęść. Kto chce się uczyć manipulacyjnego przekręcania cudzej myśli, niech czyta Faye'a i Kellerer.

Tischner miał powiedzieć, że wnikięcie w sens myśli jakiegokolwiek filozofa wymaga niekiedy jakby zaparcia się własnych poglądów, ich wewnętrznej zawieszenia czy odrzucenia. Émile Cioran mówił o myśleniu przeciwko sobie. Dopiero to umożliwiła pojsie za myślą drugiego w jej wewnętrznej logice i rzetelną rozmowę. Czy jednak tego chcemy w przypadku Heideggera? Może raczej okopywania się na z góry upatrzonych pozycjach?

Faye i Kellerer omijają szerokim łukiem sens myśli tego filozofa. A gdy ważkość jego pracy dostrzegają inni, choćby znamienici filozofowie francuscy drugiej połowy XX wieku, to w opinii Kellerer ulegają Heideggerowskiej manipulacji.

Argumentacja ta robi z poważnych filozofów idiotów, którzy ubzdurali sobie filozoficzną doniosłość pism Heideggera, bo nie zauważyli, że wszędzie tam, gdzie oni widzą głębię, kryje się Heidegger nazista, zwolennik rasowej czystości Niemiec. Kellerer ogłasza bankructwo myśli Heideggera,

mieć racji równocześnie. Co nam pozostaje? Predylekcje? Niekoniecznie. Utwierdzanie się pozycji wybitnego badacza to proces kulturowy, złożony i wielopokoleniowy. Filozoficznej pozycji Heideggera, tak jak choćby pozycji Einsteina w fizyce, nie sposób łatwo podważyć, skoro jest on punktem odniesienia dla tuzów XX-wiecznej myśli: Gadamera, Arendt, Derid, Foucaulta i wielu innych, u nas choćby Wodzińskiego. Mleko się rozlało.

Można by powiedzieć, że nie ma filozofii bez filozofów, jacy filozofowie, taka filozofia. A o pozycji filozofa decyduje jego oddziaływanie w historii. Tego nie da się odkręcić. Nie wymażemy Platona, Arystotelesa, Tomasza z Akwinu, Kanta, Nietzschego.

I Heidegger dziś oddziałuje, a zabiegi w stylu cancel culture mogą okazać się nieskuteczne. Czy powinno to być dla nas źródłem niepokoju? Gdyby przyjrzeć się filozoficznemu potomstwu Heideggera, niewielu tam prawicowych naziekstremistów.

Heideggerowska tęsknota za Heimatem owocuje bardziej sentymentalizmem niż neonazizmem. Heideggerowska filozofia zapytywania generuje postawy antydoktrynerskie, bo jest krytyczną teorią doktrynerstwa, paralelną do tego, co do filozofii przyrody wniósł choćby fałsyfikcjonizm Poppera.

Milosz pisał, że w poezji najbardziej przemawia to, co nie zostało powiedziane. Niedopowiedzenie wymaga odgadywania skrytych, uciekających przed wścibską gawiedzią sensów. Potrzebuje innego nastrojenia umysłu, innej otwartości. Jeśli ktoś widzi niepraktyczność tego nastawienia, ma rację.

Mamy jeszcze wielu autorów tomu. Na różne sposoby badają oni wątki filozoficzne zawarte w pismach Heideggera, także Nietzschego, Deleuze'a. Są wśród nich całkiem młodzi adepci sztuki filozoficznych i doświadczeni badacze.

Wspólnym mianownikiem niektórych z tych prac jest doświadczenie istnienia. Każdy z nas jakoś doświadcza własnego istnienia. Można o tym mówić, można pisać, biorąc pod uwagę to, jak zwykle się mówi i pisze, i zastanawiać się, czy nie umyka nam coś, gdy mówimy/myślimy o naszym własnym losie, naszym pobycie tu, na Ziemi.

Czym jest ten moment, w którym tu i teraz konfrontujemy się z otaczającym nas światem? Czy nasze rozpoznanie jest klarowne czy zamazane, trafne czy wręcz przeciwnie? Czy nasza wędrówka przez świat jest jasno wytyczoną ścieżką do upragnionego celu, czy może próbą tylko, szukaniem śladów, tropów na pustyni (Błędowskiej) życia, gdzie bynajmniej

punkt dojścia nie jest z góry wiadomy, nic nie jest dane ostatecznie, a każdy krok otwiera przed nami nową perspektywę, przesuwając horyzont. I pozwala żyć wśród feerii odmierności.

Co jest początkiem myślenia? Starożytni mówili: zdziwienie, podziw, zachwyt. Dziś jakby inaczej. Dominującym wrażeniem jest odczucie wstrętu – pisał Peter Sloterdijk w refleksji nad tym, co zdarzyło się w XX wieku.

Przeszliśmy długą drogę. ●



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

*Tadeusz Bartoś

• filozof, profesor na wydziale humanistycznym Akademii Finansów i Biznesu Vistula w Warsza-

wie. W ostatniej książce „Upadek niemożliwy” poruszył m.in. takie tematy jak polityczne i kulturowe następstwa monoteizmów, sposoby używania terminu antysemityzm, społeczne funkcje muzyki disco polo w naszym kraju



„Heidegger i metafizyka. Cezary Wodziński in memoriam II”, red. i oprac. Waleria Szydłowska-Hmissi, Wyd. IFiS PAN, Warszawa 2022.

Wbrew pozorom nie jest to problem światopoglądowy ani kwestia osobistych przekonań. Nie jest to również temat dla oldskulowych spekulacji. To zagadnienie najwyższej wagi politycznej. I bynajmniej nie dlatego, że tak wiele zależy od odpowiedzi na pytanie, czy Bóg istnieje, lecz dlatego, że wciąż żyjemy w świecie urządzonym w taki sposób, jak gdyby to w ogóle była „kwestia”, wobec czego systemy prawne i instytucjonalne powinny zachowywać w dziedzinie wiary religijnej pełną szacunku powściągliwość i neutralność. Bo przecież „nie wiadomo, jak jest” i być może siła wyższa jednak istnieje. I co wtedy? Lepiej nie okazać się wrogiem Pana Boga, gdyby akurat wyszło w końcu na to, że istnieje...

MORALNOŚĆ I WYCHOWANIE

Ta bojaźliwa powściągliwość, wsparta prawami człowieka, z wolnością słowa na czele, wolnością wyznania i sumienia, sprzyja tworzeniu w łonie nowoczesnego społeczeństwa przyczółków archaicznej religijności, skąd prowadzona jest walka o maksymalne poszerzenie pola, na którym – jak przed wiekami – rządzić będzie religia i jej prawa.

Na tej zasadzie swoją potęgę wciąż utrzymuje Kościół katolicki. Nie jest on traktowany jako jeszcze jedna anachroniczna monarchia absolutna bądź teokratyczna dyktatura, lecz jako byt polityczny, którego uprzywilejowana pozycja w świecie demokratycznym opiera się na traktowanej całkiem serio hipotezie, iż „być może Bóg istnieje”, przy czym słowo „Bóg” oznacza tu bóstwo czczone przez chrześcijan. Zarówno zwykli ludzie, jak i elity gotowi są traktować tę kwestię tak, jak gdyby miała ona naturę empiryczną, a więc była podobna do całkiem zrozumiałego na gruncie nauki pytania o istnienie życia pozaziemskiego. Niestety, Pan Bóg nie jest żadną formą życia pozaziemskiego i nie trzeba się obawiać ani tego, że zostanie „odkryty”, ani tego, że zostanie „wykluczony” jako niezwykle mało prawdopodobny. Brak rozoznania w filozoficznych zagadnieniach niezwykle sprzyja utrwaleniu postśredniowiecznych stosunków politycznych, które w wielu obszarach życia publicznego krajów Zachodu panują po dziś dzień. Dla konserwatystów jest czymś bezcennym, że tak poważne osoby jak profesorowie fizyki (nie mówiąc już o politykach) nie bardzo wiedzą, co właściwie może znać pytanie „Czy X istnieje?” ani co należy rozumieć przez słowo „Bóg”, gdy rozważa się tzw. zagadnienie istnienia Boga.

Trudno w to uwierzyć, lecz życie duchowe tzw. warstw oświeconych naprawdę niewiele się zmieniło od XVIII wieku, czyli od czasów francuskich encyklopedystów, Davida Hume’a i Immanuela Kanta. To wtedy utrwalił się znany do dziś podział ról pomiędzy naukę i religię. Pospolita racjonalność, właściwa sferze świeckiej, powie-

rzona została niepodzielnemu panowaniu nauki. Oznaczało to, że do wypowiedzania się w sprawach przyrody i w ogóle tego, co widzialne, powołani są naukowcy, a zwykli obywatele, jeśli chcieliby cieszyć się godnością ludzi rozumnych (oświeconych), powinni przyswajać sobie wiedzę naukową i do nauki się stosować w sprawach życiowych, medycznych, technicznych i gospodarczych. Natomiast sprawy wyższe, sprawy ducha, powinny należeć do instytucji religijnych. W jej pieczy powinna też pozostawać moralność (prywatna i publiczna) oraz wychowanie. Obie dziedziny – świecka i religijna – powinny wzajemnie szanować swoją autonomię i swoje prerogatywy w zakresie powierzonych sobie spraw.

zwać wiarą w Boga w ogóle – w relacji do (równie zbiorczo potraktowanego) braku wiary. To również jest koncept osiemnastowieczny, a streścić go można w formule: są różne religie, lecz Bóg jest jeden. Znaczyłyby to tyle mniej więcej, że religie różnią się jedynie sposobami oddawania czci ponadwyznaniowemu Bogu, w związku z czym należy się im wszystkim podobny szacunek w życiu publicznym i jednakowe traktowanie. Konserwatyści całego świata do dziś wyznają tę ideę, będącą udoskonaleniem siedemnastowiecznego postulatu tolerancji religijnej, czyli powstrzymywania się od przesładowań fałszywie wierzących mniejszości. W świecie urządzonym przez oświecenie nie ma już

ca się wyjaśnianiem natury poznania przyrodoznawczego i odkrywanych przez naukę regularności w obrębie badanych zjawisk? Taka nauka istnieje i ma się znakomicie, lecz profesorowie, których horyzonty wyznaczone są przez dualizm nauka – religia, zwykle nawet nie wiedzą o istnieniu takich dyscyplin jak teoria nauki i ontologia. Sądzą, że wiedza to po prostu nauki przyrodnicze, a cała reszta to kwestia wiary. Duchownym różnych wyznań ta pozytywistyczna ignorancja, a raczej zatrzymanie w rozwoju cieszących się szczególnie szacunkiem społecznym przyrodoznawców jest, rzecz jasna, na rękę. Dzięki temu w szerokich kręgach społeczeństwa utrzymuje się przekonanie, że nauka

trolują. Słowo „Bóg” nie jest bynajmniej zbiorczą nazwą obejmującą wszystkie tego rodzaju postacie; w nauce, a ściśle w religioznawstwie, taką nazwą ogólną jest raczej słowo „bóstwo”. Podobnie jak słowo „Bóg” nie jest nazwą ogólną ani nazwą jednostkową, której odpowiednikiem w innych językach czy kulturach jest „Allah” itp., taką nazwą nie jest również „Aton”, „Ahura Mazda” ani „Jahwe” – wszystkie te słowa związane są z różnymi kontekstami mitologicznymi i wszystkie te legendarne istoty mają wiele cech, które je od siebie odróżniają, jakkolwiek mają też wiele innych, które je łączą. I tak na przykład Bóg jest jednostką trzech osób, a Jahwe jest jeden w jednej osobie. Aton przejawia się

KAMUFLAŻ WIARY

To zadziwiające, że naukowcy rzeczy tajemnicze tłumaczą istnieniem jakiegoś wyższego majstra

Jan Hartman

fałszywie wierzących, bo każda wiara w jednego Boga jest jednakowo prawdziwa. Prawdziwa nie w sensie obiektywnej prawdy naukowej, lecz czegoś, co można nazwać prawdą moralną.

Jako że w tym oświeceniowym konserwatyzmie pobrzmiewa protekcjonalny ton, zakochani w średniowieczu tradycjoniści bardzo go nie lubią. Nadal jednak polubowna formuła dualistyczna trzyma się zadziwiająco dobrze, a dzieje się tak dlatego, że w umysłach ludzi wykształconych niewiele zmieniło się od XVIII w. Nadal poddają się one bez sprzeciwu dualizmowi ducha i materii, a co za tym idzie – wiary i rozumu.

To wprost zadziwiające, że współcześni naukowcy, łącznie z fizykami, dość zgodnie i raczej bezkrytycznie deklarują owo dualistyczne wyznanie metafizyczne. Jest w tym jakaś naiwność, lecz niepozabawiona pychy. Przyrodniczy myślą, że cały świat to świat fizyczny, więc jeśli są w nim jakieś rzeczy tajemnicze, jak pochodzenie praw przyrody albo inna stała Plancka, to musi być jakiś wyższy majster, który to wszystko zaplanował. A ten majster to przecież ten Bóg, o którym mówi Kościół! Naiwne jest myślenie, że całą swą cudowność i swą zmyślność przyroda musi zawdzięczać jakiejś genialnej istocie, która to wszystko wymyśliła. Naiwne i jakże zarożumiałe jest myślenie, że skoro fizyka nie wyjaśnia pochodzenia praw przyrody, to znaczy, że wyjaśniają je religia i teologia. Czyżby nie istniała dyscyplina wiedzy zajmują-

nie wyklucza, a nawet na swój sposób potwierdza istnienie inteligentnego projektu, a więc w konsekwencji – istnienie Boga. Dlatego mało kogo dziwi, że w naszej niby to racjonalnej epoce na uniwersytetach nadal wyklada się teologię. Dobrze przynajmniej, że nie astrologię!

Nie jest na rękę stronom oświeceniowej umowy o podziale kompetencji kulturowych pomiędzy rozum i wiarę, aby większa liczba ludzi orientowała się, o co chodzi w zagadnieniu istnienia Boga. I właśnie dlatego trzeba o nim pisać. Bo doprawdy niewiele jest równie upartych przesądów i sofizmów, jak wszelkiego typu dowody na istnienie Boga. Dopóki nie dezawuuujemy manipulacji i nonsensów związanych z posługiwaniem się słowem „Bóg”, dopóty archaiczny system polityczny, oparty na „rozdziale” Kościoła od państwa, czyli gwarantująca osobiwy eksterytorialny status oraz przywileje instytucji religijnych, z Kościołem katolickim na czele, będzie pokutował w świecie, a instytucje religijne będą naruszać prawa obywatelskie, narzucając państwu swoje porządki pod pretekstem, iż są one oczywiste, naturalne czy uniwersalne. Bylibyśmy znacznie bardziej odporni na tę dość niewybredną retorykę, gdybyśmy wiedzieli, co to jest „Bóg” i jego „istnienie”.

Otóż, jak wiadomo, istnieje mnogość mitycznych postaci wielkich duchów, które – zgodnie z wierzeniami ich wyznawców – stworzyły świat i w pełni go kon-

przez Słońce, Bóg przez swego Syna, a Jahwe przez Torę.

Jednakże istotniejsze są podobieństwa. Pierwsze jest takie, że każdy z tych wielkich duchów, będących postaciami z różnych mitologii, jest jedyny – jego konkurenci albo nie istnieją, albo ich imiona są innymi (być może fałszywymi) imionami tego jedyne-go prawdziwego. Wyznawca Boga powie o wyznawcy Allaha, że on nazywa słowem „Allah” Boga. Zwykle jednak będzie się wzdragał przed powiedzeniem tego samego o wyznawcy Zeusa. Prędzej już uzna, że Zeus nie istnieje (jest postacią z mitologii), w przeciwieństwie do Boga, który „istnieje naprawdę”.

Mniejsza o to, dlaczego tak jest, lecz faktem jest, że chrześcijanom jakoś jest bliżej do Arabów niż do Greków. Drugie podobieństwo polega zaś na tym, że każdy z tych duchów jest wszechmocnym i wszechwiedzącym stwórcą świata. Trzecie – że jest osobą, czyli istotą w jakiś sposób podobną do człowieka. Przede wszystkim podobną w tym, że posiada rozum i wolę. Tzw. problem istnienia Boga nie dotyczy tego, czy istnieje Bóg (bo to nie interesuje muzułmanów, hinduistów itd.), ani tego, czy istnieje Allah, Kriszna, Ahura Mazda itd. Problem dotyczy tego, czy istnieje duch, który stworzył świat mocą swojej woli i umysłu. Należy więc mówić nie tyle o problemie istnienia Boga, co istnienia Stwórcy świata.

Świat w ogóle nie musi mieć żadnej przyczyny ani racji istnienia. Z tego, że jego elementy, czyli rzeczy i zjawiska, mają przyczyny, nie wynika, że całość czy wszystko, cały byt ma jakąś przyczynę. Można jednakże utrzymywać, że świat ma rację swojego istnienia, czyli generalną przyczynę w samym sobie – sam przez się utrzymuje się w istnieniu. W jaki sposób? Nie wiadomo, ale ten sam

problem ma Bóg czy też Stwórca. Bóg, podobnie jak Allah, też ma rację bytu w samym sobie i sam, o własnych siłach utrzymuje się w istnieniu.

DOWÓD ABSOLUTU

Tak naprawdę istnieje wiele systemów metafizycznych, które nie zakładają istnienia Stwórcy. Niektóre z nich odwołują się do filozoficznej idei Absolutu – bytu doskonałego, niczym niewarunkowanego, nieskończonego i pierwotnego. Tyle że ten Absolut nie jest żadnego rodzaju obiektem, konkretną rzeczą, a tym bardziej osobą. Dlaczego? Ano dlatego, że osoba ma świadomość, a świado-

ści pomiędzy: udowodnić istnienie czegoś i udowodnić, że musimy uznawać tezę o istnieniu tego czegoś.

Przykładem pierwszego typu rozumowań są tzw. dowody Tomasza z Akwinu na istnienie Boga. Mówią one o tym, że świat nie jest konieczny i nie musi istnieć, więc ma swoją podstawę i rację bytu poza sobą – w bycie koniecznym, który w przeciwieństwie do rzeczy w świecie nie może nie istnieć, bo istnieje z mocy własnej natury. Człowiek nie musi istnieć i nie ma w naturze człowieka niczego, co wymuszałoby jego istnienie, podczas gdy istotą Boga jest właśnie to, że jest samym Bytem jako takim, czyli że jest Istnieniem. Nie chodzi przy tym o to,

wisk, a nie ich wewnętrzną naturą. A nawet wtedy, gdyby przyczynowość miała się okazać jakąś fikcją rozumu, a nie czymś obiektywnym, to jeszcze nie znaczy, że trzeba by się uciekać do bajecznej postaci wprawiającej w ruch mechanizm świata. Jak trwoga, to do Boga, ale bez przesady!

EZOTERYKA

Drugi typ rozumowań zmierza do wniosku: „musimy uznać istnienie Boga”, zakładając, że to znaczy to samo, co udowodnić istnienie Boga. Prototypem tego rozumowania jest tzw. dowód ontologiczny Anzelmą z Canterbury

doskonalszą rzecz, jaką mogę pomyśleć. No i z całą pewnością nie jest to opowieść o żadnej istocie posiadającej wolę i uczucia, wydającej rozkazy i wyroki, rozdającej łaski itp.

Osoby prowadzące spory o istnienie Boga zwykle nie zastanawiają się, co to znaczy udowodnić, że coś istnieje. Otóż znaczy to jedną z dwóch rzeczy: zaobserwować to coś lub przynajmniej zaobserwować efekty działania tego czegoś (np. nieznaną wcześniej planetę) albo w poprawny sposób skonstruować (zdefiniować) jakiś obiekt matematyczny. Bóg, Allah ani żadne inne bóstwo, by tak rzec, nie nadaje się do dowodzenia. Nie jest bowiem bytem obserwowalnym ani obiektem ma-

obiekt jest sprzeczny (np. stanowi doskonałą jedność, lecz jednocześnie jest troisty). Jeśli krasnoludki są niesprzeczne, to nie ma procedury, której wykonanie mogłoby nas upewnić, że nie istnieją. Moglibyśmy sprawdzić wszystkie kąty, ale wpierw musielibyśmy udowodnić, że nie istnieją inne kąty, których jeszcze nie znamy. Z dowodem nieistnienia Boga jest jeszcze gorzej, bo jego siedziba, czyli niebo (jest bowiem bóstwem uranicznym, podobnym do Uranosa), z zasady jest poza naszym obserwowalnym światem. Bardzo nieładnie jest wymagać niemożliwego! Na szczęście postaci takie jak Aton czy Bóg mają to do siebie, że ich charakterystyki zawierają sprzeczności. Na przykład Bóg

FOT. ALAMY / BE&W



mość z natury rzeczy jest ograniczona. Ma też wolę, a to zakłada posiadanie emocji. Osoba ma ponadto swoją biografię, wyobrażenia na swój temat, myśli i rozterki, niespełnione pragnienia i potrzeby, w ogóle mnóstwo cech, które stanowią o tym, że jest ograniczona i słaba. Nie, zdecydowanie Absolut nie jest osobą, choć tak wielu filozofów usiłowało przekonać władze religijne swoich państw czy społeczności, że gdy mówią o Absolutie i nazywają go Bogiem (bądź odpowiednio: Haszem albo Allahem), to ma to coś wspólnego z wiarą. Niestety, to tylko kamuflaż.

Wszystkie tzw. dowody na istnienie Boga odnoszą się nie do żadnej osoby, lecz do Absolutu. Wyjątkiem są co najwyżej anegdotyczne argumenty w rodzaju piękna zachodu słońca albo moralnej wzniosłości ludzkich czynków i charakterów. Poważne rozumowania są dwojakiego rodzaju i żadne z nich nie mówi o osobie Stwórcy, a tym bardziej o jej konkretnym wariancie zwanym Bogiem. Jedne odwołują się do pojęcia racji i pojęcia konieczności, inne zaś do rzekomej równoważno-

że tworzymy sobie pojęcie bytu koniecznego i oświadczamy, że zgodnie z jego definicją musi on istnieć i kto mówi, że nie istnieje, ten nie zna definicji. Chodzi o to, że skoro świat nie musi istnieć, a istnieje, to jest coś koniecznego i pozaświatowego, dzięki czemu ten świat jednak istnieje. Niestety, w odniesieniu do Boga, Zeusa i innych tego rodzaju postulowanych bytów to nieprawda. Istnienie wiecznego osobowego Stwórcy wcale nie jest mniej dziwaczne niż istnienie przypadkowego, pozabawionego przypadkowej racji świata; kto się dziwi, że istnieje świat, powinien tak samo się dziwić istnieniu Boga. Popularne „no przecież ktoś musiał ten świat stworzyć” odnosi się również do Zeusa i innych: skąd się taki wziął?

To samo dotyczy się pozostałych argumentów Tomasza – one też są wadliwe. Powiada on na przykład, że skoro wszystko ma swoją przyczynę, a więc i każda przyczyna musi mieć przyczynę i tak w nieskończoność, to musi istnieć Przyczyna Pierwsza. Niestety, nie musi. Przyczynowość może być lokalna albo być tylko środkiem wyjaśniania zja-

Osoby prowadzące spory o istnienie Boga zwykle nie zastanawiają się, co to znaczy udowodnić, że coś istnieje

z XII w., pół tysiąca lat później na nowo wymyślony przez Kartezjusza. W skrócie chodzi o to, że jeśli Bóg jest najdoskonalszym bytem, to muszę myśleć o nim jako istniejącym, bo w przeciwnym razie, to znaczy, myśląc o nim jako czymś jedynie wyobrażonym czy domniemanym, wciąż mógłbym pomyśleć coś doskonalszego – mianowicie pomyśleć go jako istniejącego. Niestety, ta sztuczka nie działa, bo jest to opowieść nie o Stwórcy, lecz o tym, jak być spójnym i konsekwentnym, gdy założysz się, że jest coś takiego jak naj-

tematycznym. Wobec warunków znaczeniowych stawianych słowu „Bóg” z góry wykluczony jest jakikolwiek dowód istnienia. Próżne debaty!

Dyskutanci deklarujący się jako wierzący mają też skłonność do stawiania żądania, aby dowodzić nieistnienia Boga. Otóż obowiązek dowodzenia spoczywa wyłącznie na kimś, kto postuluje istnienie czegoś, czego nie znajdujemy w doświadczeniu. Poza tym nie można dowieść nieistnienia cokolwiek, chyba że w trywialnym sensie wykazania, że postulowany

jest doskonały i zdolny do cierpienia. Jest prosty, lecz troisty, niematerialny, lecz posiada ciało. W tym akurat przypadku nie mamy więc kłopotu ani pola do dyskusji. Bóg nie istnieje – chyba że jako bohater legend opowiadanych w kościołach i na lekcjach religii.

Wszystko to jednak jest swego rodzaju wiedza ezoteryczna. Życie publiczne opiera się na prostych obrazach i emocjach. Sprawa jest zupełnie trywialna: ludzie boją się siły wyższej, a jednocześnie mają nadzieję, że siła wyższa przysporzy im powodzenia. Człowiek nie jest tak bardzo wyrafinowany, jak to lubi o sobie myśleć. Dlatego mieszanina baśni i sofizmów, którą jest publiczny dyskurs o Bogu czy Allahu, może przez całe stulecia służyć za polityczny smar, dzięki któremu wciąż jeszcze działają niektóre mechanizmy ancien régime'u. ●

Całkiem możliwe, że gdy wojna w Ukrainie się zakończy, to Ukraińcy będą o wiele bardziej religijni.

Z **ROBINEM DUNBAREM***, BRYTYJSKIM ANTROPOLOGIEM, ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

Czy każdy z nas posiada predyspozycje do bycia religijnym?

– Istnieje naturalna predyspozycja do wiary w to, że jakieś siły determinują sposób funkcjonowania świata. Wynika to z naszej zdolności do radzenia sobie ze złożonymi stanami mentalnymi innych ludzi. Innymi słowy, nasz świat społeczny jest tak głęboko zakorzeniony w zdolności rozumienia umysłów innych ludzi, że nie moglibyśmy funkcjonować w tak złożonych światach bez możliwości angażowania się w bardzo wyrafinowane formy poznania społecznego. Np. jeśli słyszemy dźwięk w lesie lub cokolwiek innego, czego nie można bezpośrednio wyjaśnić, zakładamy, że musi istnieć jakieś wyjaśnienie. Jeśli coś wydarza się w świecie, zwykle wynika to z aktywności ludzi. Dochodzimy do wniosku, że wszystko, co w nim zachodzi, jest konsekwencją działań ludzi. Stąd już tylko mały krok dzieli nas od przypuszczenia, że istnieją duchy i świat duchów, które są w zasadzie ludźmi i wpływają na wydarzenia dziejące się na świecie. Tak funkcjonują społeczności łowiecko-zbierackie. Tak naprawdę nie dokonują rozróżnienia między światem fizycznym a światem ludzkim, wierzą więc w duchy drzewa, rzeki itd. Ludzki umysł predysponuje nas do wiary w jakiś rodzaj świata duchów. Czy ten świat naprawdę istnieje, to już zupełnie inna sprawa.

Tylko jak zdefiniować samą religię?

– To trudne – spierają się o to archeolodzy, historycy i socjologowie. Osobiście przyjmuję stanowisko filozoficzne. To bardzo wygodny sposób radzenia sobie z problematycznymi zjawiskami. Gdy coś jest bardzo skomplikowane, wymagamy jedynie, aby niektóre, ale nie wszystkie elementy definicji były spełnione. Możemy więc być bardziej elastyczni.

Myślę, że naukowcy mają tendencję do przyjmowania takiego stanowiska, ponieważ nie zawsze wierzą, że całkowicie rozumieją zjawisko, które badają. Wołają przyjąć definicję, która pomaga posunąć się nieco dalej, nawet jeśli okaże się, że trzeba ją później, gdy już dokładniej zbadamy zjawisko, poprawić. Myślę, że to właściwe podejście. W przeciwnym razie wpadamy w pułapkę definiowania, która nie prowadzi do zrozumienia.

W książce „Religijni: jak ewolucja wierzeń wpływa na historię i kulturę człowieka” duży nacisk kładzie pan na stan mistyczny. Czym on jest?

– Myślę, że stan mistyczny stanowi rdzeń religii. Chodzi tu o wiarę w pewne siły. Niezależnie od tego, czy nazwiesz je duchami, bogiem, czy siłami wszechświata. Ważne, że wierzysz, iż istnieje coś poza ludźmi i siłami fizycznymi, które kontrolują Wszechświat, w którym żyjemy. Coś, co może wpływać na przyszłość. To bardzo charakterystyczne dla religii tradycyjnych społeczności łowiecko-zbierackich, które nie mają bogów, ale zazwyczaj posiadają coś w rodzaju duchów, np. drzew czy rzek. Takie religie mają znacznie mniej precyzyjne poczucie, że istnieje coś, co kontroluje świat, coś, do czego się modlimy, wchodzimy jednak w trans i przechodzimy do świata duchów. Możemy przekonać te siły, w tym przypadku bardzo często naszych przodków, którzy żyją w świecie duchów, aby nam pomogły. W książce bronię tezy, że takie myślenie nie znikło.

W przypadku tego rodzaju religii ludzie są otoczeni przez różnego rodzaju drzewa, rzeki czy źródła lub wulkany, które mogą wpływać na świat. Zjawisko wciąż trwa, po-

mimo pojawienia się znacznie później religii doktrynalnych wyznających wiele różnych rodzajów bogów, którym trzeba składać ofiary.

Poza tym jest obecne w religiach wieku osiowego, które kojarzymy ze wszystkimi współczesnymi religiami – jak chrześcijaństwo i buddyzm. Możesz to dostrzec w Kościele katolickim. Modlimy się do świętych, składamy datki, by wpłynąć na rzeczywistość. Z jednej strony mamy postacie teologów i filozofów czy ojców Kościoła, którzy są intelektualistami i wielkimi myślicielami. To trudne zagadnienia dla przeciętnego wyznawcy, ale jeśli zamienisz je w kult świętych, uproszczoną teologię czy tajemnicę mszy, to będzie to bardziej przystępne. Tak jest we wszystkich religiach, nawet w przypadku buddyzmu, który tak naprawdę jest w pewnym sensie filozofią, a nie religią. To zbyt ezoteryczne i wyrafinowane dla zwykłego wyznawcy, z czego myśliciele budyjscy bardzo wcześnie zdali sobie sprawę. Potrzebna okazała się pomoc w postaci idoli czy bóstw.

Myślę, że każda religia, która pozbyłaby się tych zjawisk, bardzo szybko przestałaby być religią, która przyciąga wyznawców.

To łączy obecne już w paleolicie religie szamanistyczne ze współczesnymi, monoteistycznymi? Czujemy się podobnie?

– Na poziomie psychologicznym oraz biologicznym czujemy się tak samo w Kościele katolickim jak wtedy, kiedy praktykowa-

liśmy animizm i rytuały. To to samo uczucie. Myślę, że można je dostrzec również w czymś, co trudno uznać za religie, jak trwające do dziś ruchy New Age z lat sześćdziesiątych w rodzaju wiary w hipotezę Gai rodem z epoki hippisowskiej.

Nawet na poziomie aktywności naszego mózgu możemy dostrzec podobieństwa.

– Myślę, że są to po prostu naturalne skutki sposobu, w jaki ludzki umysł został zaprojektowany do radzenia sobie ze światem, w którym żyjemy. Świat społeczny, w którym żyjemy, jest o wiele bardziej złożony niż cokolwiek innego we Wszechświecie i o wiele bardziej złożony niż jakiekolwiek inne społeczeństwo jakiegokolwiek innego gatunku zwierząt.

To rodzaj przypadkowego produktu ubocznego ewolucji. Okazało się, że można go wykorzystać do stworzenia religii, która ma zalety zarówno psychologiczne, jak i społeczne.

Dlatego tak wiele rytuałów religijnych korzysta z substancji psychoaktywnych? Aby wzmocnić stan mistyczny?

– Tak, do tego wykorzystują zachowania, które wyzwalają substancje obecne w mózgu. Endorfiny, ale również dopaminę, która odgrywa ważną rolę w religijności. Moje obserwacje wskazują, że ludzie nie przyłączają się do religii z powodów intelektualnych. Nie przekonasz mnie, stojąc z Biblią w centrum Warszawy i podając argumenty. Przekonu-

ją emocjonalne argumenty, te same, które leżą u podstaw systemu, odpowiadające za wchodzenie w trans. To ważne również w religiach społeczeństw łowiecko-zbierackich. Podobnie jeśli jako władca spróbujemy narzucić religię siłą, ta nie zyska wielu wyznawców.

Religia przetrwała wiele ataków w historii. Za każdym razem odradzała się na nowo. Co nam to mówi o ludzkiej naturze?

– Zaskakujący jest sposób, w jaki przetrwała. Myślę, że po prostu wracamy do tego, że religia niesie pocieszenie. Przypuszczam, że można powiedzieć, że Marks miał rację, nawet jeśli mylił się we wszystkim innym. Miał rację, że religia to „opium ludu”. Zapewnia ludziom pocieszenie, zwłaszcza kiedy ich życie nie jest dobre, a pełne biedy, ucisku i chorób. Wiele religii powstało w takich okolicznościach – chrześcijaństwo było początkowo zwalczane, a judaizm pojawia się w kontekście zniewolenia narodu żydowskiego przez Egipcjan.

Można by oczekiwać wylonienia się jednej religii. Tymczasem nie tylko mamy ich wiele, ale też dominujące religie tworzą odłamy. Dlaczego?

– Myślę, że wiąże się to z samymi początkami religii, kiedy ta istniała na niewielką skalę. Nawet później, gdy pojawiły się duże religie, w tym, co zawsze określa się jako małżeństwo tronu i ołtarza, kiedy zaczęliśmy mieszkać w wioskach, potem w miastach i dużych państwach, religia była częścią mieszkanki, która tworzyła czynnik przynależności do dużych grup społecznych. Jednak prawdziwe, oparte na emocjach, nie intelektualne korzenie religii wciąż w nas tkwią. Nieustannie wypływają spod powierzchni.

Widać to we wszystkich dzisiejszych wielkich religiach. Każda z nich ma kłopoty z charyzmatycznymi sektami, zwykle skoncentrowanymi wokół jednego lidera. Czasami takie próby są bardzo udane i przynoszą nowe religie. Tak było w przypadku chrześcijaństwa i islamu. Jeśli spojrzysz na historię chrześcijaństwa, to było nieustannie rozdzielane przez sekty, nawet przed na-



Ludzie nie przyłączają się do religii z powodów intelektualnych. **Przekonują ich emocjonalne argumenty**

FOT. SHUTTERSTOCK

ENDORFINY



staniem reformacji i protestantyzmu. Już na samym początku chrześcijaństwa po śmierci Chrystusa istniało więcej odłamów chrześcijaństwa rozproszonych po całym basenie Morza Śródziemnego niż prawdopodobnie kiedykolwiek wcześniej. Wszystkie wczesne sobory kościelne polegały na próbach zdecydowania, kto jest heretykiem, a kto nie. Wczesne sobory były zwoływane w celu zdelegalizowania grupy uważanej za heretycką.

Sekty często tworzyły przyciągający rodzaj mistycyzmu, bardzo angażujący emocjonalnie. Tak było w przypadku wielu sekt protestanckich, do których przyłączali się szlachetni i dobrzy obywatele. Wiesz, to po prostu bardzo atrakcyjne i o wiele bardziej osobiste. To mała grupa ludzi, ze znanym liderem, bez księży i ludzi, którzy stoją pomiędzy tobą a prawdą. W tym sensie możesz mieć bezpośredni dostęp do prawdy, co czyni ruch bardziej dostępnym psychologicznie. Przypomina to ewolucję języka i skłonność do tworzenia dialektów.

Tylko dlaczego niektóre ruchy religijne wymierają, a inne trwają?

– Nie sądzę, aby ktokolwiek w pełni rozumiał, dlaczego tak się dzieje. Często wydaje się to niemal przypadkowe. Istnieje jednak pewna wskazówka – dotyczy rodzaju kultów, które zaczynają się od pojedynczej postaci charyzmatycznego lidera, który wierzy, że w jakiś sposób odkrył prawdę o Wszechświecie. Jeśli takie kultury nie stworzą pewnego rodzaju biurokracji i systemu zarządzania, tak aby powiększyć rozmiar społeczności, wówczas istnieje bardzo duże ryzyko rozpadu. Zwłaszcza po śmierci przywódcy takie kultury całkowicie rozpadają się w ciągu kilku dekad lat, a czasami zaledwie kilku lat.

Wiele ze swoich prac poświęcił pan liczebności grup społecznych. W jaki sposób przekłada się to na wielkość wspólnot religijnych?

– Idealna wielkość wynosi około 150 wyznawców, co odpowiada optymalnej wielkości grupy społecznej ludzi, ich osobistej sieci społecznej. To konsekwencja tego, że je-

śli Kościół staje się zbyt mały, staje się zbyt kosztowny dla jego członków. Musząłożyć zbyt wiele na jego utrzymanie. W przypadku znacznie większych zgromadzeń, przekraczających 150 członków, ludzie mają tendencję do odczuwania mniejszej przynależności, a księża nie zapewniają tego rodzaju wsparcia, którego wierni potrzebują. Księża zwyczajnie nie mają na to czasu.

To, że Kościoły lub kongregacje tej wielkości są bardzo powszechne, nie oznacza, że nie mogą istnieć większe. Czy muszą wtedy ulec podziałom? Wydaje się to regułą. Zwrócono mi na to uwagę, gdy byłem na konferencji w Watykanie. Wygłosiłem wykład na temat optymalnej wielkości grup społecznych, mówiąc, mimo braku dowodów, że to prawdopodobnie optymalna wielkość zgromadzenia. Kiedy usiadłem, za mną było kilku księży. Jeden z nich klepnął mnie w ramię i powiedział, że jest proboszczem z parafii w Anglii, a liczba 150 wydaje mu się idealna. Jego parafia liczy 500 osób i odprawia trzy msze w niedzielę. Na każdą mszę przypada ok. 150 osób.

W przypadku rozwijających się parafii, gdy przybywa coraz więcej ludzi, to masz wybór – możesz albo podzielić parafię i wybudować nowy kościół oraz pozwolić wier-nym podzielić się między nowym a starym kościołem, albo wprowadzić jakiś rodzaj hierarchii czy struktury, która dzieli podgrupę, a każda posiada księdza pozwalającego im poczuć, że są wspólnotą.

Może to jedna z przyczyn odchodzenia od religii w krajach zachodnich? Wspólnoty stały się anonimowe.

– Tak, to całkiem możliwe. Jednak interesujący jest wzrost świeckich ruchów religijnych, takich jak Sunday Assembly. W ich przypadku mamy wszystkie rodzaje aktywności, które są obecne w niedzielę w kościołach. Gromadzą się wspólnie, odprawiają jakiś rodzaj nabożeństwa, ale pozbawiony treści religijnych, śpiewają. Ktoś czyta jakąś podnoszącą na duchu historię, ktoś inny głosi kazanie o własnych doświadczeniach. Prowadzone są zbiórki na cele charytatywne, czasem jedzą wspólnie posiłki. Wydaje

Najlepszym pojedynczym wskaźnikiem zdrowia psychicznego jest liczba i jakość bliskich przyjaciół

się, że to konsekwencja poszukiwania pewnego rodzaju znaczenia opartego na społeczności, które utracili z chwilą, gdy stali się ateistami. Ludzie czują, że tęsknią za czymś, czego doświadczyli w dzieciństwie, w którym obecne były niedzielne nabożeństwa.

Czyli religia jest korzystna dla jednostek. Jakie korzyści z niej czerpiemy?

– W przypadku religii ludzie podejmują działania, które wiążą się z kosztami. Łożą dużo pieniędzy na Kościół, czasem poświęcają życie, są altruistyczni na różne sposoby, karzą się, poszczą. Robią to wyznawcy wielu religii, a wśród ewolucjonistów długo pokutowało przekonanie, że nie wiąże się to z żadnymi korzyściami.

Tymczasem istnieją wyraźne korzyści z religijności. Po pierwsze, religia sprawia, że czujesz się częścią społeczności, i to, jak sądzę, stanowi jej pierwotną funkcję. Liczba członków społeczności, której ufasz i do której czujesz przynależność, wzrasta wraz z częstotliwością uczęszczania na nabożeństwa. Im częściej chodzisz na nabożeństwa, tym większa grupa ludzi, którzy pomogą ci, gdy będziesz tego potrzebować.

Po drugie, istnieje zaskakująco dużo korzyści zdrowotnych. Ludzie, którzy są religijni, rzadziej chorują i, mimo że nie zawsze, są szczęśliwsi niż przeciętnie. Przypuszczam, że warto spojrzeć na postać św. Teresy z Lisieux. Może się wydawać, że wiodła bardzo nieszczęśliwe życie, ale była bardzo szczęśliwa. To druga najpopularniejsza święta po

św. Franciszku z Asyżu, który również był szczęśliwy, żyjąc w ubóstwie.

Myślę, że nietrudno to zrozumieć, gdy zdamy sobie sprawę, że te procesy, które są zaangażowane w religię, to również te, których używamy do tworzenia przyjaźni i świeckich społeczności. Wszystkie one są skoncentrowane wokół endorfin, które religia wydaje się bardzo skutecznie aktywować.

Poczucie przynależności do społeczności w pewnym sensie jest naprawdę ważne w utrzymaniu zdrowia fizycznego. Natrafiamy również na ogromną liczbę dowodów z całego świata, które wskazują, że najlepszym pojedynczym wskaźnikiem zdrowia psychicznego jest po prostu liczba i jakość bliskich przyjaciół, jakich posiadasz. Jeśli wierzysz wszystkim członkom twojego zgromadzenia, którzy chodzą na mszę, na której pojawiaasz się co tydzień, znasz ich. Wszyscy są twoimi dobrymi przyjaciółmi. Jesteś w bardzo dobrej formie, bo to wzmacnia twój układ odpornościowy.

Możemy odnaleźć również korzyści na poziomie całego społeczeństwa?

– Rozszerzenie elementów obecnych w religii na dużą liczbę nieznajomych służy budowaniu przyjaźni i lokalnej społeczności. Mam na myśli śpiewanie, taniec, które doskonale sprawdzają się w łączeniu nieznajomych. Jednak religia wydaje się szczególnie skuteczna w sposobie, w jaki może łączyć dużą liczbę zupełnie obcych osób.

Częściowo jest tak dlatego, że religia stanowi jeden z tzw. siedmiu filarów przyjaźni, które mają duży wpływ na to, kogo wybieramy na przyjaciela. Należą do nich m.in. miejsce pochodzenia, poglądy polityczne czy moralność. Siedem filarów to przekonania, które w pewnym sensie definiują spo-

łeczność, do której należymy. Przekonania religijne i przekonania moralne są ze sobą oczywiście ściśle powiązane. Dlatego jest o wiele bardziej prawdopodobne, że nawiążesz przyjaźń lub zawrzesz związek małżeński z kimś, kto ma takie same przekonania religijne, ponieważ należy do tej samej społeczności.

Trudno wyobrazić sobie religię bez rytuałów – w swojej książce twierdzi pan, że są podobne do śpiewu, śmiechu czy tańca.

– Wszystkie rytuały we wszystkich religiach na całym świecie mają zbliżony rodzaj zachowań, które oczywiście różnią się nieco pod względem znaczenia, ale są zasadniczo zbliżone. Zawwyczaj obejmują śpiew, od czasu do czasu taniec lub śmiech, wspólne posiłki w jakiejś formie. Niezależnie od tego, czy jest to komunია w Kościele katolickim, czy prawdziwy posiłek jak w przypadku sikhizmu. W dużych religiach obserwujemy opowiadanie historii o założycielu czy w przypadku chrześcijaństwa poświęceniu skazanego na śmierć. Wszystkie te rzeczy wydają się bardzo ważne dla więzi i emocjonalnego efektu religii oraz jej zdolności do tworzenia poczucia przynależności.

Niektórzy nie lubią pewnych elementów. W skrajnych Kościołach protestanckich nabożeństwa nie mają muzyki, z wyjątkiem śpiewania psalmów w języku gaelickim. To niezwykle występy, które są bardzo emocjonalnymi formami prostej muzyki, ale tylko taka jest dozwolona. Do tego niezwykle wygodne pozycje, takie jak klęczenie czy długotrwałe

stanie w synchronizacji z innymi, wyzwala ją endorfiny i sprawiają, że odczuwasz przynależność.

Czy osoby niewierzące również odniosłyby korzyści z uczestnictwa w rytuałach i praktykach religijnych?

– Tak, ale prawdopodobnie nie w takim stopniu jak wierzący. Mamy na to pewne dowody płynące z naszych eksperymentów przeprowadzonych w grupie praktykującej jogę. W różnych grupach prowadząca wyjaśniała teorię stojącą za praktyką jogi w kategoriach filozofii i teologii, a w innych wyłącznie w kategoriach fizjologii.

Ludzie, którzy otrzymali wyjaśnienie religijne, odnieśli więcej korzyści, więc mimo że uzyskuje się te same efekty, to nie są one tak silne, jeśli udział ma wyłącznie świecki charakter.

Dlaczego tak się dzieje, to kolejne pytanie. Nie mamy pojęcia. Prawdopodobnie ma to coś wspólnego ze zwiększonym wydzielaniem endorfin. Podobnie dzieje się w przypadku wielu aktywności wykonywanych synchronicznie, np. joggingu.

Wiemy, że neandertalczyki wykorzystywali mowę. Czy tylko *Homo sapiens* wykształcił religię?

– Możemy przeprowadzić ten sam rodzaj analizy opartej na wielkości grup społecznych i wielkości mózgu u różnych wymarłych gatunków człowieka, a to sugeruje, że archaiczni ludzie, neandertalczyki, denisowianie czy *Homo heidelbergensis*, nie posiadali zdolności umysłowych do zarządzania wysokimi poziomami mentalizowania, zdolności rozumienia błędów umysłowych innych ludzi. W konsekwencji ich religie byłyby prostsze. To sugeruje, że rodzaj prawdziwie nowoczesnego języka i rodzaju religii nie rozwinął się przed pojawieniem się człowieka anatomicznie współczesnego ok. 200-250 tys. lat temu. Współczesne religie są z pewnością bardzo niedawne i nie mogą być starsze niż około połowy miliona lat. Nie sądzę, aby wcześniejsze gatunki z linii *Homo* miały zdolności umysłowe lub potrzebę posiadania religii. Nie żyły również w odpowiednio dużych grupach, które wymagałyby takiego mechanizmu tworzenia więzi.

Jakie cechy umożliwiły *Homo sapiens* utworzenie religii?

– Myślę, że kluczem do tego jest zdolność do mentalizowania, jaką posiadamy. Mają je wszystkie naczelne, ale ludzie są pod tym względem znacznie lepsi.

Skala mentalizowania biegnie od jednego do pięciu. To prosta skala, w której małpy mogą osiągnąć poziom pierwszy, a czasem

drugi, ale dorośli ludzie osiągają poziom piąty, co jest o wiele bardziej wyrafinowane i wymagające. W skrócie – większość z nas może uporać się z następującym zdaniem: „Jestem przekonany (1), że ty chcesz (2), bym ja sądził (3), że ty nie wiesz (4), że ja wiem (5)”. Wydaje się, że nasi przodkowie nie mieli wystarczająco dużego mózgu, aby pozwolić sobie na osiągnięcie takiego poziomu.

Zdolność do mentalizowania nie ogranicza się do tworzenia wyjaśnień religijnych, ale również tworzenia kultury. Dlatego jakosć opowiadanych historii i żartów również od niej zależy. Wygląda na to, że wymarłe gatunki ludzi, jak neandertalczyki, mogły opowiadać historie i dowcipy, ale nie były to tak dobre historie i dowcipy jak w naszym przypadku. Bardziej przypominały dowcipy 12- i 13-letnich dzieci.

Na początku wywiadu rozmawialiśmy o dwóch rodzajach religii: pierwszych szamanistycznych i dzisiejszych doktrynalnych. Czy możemy znaleźć jakieś czynniki, które wpłynęły na tę zmianę?

– Myślę, że była to prosta konsekwencja wzrostu wielkości społeczeństw, które musiały tworzyć więzi. Społeczeństwa, które są rozproszone na dużym obszarze, nie żyją wspólnie. Wspólne życie wymaga natomiast zmniejszania stresu, z którym borykają się wszystkie ssaki, gdy żyją w tym samym miejscu. Radzą sobie z tym poprzez dzielenie grupy czy wioski na mniejsze i przemieszczanie się. Zaczęliśmy żyć wspólnie w stałych osadach ok. 8 tysięcy lat temu, w czasach neolitu, prawdopodobnie z powodu zagrożenia najazdem ze strony innych grup żyjących na tym samym obszarze. Spowodowało to, że ludzie musieli żyć razem w osadach, które były łatwiejsze do obrony.

Ludzie byli jednak tak zestresowani zachowaniem innych członków społeczności, że potrzebny był sposób, aby temu zapobiec. Można to zaobserwować na przykładzie niewielkich społeczności, które żyją współcześnie. Różnice między tymi, które polują razem i żyją w rozproszeniu, a rolnikami żyjącymi w małych wioskach to posiadanie mechanizmów kontrolowania przemocy, która wydaje się łatwo wybuchać w niewielkich społecznościach.

Można to prześledzić na przykładzie plemion Indian z Wielkich Równin. Czejenowie czy Siuksowie przez większość roku żyli jako łowcy-zbieracze w małych grupach liczących około 50 osób, ale raz w roku, przez miesiąc, w czasie sezonu polowań na bizony zbierali się w dużych osadach liczących nawet tysiąc osób. Musieli zmienić strukturę społeczną, mieć wodza wybieranego przez radę, a także siły policyjne do tu-

mienia przemocy, która zwykle wybuchała w grupie młodych mężczyzn. Posiadali tipi pokoju, gdzie zabierano młodych mężczyzn, jeśli obawiano się, że skończy się to walką i zabijaniem, a cała wioska siedziała na zewnątrz. Młodzi mężczyźni po klótni palili razem fajkę pokoju, która miała właściwości psychoaktywne, ale również musieli ze sobą rozmawiać i wykonać rytuały wspólnie, co skutecznie łagodziło spory. Interesujące jest to, jak plemiona potrafiły „przełączyć się” między rozproszonym a osiadłym trybem życia.

Rozwiązywanie napięć wynika z wpływów kultury, a nie genów. Możemy je wprowadzić, kiedy tego potrzebujemy, i wydaje się, że jesteśmy w tym całkiem dobrzy. Religia pomaga społeczności zapobiegać eksplozji napięć i przekształcaniu ich w otwartą przemoc i wojnę. W tym sensie możemy powiedzieć, że nie byłoby współczesnych państw w dzisiejszym kształcie bez religii.

W jaki sposób rodzaj wierzeń religijnych wiąże się z wielkością społeczności?

Naprawdę nie byłoby współczesnych państw, gdyby nie religia?

– Myślę, że jeśli chodzi o powstanie państw – to tak. Mam na myśli, że możemy obecnie obyć się bez religii, mamy przecież świeckie regulacje, aby zarządzać napięciami, siły policyjne i prawa, które mówią, że nie wolno okradać ludzi, nie wolno mordować innych, mamy więzienia, w których można osadzać ludzi, gdy nie przestrzegają tych zasad. Ale wydaje się, że jeśli dodamy do tego element religijny, całość funkcjonuje znacznie lepiej.

Laicyzacja Zachodu jest więc ewenementem? Religia nie zniknie z naszego życia?

– Tak, myślę, że wielu ludzi chciałoby, aby tak się nie stało. Jednak wydaje mi się, że zależy to w dużej mierze od dwóch rzeczy. Po pierwsze, u niektórych ludzi doświadczenie religijne jest niezwykle silne. Zdarza się więc, że mają pewne doświadczenie jak Maryja Dziewica, która ukazuje im się w wizjach. Często jest to wywołane przez stres fizyczny, wyczerpanie czy strach. Pomyśl o tym, jak często w średniowieczu jakiś święty zjawiał się z armią i pomagał wygrać z wrogiem. Oczywiście wszyscy to widzieli, ale każdy był przerażony i przestraszony. To sprawia, że stajemy się bardziej podatni.

Jest kilka badań sugerujących, że ludzie, którzy brali udział w wojnach lub ich doświadczyli, stają się bardziej podatni na wiarę religijną. Doświadczenie wojny dość istotnie wzmacnia religijność. Jeśli miałbym tworzyć przewidywania, to całkiem możliwe, że gdy wojna w Ukrainie się zakończy, Ukraińcy będą o wiele bardziej religijni.

Bardzo interesujące jest to, że nawet w pełni świeckich krajach sięga się po tarczę czy odwiedza wróżki. Według mnie nie ma różnicy między tym a religią.

– W pełni się zgadzam. To powrót do tego bardzo prymitywnego elementu wiary w rodzaj jakiegoś świata duchów, który może w jakiś sposób zmienić świat, w którym żyjemy. Naszym największym strachem jest niemożliwość kontrolowania świata i zostanie przytłoczonym przez siły zła. ●

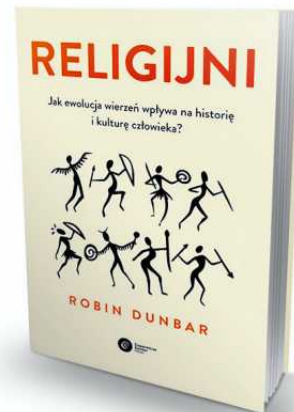


FOT. WIKIPEDIA

*Robin Dunbar

• brytyjski antropolog, profesor psychologii ewolucyjnej uniwersytetu oksfordzkiego. Słynie z teorii dotyczącej maksymalnej liczby stabilnych relacji międzyludzkich jednej osoby, czyli tzw. liczby Dunbara. Autor wielu książek, m.in. „Człowiek. Biografia” (CCPress, 2016), „Ilu przyjaciół potrzebuje człowiek?” (CCPress, 2019), „Przyjaciele” (CCPress, 2021).

Nowa książka Robina Dunbara, **„Religijni: jak ewolucja wierzeń wpływa na historię i kulturę człowieka”** w przekładzie Kaspri Kalinowskiego już w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



Inteligentna i trzymająca w napięciu historia, pełna zwrotów akcji, których nie da się przewidzieć
— KARIN SLAUGHTER

BŁYSKI
W
MROKU
Thriller
STACY WILLINGHAM

BESTSELLEROWY THRILLER PSYCHOLOGICZNY

DWIE NOMINACJE DO **GOODREADS CHOICE AWARDS 2022**

NAJLEPSZY THRILLER ROKU I NAJLEPSZY DEBIUT POWIEŚCIOWY

CZY MÓJ OJCIEC JEST MORDERCĄ?

Trauma, która powraca po latach.
Sekrety, które mogą zniszczyć życie.

Chloe jako dziecko odkryła, że jej ojciec jest seryjnym mordercą. Po 20 latach od zabójstw sześciu młodych dziewczyn, po tym jak Chloe prawie ułożyła sobie życie i karierę psychoterapeutki, niespodziewanie ginie jej pacjentka. Sprawa wygląda podobnie jak morderstwa sprzed lat. Czy Chloe poradzi sobie z traumami z przeszłości, które ciągle w sobie nosi?

PEŁNĄ GĘBĄ

TRZY KLEJNOTY JAKO GRA WSTĘPNA

Przychodząc tu, oddajesz się całkowicie w ręce szefa i nie masz nic do gadania w kwestii menu. Albo jesz całe, albo zapraszamy do Sphinksa.

Maciej Nowak

Oto znów ojczyznę naszą od szyderców udręczoną, gdzie kruszynę chleba podnoszą przez uszanowanie, spotkał akt dziejowej sprawiedliwości. Zamiast nieco już przeterminowanej betlejemki i zupełnie anachronicznej czerwonej i pięcioramiennej opromieniły nas gwiazdki Michelin. Dziś polska klasa średnia podąża szlakiem znaków na nieboskłonie, objawiających się ponad restauracjami, do których zaprasza francuski ludzik oponka. Co tam skok Lecha Wałęsy przez płot gdańskiej stoczni, co tam 225 metrów Adama Małysza w Planicy! Noble Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej i Olgi Tokarczuk też jakby przybladły! Polacy nie gęsi i swe gwiazdki mają – czy nie tak wieszczył klasyk? Dostać się tu jest przywilejem, wyróżnieniem społecznym i towarzyskim, pierwszym krokiem do wpisania się na łamy Almanachu Gotajskiego. Pospolity Nowak nabiera tu blasku. Szczupleje, a jego spojrzenie nabiera przenikliwości bywalca i znawcy. Dlatego dziś zapraszam do poznańskiej Mugi.

Miałem z tym lokalem ciekawą przygodę, gdy osiem lat temu rozpoczynałem misję w poznańskim Teatrze Polskim. Właśnie do Mugi zaprosiłem niewielkie grono najbliższych współpracowników. Chłodno aspiracyjny klimat lokalu ściał atmosferę niczym majowy przymrozek kwitnące jabłonie. Uznano, że jak książę Filip z „Iwo-ny” Gombrowicza próbuję się wywyższać i szeleścić warszawskimi falbanami. To zdecydowanie nie było dobre entrée na poznańskie salony i przez kolejne lata Muga omijałem szerokim łukiem. Pierwsza poznańska gwiazdka to jednak powód, by nadrobić zaległości.

Gastro znad Warty często pracuje w starych kamienicach, w przestrzeniach dość ciasnych. I tak jest z Muga znajdującą się na parterze XIX-wiecznej czynszówki. Również wystrój jest trochę anachroniczny w szarościach, bieli i fornirach, tak urządziło się restauracje dekadę temu. Ale furda z wnętrzem, mnie zależy na wyjątkowym żarciu, a tego w lokalu pod batutą Artura Skotarczyka nie brakuje.

Od razu trzeba też zaznaczyć, że Muga zorganizowana jest inaczej niż większość polskiej gastro. Przychodząc tu, oddajemy się całkowicie w ręce szefa i nie mamy nic do gadania w kwestii menu. Są dwie jego wersje: 4-daniowa za 270 zł od osoby i 6-daniowa za 345 zł (z polskim kawio-rem o 99 zł drożej). Żadne mądrzenie się, kaprysy i dyskusje z kuchnią nie wchodzą w grę. Albo jesz całe menu, albo zapraszamy do Sphinksa. Tam można popisywać

FOT. PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



**Zamiast nieco już
przeterminowanej betlejemki
i zupełnie anachronicznej
czerwonej i pięcioramiennej
opromieniły nas gwiazdki
Michelin**



się znawstwem i wrażliwością na rozmaite kulinarne mody. W Mudze goście głosu nie mają i mnie ten styl bardzo odpowiada. Bo najbardziej nie znoszę wysłuchiwać wymądrzania się domorosłych znawców, co to ponadymać się lubią i pokraśnić na licu, bo ja, panie redaktorze, ze szwagrem to dopiero gotować umiemy.

Zaczynamy od trzech wdzięcznych cieszogębek, których celem jest rozbudzenie w nas gastrolampartów. Najpierw był to krem z zielonego groszku z czereśniami, oliwą i werbeną. Potem ikra ze śledzia z kawalczykiem wędzonego węgorka na bezie o smaku kiszzonej kapusty. A cała ta mi-

sterna kompozycja spoczywała na kamiennej kuli i dodatkowo garniowana została emulsją szczypiorkową i musem z cebuli. I w końcu dwie serowe foremki, wypełnione musem z chorizo, zawierającym kawałki ośmiornicy, który w ustach strzelał kulkami piklowanej gorczycy. Taki był początek, trzy klejnoty smaku jako gra wstępna.

Dalej jedziemy szlakiem, na którym znajduje się kwiat cukinii wypełniony mięskiem turbota. Do tego galaretką z alg oraz aksamitny bisque z przypalonych pancerzyków morskich stworzonek. Talerz oddałem błyszczący, bo nie mogąc się pogodzić, że zmarnuję choćby kroplę smaku, wyczyściłem go dokładnie chlebem (choć najchętniej bym wylizał).

Morską przygodę kontynuowałem z kawałkami gotowanej ośmiornicy, podanej z czarnym ryżem oraz tego samego koloru chipsem z wodorostów. Jasną promienistość na talerzu zapewniał mus z parmezanu, zaś wszystko podlane było morskim wywarem. To kolejny trop w Mudze, zdradzający francuskie korzenie gotowania Artura Skotarczyka. Sosy to Święty Graal tamtejszej kuchni, po nich bezbłędnie rozpoznajemy cuisine française.

Kolejny talerz połączył dwa światy: czarny kawior mazurskiego jesiotra z tatarzem z iberyjskiej wołowiny. A wszystko w ogromnej szklanej misie, której zawartość ułożono we wzór przypominający łowicką wycinankę. Albo koniakowską koronkę z kwiatków wyciętych z pieczarek i lódeczek szalotki. Jubilerska robota.

Kolejne danie niesie ze sobą złośliwości. To konfitowana pierś i udko perliczki, podane z marchewkowym assiette. Mamy tu wstążki z marchwi, obok karotkę baby macerowaną w soku z yuzu i kawałki brzoskwini, i jej kwiatostan. Pomarańczowe refleksy migoczą na talerzu, idealnie komponując się z perliczką o przypieczonej skórce koloru starego złota. Od czasu, gdy w dzieciństwie zobaczyłem spektakl o Tymoteuszu Rymcimci autorstwa Jana Wilkowskiego, mam uraz do gotowanej marchewki. Po przygodzie w Mudze będę musiał ten pogląd zweryfikować.

I w końcu finał! Hiszpańska połędwica wołowa z purée z ogonów z sosem ze świeżych smardzów i musem z czarnego czosnku, salsa z cebuli i chips z jarmużu. Po policzku spłynęła mi łza wzruszenia. Przemysłana spójność smaków, faktur i kolorów robi wrażenie oszalaiające. Wydaje mi się, że do konsumpcji tego dania należałoby przykłękać.

Przed deserem dla ukojenia rozdygotanych zmysłów podano ananasowy sorbet i cytrynową granitę. I wtedy objawił się deser w formie rabarbarowego musu z kremem z matchy, która przyniosła tkliwe ukojenie. Moment wytchnienia i już byłbym gotów zacząć wszystko da capo.

Na takiej diecie dzień świstaka mógłby trwać wiecznie. Trzeba by tylko zmienić obrus, bo jak przystało na ucztę wyjątkową, strasznie go poplamilem. Znaczy – smakowało na całego! ●

MUGA, Poznań, ul. Krysiewicza 5, tel. 618551035, czynne od wtorku do piątku od 17 do 22, w soboty od 15 do 22, w niedziele i poniedziałki nieczynne, toaleta niedostępna dla niepełnosprawnych

FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL



weekendówka
61

NA POLACH GRUNWALDU

Autorem wielu haseł jest prof. dr hab. **Przemysław Urbańczyk**

To chyba najbardziej znane wydarzenie w dziejach Polski. Ba, można by rzec, że to podstawa nauczania historii w naszym kraju, bo nie ma bardziej oczywistego pytania sprawdzającego znajomość przeszłości Polaków.

Oczywiście idzie o rok 1410 i naj-słynniejszą bitwę polskiego oręża, wspieranego przez wojsko litewskie, pod wodzą króla Władysława Jagiełły oraz jego brata, księcia Witolda. 15 lipca pod wsią Grunwald polsko-litewskie zastępy pokonały w wielkiej bitwie chorągwie zakonu krzyżackiego, wspomagane przez rycerstwo z zachodniej Europy.

Co roku na polach Grunwaldu odbywa się inscenizacja bitwy. Biorą w niej udział bractwa rycerskie z całego kontynentu, a wydarzeniu towarzyszą liczne inne atrakcje: zawody łucznicze, turnieje, walka na miecze, koncerty czy pokazy średniowiecznej mody.

Do obchodów włączymy się też niejako i my i dlatego dziś, dokładnie w 613. rocznicę bitwy pod Grunwaldem, zapraszamy Państwa do powtórki z historii. Do przypomnienia sobie co znamienitszych rycerzy walczących pod Grunwaldem, do odświeżenia „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza, ale i do eksplorowania tropów nieco od samego orężnego starcia i historii odbiegających. Bo przyda się choćby wiedza z polskich seriali komediowych oraz... polskiej muzyki.

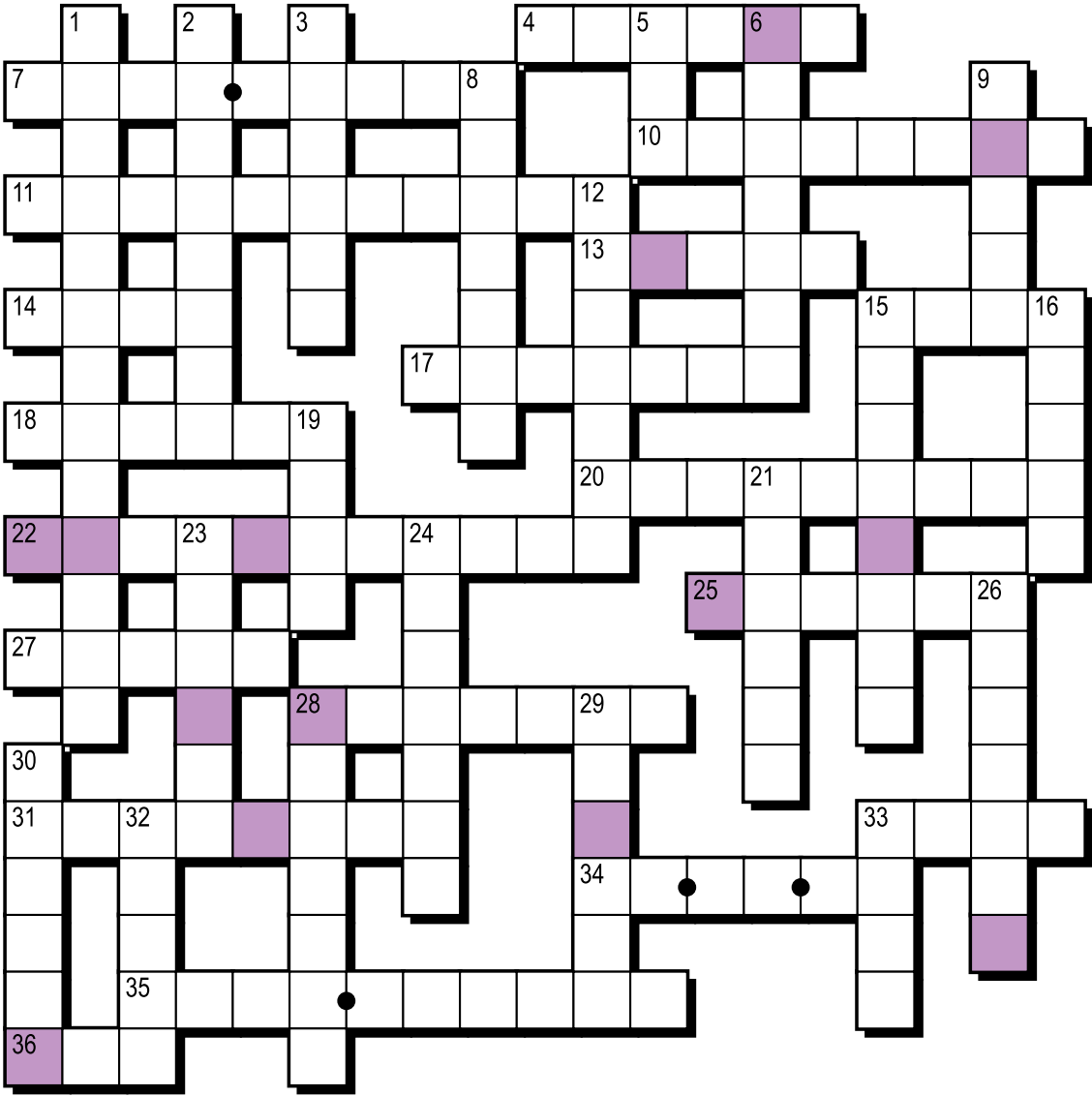
A gościem specjalnym „Weekendówki” jest dziś prof. dr hab. Przemysław Urbańczyk, mediewista archeolog, profesor zwyczajny Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie oraz Instytutu Archeologii i Etnologii PAN.

Prof. Urbańczyk jest autorem kilkuset tekstów dotyczących historii i archeologii średniowiecznej, napisał m.in. książki „Bolesław Chrobry – lew ryczący”, „Co się stało w 1018 roku?”, „Niezwyczajni goście Bolesława Chrobrego”.

A zatem miast mieczów albo toporów raczcie Państwo w dłonie chwycić długopisy tudzież pióra i zmierzyć się z naszą „Weekendówką”, odnosząc, jak mniemamy, świetne zwycięstwo!

Do boju! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 60 z 8.07:

- Poziomo:**
3) kośba 5) zapasy
7) rosa 8) marihuana
10) owca 11) wiedźmini
12) anagram 13) King
14) wypalanie
17) bezrobocie
20) Capote 22) tymotka
25) kosiarz 26) kraina
27) darń 28) krata
30) gadanina 32) murawa
33) żdźbła

- Poziomo:**
1) Natalie Wood
2) Australia 3) Krasicki
4) śniadanie 6) sawanna
7) rajgras 9) animator
15) Psia trawka
16) sianokosy 17) błonia
18) zielonka 19) ostruda
21) piosenka 23) mozga
24) alergia 29) torf
30) gad 31) dąb.

HASŁO:
KONIK POLNY

GRUNWALD

Hasła Przemysława Urbańczyka oznaczono inicjałami (P.U.). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- Poziomo:**
4) herb Zawiszy z Garbowa (P.U.)
7) 50 proc. słynnego grunwaldzkiego podarunku
10) niejeden powiewał na polu bitwy
11) autor powieści, w której pojawia się fraza: „Mieczów ci u nas dostatek” (P.U.)
13) ... Grunwaldzka, gdańska przelotówka

- 14)** Grunwaldzki – we Wrocławiu (z galerią handlową Pasaż Grunwaldzki)
15) imię von Lichtensteina
17) ... Lubień, niedaleko wsi Grunwald
18) gmina Grunwald, ... ostródzki, woj. warmińsko-mazurskie
20) triumfator
22) stara pieśń przypisywana autorstwu Świętego Wojciecha (P.U.)
25) zarządca prowincji zakonu rycerskiego (P.U.)
27) nakrycie głowy księcia Witolda na obrazie „Bitwa pod Grunwaldem”
28) harcurskie lub rycerskie (P.U.)

- 31)** w starym dowcipie pyta zdradzonego męża: któregoś na Grunwald? (P.U.)
33) otaczały zamki w Kwidzynie, Gniewie, Świeciu i Malborku (P.U.)
34) zespół, z którym występował Jerzy Grunwald
35) miasto z dzielnicą Halemba i klubem piłkarskim Grunwald
36) ... by się uśmieł, ale nie w bitwie pod Grunwaldem (P.U.)

- Pionowo:**
1) dynastia zapoczątkowana przez zwycięzcę spod Grunwaldu (P.U.)
2) w serialu „Alternatywy 4” miał w mieszkaniu „Bitwę pod Grunwaldem” (P.U.)

- 3)** „grunwaldzki” miesiąc
5) przed starciem pod Grunwaldem dawał naszym rycerzom cień
6) namalował słynną wizję bitwy pod Grunwaldem (P.U.)
8) ... Jaszczurczy, bractwo rycerskie Ziemi Chełmińskiej (P.U.)
9) organizacja rycerzy mnichów (P.U.)
12) imię rycerza z określenia 4 poziomo
15) mniej niż królestwo (P.U.)
16) dzieło Jana Matejki (P.U.)
19) zasiadał na nim Jagiełło (P.U.)
21) Andrzej ... z Żelechowa, rycerz, uczestnik bitwy pod Grunwaldem

- 23)** imię wielkiego mistrza von Jungingena (P.U.)
24) imię powieściowego bratanka powieściowego Maćka z Bogdańca (P.U.)
26) zwykli się potykać
28) ... z Maszkowic, rycerz herbu Słońce
29) góruje dziś nad polem grunwaldzkim (P.U.)
30) – Na nich!!!
32) barwa krzyżackiego krzyża
33) ... pływający wykorzystał Jagiełło, aby zaskoczyć Krzyżaków (P.U.)

Leszek Rydz

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

OGŁOSZENIE 34225722